

**JULES VERNE**

# **NAPOWIETRZNA WYSPA**

**PRZEŁOŻYŁA OLGA NOWAKOWSKA**  
**TYTUŁ ORYGINAŁA FRANCUSKIEGO LE VILLAGE AERIEN**

## **SPIS TREŚCI**

Rozdział I U kresu długiego etapu .....	2
Rozdział II Błędne ogniki.....	9
Rozdział III Pogrom .....	15
Rozdział IV Powzięcie decyzji.....	22
Rozdział V Pierwszy dzień marszu .....	29
Rozdział VI Ciągłe na południowy zachód! .....	34
Rozdział VII Pusta klatka .....	40
Rozdział VIII Doktor Johansen .....	46
Rozdział IX Z prądem Rzeki Johansena.....	53
Rozdział X Ngora! .....	58
Rozdział XI Co zdarzyło się dziewiętnastego marca .....	65
Rozdział XII W mrokach leśnego podszycia .....	72
Rozdział XIII Napowietrzna wioska .....	78
Rozdział XIV Wagdysi.....	84
Rozdział XV Trzytygodniowe obserwacje.....	89
Rozdział XVI Jego Królewska Mość Mselo–Tala–Tala .....	94
Rozdział XVII Odnaleziony .....	100
Rozdział XVIII Zakończenie przygody.....	104

## ROZDZIAŁ I

### U KRESU DŁUGIEGO ETAPU

— No, a Kongo Amerykańskie? — spytał Maks Huber. — Nie mówi się o nim jeszcze?

— Nie, mój drogi — odparł John Cort. — Bo i po co? Czyż brakuje nam w Stanach rozległych terenów? Ileż to dziewiczych, bezludnych obszarów można spotkać pomiędzy Alaską a Teksasem! Myślę, że lepiej kolonizować wewnątrz własnego kraju niż dalekie lądy.

— Co też ty mówisz? Jeśli tak dalej pójdzie, państwa europejskie podzielą w końcu między siebie Afrykę: bez mała trzy miliardy hektarów! Czyż Amerykanie pozostawią je w całości Anglikom, Niemcom, Holendrom, Portugalczykom, Francuzom, Włochom, Hiszpanom i Belgom?

— Ameryka nie potrzebuje kolonii, zupełnie tak samo jak Rosja — odparł Cort — i to dla podobnych powodów...

— Mianowicie?

— Ponieważ nie ma sensu pędzić na koniec świata, gdy się ma dość ziemi pod ręką.

— No, no! Rząd Stanów nie dziś, to jutro upomni się o swoją porcję afrykańskiego tortu. Istnieje już Kongo Francuskie\*, Kongo Niemieckie, nie licząc Konga Niepodległego, które tylko patrzeć, jak straci swoją niepodległość. A cały ten obszar, któryśmy właśnie przewędrowali w ciągu ostatnich trzech miesięcy...

— Jako turyści, jako zwykli turyści, Maksie, nie jako zdobywcy...

— Nie ma w tym znów tak wielkiej różnicy, czcigodny obywatelu Stanów Zjednoczonych — oświadczył Maks Huber. — Powtarzani raz jeszcze, że w tej części Afryki moglibyście sobie wykroić wspaniałą kolonię. Znajdują się tutaj urodzajne tereny, które tylko czekają, by ktoś zamienił je w uprawne pola, wyzyskując w tym celu obfite, naturalne nawodnienie. Sieć rzek i strumieni nie wysycha tu nigdy.

— Nawet w czasie tak potwornych upałów, jak dzisiaj — wtrącił John Cort ocierając czoło spalone tropikalnym słońcem.

— Ech, co tam upały! — zawołał Maks. — Czyż nie przystosowaliśmy się już do klimatu, czyż nie “zmurzynieliśmy” kompletnie, jeśli się tak można wyrazić? Zresztą jest dopiero marzec, prawdziwy żar zacznie się w lipcu i sierpniu, kiedy promienie słońca przebijają skórę niczym ogniste grotty!

— W każdym razie, mój drogi, nawet wtedy Francuz i Amerykanin ze swoim delikatnym naskórkiem nie tak łatwo przeobrażą się w Zanzibarczyków. Przyznaję jednak, że odbyliśmy wspaniałą i ciekawą wyprawę, w czasie której dopisywało nam wyjątkowe szczęście. Mimo to chętnie wracam do Libreville, gdzie w naszych faktoriach znajdziemy spokój i wytchnienie, należne podróżnikom po trzech miesiącach tego rodzaju włóczęgi.

— Masz rację, Johnie, nasza podróż była dość ciekawa. Jednakże muszę ci się przyznać, że nie spełniła wszystkich moich nadziei...

— Jak to? Wędrowaliśmy przecież kilkaset mil poprzez nieznanne kraje, stawiliśmy czoło wielu niebezpieczeństwom pośród wrogo usposobionych plemion, czasami nawet musieliśmy używać broni palnej przeciwko włóczniom i chmurom strzał. Odbyliśmy niezliczoną ilość polowań, uświetnionych obecnością lwów i panter, położyliśmy trupem setki słoni z wielką korzyścią dla dowódcy wyprawy pana Urdaxa, zebraliśmy tyle wspaniałych kłów, że można

---

\* W czasach kiedy rozgrywa się akcja powieści (rok 1899), istniało w Afryce Kongo Francuskie (włączone później do Francuskiej Afryki Równikowej) oraz tzw. Niepodległe Państwo Kongo, założone przez króla belgijskiego Leopolda II, które w 1909 r. stało się kolonią Belgii. Nazwą Kongo Niemieckie autor określa graniczące z Kongiem obszary Kamerunu, zajęte przez Niemców w 1884 r.

by z nich zrobić klawisze do wszystkich fortepianów świata... A ty jeszcze nie jesteś zadowolony!

— I tak, i nie, mój drogi. Wszystko, co wymieniłeś, to chleb powszedni badaczy Afryki Środkowej. Wszystko to znajduje czytelnik w sprawozdaniach takich podróżników, jak Barth, Burton, Speke, Grant, du Chaillu, Livingstone, Stanley, Serpa Pinto, Anderson, Cameron, Mage, Brazza, Gallieni, Jan Dybowski, Lejean, Massari, Wissemann, Buonfanti, Maistre...

Przód wozu stuknął w tym momencie w spory kamień i Maks Huber przerwał raptownie recytowanie nazwisk zdobywców Afryki. John Cort skorzystał z tego, by spytać:

— A więc liczyłeś na coś innego w czasie naszej wyprawy? Na jakieś niespodziewane zdarzenie?

— Muszę przyznać, że nie brakło nam niespodzianek. Chodzi mi o coś jeszcze lepszego...

— Może o nowe, niezwykle odkrycia?

— Otóż to, mój drogi! A tymczasem ani razu, dosłownie ani razu, nie mogłem wykrzyknąć w obliczu tych prastarych ziem owej straszliwej nazwy, którą nadawali im starożytni łgarze: "*Portentosa\* Africa*"!

— No proszę! Widocznie Francuza trudniej zadowolić niż...

— Amerykanina... Tak jest, Johnie, masz rację. Być może tobie wystarczają, wrażenia, jakie wyniosłeś z naszej wyprawy...

— Najzupelniej.

— Być może wracasz zadowolony...

— Oczywiście. A zwłaszcza cieszy mnie, że mam to wszystko poza sobą.

— I pewnie myślisz, że każdy, kto przeczyta opis naszej podróży, wykrzyknie z zachwytem: "Do licha, ależ to ciekawe przygody!"

— Czytelnik okazałby się nadmiernie wymagający, gdyby tak nie zawołał.

— Moim zdaniem nie miałyby w ogóle, żadnych wymagań, gdyby go zadowolili nasze przeżycia.

— Zapewne poczuliby się szczęśliwy dopiero wtedy — odciął się Cort — gdybyśmy zakończyli wyprawę w żołądku lwa czy ludożercy z kraju Ubangi.

— Cóż znowu, mój drogi! Nie trzeba się uciekać aż do takich rozwiązań, w których zresztą istotnie zdają się gustować nie tylko czytelnicy, ale i czytelniczki. Czy ośmieliłbyś się jednak przysiąc z ręką na sercu, że odkryliśmy czy zaobserwowaliśmy coś więcej niż nasi poprzednicy w Afryce Środkowej?

— Istotnie, tego nie mógłbym twierdzić.

— Otóż ja miałem nadzieję, że lepiej mi się powiedzie...

— Jesteś żarłokiem, który ze swej przywary usiłuje zrobić cnotę. Co do mnie, oświadczam, że najadłem się wrażeń do syta i że nie oczekiwałem po naszej wyprawie innych przeżyć poza tymi, których nam dostarczyła.

— A które równają się zeru.

— Zresztą podróż nie skończyła się jeszcze i w czasie kilku tygodni potrzebnych na dojsście do Libreville...

— Dajże spokój! — zawołał Maks. — Będzie to najzwyczajniejszy, powolny marsz, typowy dla karawan, i nuda codziennych popasów! Coś w rodzaju przejażdżki dyliżansem za dawnych lat.

— Kto wie? — powiedział John Cort.

Wóz zatrzymał się na postój wieczorny u stóp niewielkiego wzniesienia, zwieńczonego grupą pięciu czy sześciu drzew, jedynych na tej rozległej równinie, zalanej pożogą zachodzącego słońca.

---

\* *Portentosa* (łac.) — tworząca dziwy, potworna.

Była godzina siódma wieczorem, a że podróżni znajdowali się na dziewiątym stopniu szerokości północnej, gdzie zmierzch trwa niezmiernie krótko, za chwilę miały ich otoczyć ciemności tym głębsze, iż nadciągające chmury groziły przesłonięciem poświaty gwiazd, a wąski sierp księżyca krył się właśnie za horyzontem na zachodzie.

Pojazd, przeznaczony wyłącznie dla podróżnych, nie wiozł ani towarów, ani zapasów żywności. Proszę sobie wyobrazić rodzaj wagonu wspartego na czterech masywnych kołach, ciągnionego przez zaprzęg złożony z sześciu wołów. W dolnej części jednej ze ścian umieszczono drzwiczki. Przez małe, podłużne okienka światło wpadało do wagonu, który podzielono przepierzeniem na dwa przylegające do siebie pokoiki. Izdebkę położoną od tyłu zajmowali dwaj młodzi ludzie, mniej więcej dwudziestopięcioletni: Amerykanin John Cort i Francuz Maks Huber. Na przodzie wozu rezydował kupiec portugalski nazwiskiem Urdax oraz przewodnik karawany, Chamis. Ten ostatni, Murzyn pochodzący z Kamerunu, znał doskonale swoje trudne rzemiosło, i bezbłędnie prowadził podróżników poprzez rozpalone pustkowia kraju Ubangi.

Rozumie się samo przez się, że pojazdowi nikt nie zdołałby nic zarzucić pod względem solidności konstrukcji. Po trudach długiej i uciążliwej wyprawy jego pudło było w dobrym stanie, obręcze kół zaledwie trochę się przetarły, osie zaś ani nie popękały, ani się nie skrzywiły. Można by sądzić, że powraca z małego spaceru, przejechawszy dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów, chociaż jego trasa liczyła dwa tysiące kilometrów z górą.

Przed trzema miesiącami wehikuł opuścił Libreville i kierując się ciągle na północo-wschód, przemierzył równiny kraju Ubangi, docierając aż poza rzekę Szari, która wpada do południowego krańca jeziora Czad.

Obszar ten zawdzięcza swą nazwę rzece Ubangi, będącej ważnym prawobrzeżnym dopływem Konga, zwanego w swym górnym biegu Zairą. Kraina rozciąga się na wschód od Kamerunu Niemieckiego (którego gubernator jest jednocześnie niemieckim konsulem generalnym w Afryce Zachodniej), a granic jej nie oznaczają dokładnie najnowsze nawet mapy. Nie jest to wprawdzie bezludna pustynia — pokrywa ją zresztą, w przeciwieństwie do Sahary, bujna roślinność — w każdym razie jednak na tych ogromnych przestrzeniach znaczne odległości dzielą od siebie rzadko rozsiane wioski. Mieszkańcy tych ziem walczą ze sobą bez ustanku, biorą do niewoli lub mordują swych przeciwników, a niekiedy żywią się jeszcze ludzkim mięsem, jak na przykład owi Monbutowie, zamieszkali pomiędzy dorzeczem Nilu i Konga. Najohydniejszą stroną tych praktyk stanowi fakt, że ofiarą ludożerczych apetytów padają najczęściej dzieci. Toteż misjonarze dokładają wszelkich starań, aby ocalić od zguby niewinne stworzenia: niekiedy odbierają je siłą, niekiedy wykupują, aby wychować je po chrześcijańsku w misjach założonych wzdłuż rzeki Siramba.

Musimy jeszcze dodać, że na terenie Ubangi mali chłopcy i małe dziewczynki stanowią rodzaj obiegowej monety we wszelkich transakcjach handlowych. Dziećmi płaci się za różne użytkowe przedmioty, które handlarze przywożą do wnętrza kraju. Największymi bogaczami wśród tubylców są zatem ojcowie licznych rodzin.

Portugalczyk Urdax, chociaż nie zapuścił się na równiny Ubangi w celach handlowych, chociaż nie zamierzał prowadzić interesów z Murzynami osiadłymi na brzegach rzeki, chociaż pragnął jedynie zdobyć pewną ilość kłów polując na słonie, bardzo liczne w tych okolicach — zetknął się mimo wszystko z okrutnymi tubylczymi szczepami. W czasie kilku takich spotkań musiał nawet stawić czoło wrogo usposobionym bandom i użyć jako broni myśliwskich strzelb, które przeznaczał wyłącznie do walki ze stadami słoni.

Ostatecznie jednak kampania przyniosła znaczne zyski, a jej przebieg okazał się bardzo pomyślny: spośród członków karawany nie zginął ani jeden człowiek.

Pewnego dnia, zaraz po wkroczeniu do wioski w pobliżu źródeł rzeki Szari, John Corti Maks Huber zdołali — za cenę kilku garści paciorków — wybawić małego chłopca od strasznego losu, który mu chciano zgotować. Był to silny i zdrowy dziesięcioletni zuch o

sympatycznej, łagodnej twarzycze i niezbyt zaakcentowanym murzyńskim typie. Miał dość jasną skórę, włosy, które nie przypominały wcale czarnej wełny, nos raczej orli, i mało wydatne wargi; cechy takie można zaobserwować u niektórych afrykańskich szczepów. Oczy malca błyszczały inteligencją, a do swoich wybawców zapalał wkrótce istic synowskim uczuciem. Nieszczęsnego dzieciaka, imieniem Llanga, porwali kiedyś wrogowie, wprowadzili nie rodzicom, gdyż był zupełnym sierotą, ale macierzystemu szczepowi. Poprzednio chłopiec wychowywał się przez jakiś czas u misjonarzy, gdzie nauczył się mówić jako tako po francusku i angielsku. Wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności wpadł w ręce wojowników z plemienia Dinka i łatwo sobie wyobrazić, jaki los go u nich oczekiwał.

Obaj przyjaciele polubili chłopca ogromnie, ujęci jego serdecznym sposobem bycia i wdzięcznością, jaką stale przejawiał. Odkarmili go, przyodziali i zajęli się jego wychowaniem, co dawało doskonałe rezultaty, ponieważ Llanga okazał się nad wiek rozwiniętym dzieckiem. Jakież zmiany zaszły w życiu malca! Przestał być zwykłym towarem jak inni jego rówieśnicy z kraju Ubangi, miał żyć w spokojnej faktorii w Llbreville, stać się przybranym synem Hubera i Corta, którzy podjęli się nad nim czuwać i nie opuścić go nigdy. Chociaż był jeszcze tak mały, Llanga rozumiał dobrze to wszystko. Czuł, że jest kochany, i oczy jego promieniały szczęściem, gdy ręka Maksa lub Johna spoczęła czasem na jego głowie.

Kiedy wóz się zatrzymał, wyprężnięte woły pokładły się natychmiast na trawie, znużone długą wędrówką i morderczym upałem. Llanga, który ostatni odcinek drogi przebył częściowo na piechotę, maszerując to przed zaprzęgiem, to znowu z tyłu, przybiegł teraz w momencie, kiedy jego opiekunowie wychodzili z pojazdu.

— Czy nie zmęczyłeś się za bardzo? — spytał John Cort ujmując rękę chłopczyka.

— Nie, nie! Mam dobre nogi... Lubię biegać! — odpowiedział Llanga; śmiał się i promienne spojrzenie przenosił z Johna na Maksa.

— A teraz trzeba się brać do jedzenia — powiedział Huber.

— O tak, wujku Maksie! Do jedzenia!

Llanga ucałował opiekunów i przyłączył się do tragarzy, zgromadzonych w cieniu rozłożystych drzew na szczycie wzgórza.

Jeśli Urdax, Chamis i ich dwaj towarzysze mogli zajmować całe wnętrze wozu, działo się tak dlatego, że bagaże i kość słoniową powierzono tragarzom. Karawana składała się z pięćdziesięciu mniej więcej Murzynów, pochodzących przeważnie z Kamerunu. W tej chwili kładli właśnie na ziemi potężne kły i skrzynki zawierające racje żywnościowe, które uzupełniano polując na bogatych w zwierzynę równinach Ubangi.

Murzyńscy tragarze są najemnikami, wdrożonymi do swego zajęcia i opłacanymi dość wysoko, co pozwala im uczestniczyć, w korzyściach, jakie dają zyskowne ekspedycje w głąb Afryki. Można o nich powiedzieć, że nigdy nie bywają "kwokami, co wysiadują kurczęta", jeśli zechcemy użyć powiedzenia, którym określa się w Afryce szczepy osiadłe. Przyzwyczajeni od dzieciństwa do noszenia ciężarów, dźwigają je dopóty, dopóki nogi nie odmówią im posłuszeństwa. A jednak praca ta jest niezmiernie wyczerpująca, zwłaszcza ze względu na klimat. Ramiona uginają się pod brzemieniem ogromnych kłów lub ciężkich tobołów z żywnością, na skórze otwierają się głębokie rany, nogi krwawią, ostre trawy kaleczą prawie zupełnie nagie ciała, ale tragarze maszerują nieustępliwie od świtu do godziny jedenastej, i znów podejmują wędrówkę aż do zmierzchu, gdy tylko przeminie pora największego upału.

Na szczęście w interesie kupców leży dobre opłacanie tragarzy, czynią to więc bez targów. Tak samo muszą ich dobrze żywić i nie przemęczać nadmiernie, aby w czasie ogromnie niebezpiecznych polowań na słonie — nie mówiąc już o napadach lwów czyi lampartów — dowódca wyprawy mógł liczyć z całą pewnością na wszystkich swoich ludzi. Poza tym, gdy zakończy się zbiór cennego surowca, konieczną jest rzeczą, by karawana powróciła szybko i

bez przygód do nadmorskich faktorii. Kupcom zależy więc na tym, aby nadmierne zmęczenie czy też choroby tragarzy nie opóźniały wędrówki, przy czym najbardziej obawiają się spustoszeń, jakich potrafi dokonywać ospa. Portugalczyk Urdax, doświadczony kupiec, wierny dawnym zasadom, dbał pieczołowicie o swoich ludzi i wskutek tego z niezmiennym powodzeniem odbywał dotąd swoje zyskowne wyprawy w głąb Afryki Środkowej.

Równie korzystna jak poprzednia była i obecna ekspedycja — przyniosła Urdaxowi znaczną partię kości słoniowej w doskonałym gatunku, zdobytej na terenach leżących niemal na granicy Dar Furu.

Rozbito obóz w cieniu olbrzymich tamaryndowców i tragarze zaczęli rozpakowywać zapasy żywności. John Cort podszedł do Portugalczyka.

— Zdaje mi się, panie Cort — powiedział Urdax po angielsku, gdyż władał biegle tym językiem — że wybraliśmy doskonale miejsce na postój. Nasze woły zastały tu prawdziwy stół zastawiony do uczy.

— Rzeczywiście — przyznał Cort. — Trawa jest tu nadzwyczaj gęsta i soczysta.

— Sam bym się chętnie na niej popasł — wtrącił Maks Huber — gdybym miał organizm przeżuwacza, to znaczy trzy żołądki do trawienia pokarmów.

— Dziękuję — odparł John Cort. — Wołę udziec antylopy upieczony na węglach, suchary, których tak dużo mamy jeszcze w zapasie, i butelkę południowoafrykańskiej madery.

— Wino będzie można wymieszać z odrobiną wody z tego przezroczystego potoku, który przecina równinę — dodał Portugalczyk.

Pokazał towarzyszom niewielką rzeczkę — wpadającą prawdopodobnie do Ubangi — która płynęła o kilometr mniej więcej od wzgórza.

Wkrótce skończono rozbijanie obozu. Kość słoniową ułożono w stosy w pobliżu wozu, woły błakały się swobodnie pośród tamaryndowców, tu i tam zapłonęły ogniska, podsycane chrustem, którego nie brakowało pod drzewami, a przewodnik karawany sprawdzał, czy poszczególne grupy tragarzy mają wszystko, czego im potrzeba. Mięsa bawołów i antylop, świeżego i suszonego, było w bród, gdyż myśliwi mogli bez trudu uzupełniać w drodze zapasy. Toteż wkrótce smakowita woń pieczystego napelniła powietrze i każdy z uczestników wyprawy dał dowody wspaniałego apetytu, naturalnego zresztą po półdniowym, uciążliwym marszu.

Oczywiście, broń i amunicję pozostawiono w wozie. Na wypadek alarmu Portugalczyk, Chamis, John Cort i Maks Huber mieli tam do dyspozycji kilka skrzyń z nabojami, strzelby myśliwskie, karabiny i doskonałe, nowoczesne rewolwery.

Posiłek skończył się w godzinę później, po czym karawana, syta i znużona, zapadła od razu w głęboki sen. Przewodnik zlecił nad nią opiekę kilku wartownikom, którzy mieli się zmieniać co dwie godziny. W tych dalekich krainach należy stale mieć się na baczności przed wrogo usposobionymi istotami, czy to dwu-, czy czteronożnymi. Toteż Urdax nie zaniedbywał żadnych środków ostrożności. Był to krzepki jeszcze, pięćdziesięcioletni mężczyzna, znający się świetnie na tego rodzaju ekspedycjach i wyjątkowo odporny na wszelkie trudy. Tak samo trzydziestopięcioletni Chamis, ruchliwy, zwinny, choć masywnie zbudowany, słynący z niezwyklej odwagi i zimnej krwi, wydawał się stworzony o prowadzenia karawan przez bezdroża Afryki.

Obydwaj przyjaciele i Portugalczyk zasiedli do kolacji pod jednym z tamaryndowców. Posiłek, przyrządzony przez tubylczego kucharza, przyniósł im mały Llanga. Podczas jedzenia trwały nieprzerwanie ożywione rozmowy; kiedy nie łyka się potraw w pośpiechu, można przecież gadać, ile dusza zapagnie, O czym tak rozprawiano? Czy o minionej wyprawie na północo-wschód? Nic podobnego. O wiele ciekawsze i aktualniejsze zagadnienie stanowiły wypadki mogące się przydarzyć w czasie powrotu. Długa droga dzieliła ich jeszcze od faktorii w Libreville — przeszło dwa tysiące kilometrów, co wymagało dziewięciu lub dziesięciu tygodni marszu. Otóż w trakcie tej drugiej części podróży mogło się

stać niejedno, jak zapewnił John Cort swego towarzysza, któremu nie wystarczyły niespodzianki i który oczekiwał niezwykłych wrażeń...

Od granic Dar Furu aż do ostatniego miejsca postoju karawana kierowała się w stronę Ubangi, przebywszy w bród rzekę Nzili i jej liczne dopływy. Tego wieczoru zatrzymała się mniej więcej w tym punkcie, gdzie dwudziesty drugi południk przecina dziewiąty równoleżnik.

— Ale teraz — powiedział Urdax — ruszymy chyba na zachód.

— Jest to tym bardziej wskazane — dodał Cort — że, jeśli mnie oczy nie mylą, od południa zagraża nam drogę rozległa puszcza; ani jej wschodniego, ani zachodniego krańca niepodobna stąd dojrzeć.

— Tak, puszcza jest olbrzymia — potwierdził Portugalczyk. — Gdybyśmy ją musieli okrążyć od wschodu, trwałoby to całe miesiące.

— A od zachodu?

— Od zachodu — odparł Urdax — nie nadłożymy zbyt drogi, posuwając się skrajem lasu, i dotrzemy do Ubangi w okolicy wodospadów Zongo.

— A czy nie skrócilibyśmy podróży, kierując się na przełaj? — spytał Maks Huber.

— Owszem... o jakieś dwa tygodnie marszu.

— A więc? Dlaczego nie mamy skorzystać z tej trasy?

— Bo jest niemożliwa do przebycia.

— Och, zaraz niemożliwa! — wykrzyknął Maks tonem pełnym powątpiewania.

— Być może na piechotę dałoby się tamtędy przebrnąć — rzekł Portugalczyk — ale nie jestem pewien, bo nikt tego dotąd nie próbował. Co się zaś tyczy przejazdu wozem, to bez wątpienia taka sztuka się nie uda.

— Twierdzi pan, że nikt jeszcze nie usiłował wdrzeć się w głąb lasu?

— Czy ktoś usiłował, czy nie, tego nie wiem, panie Maksie. W każdym razie nikomu się to nie udało. Ani w Kamerunie, ani w Kongu nie znam nikogo, kto by się chciał porwać na taką rzecz... Któż by się odważył pchać tam, gdzie nie ma ani jednej ścieżki w kolczastej gęstwinie, między cierniami i chaszczami? Wątpię nawet, czy ogień lub siekiera zdołałyby utorować tam drogę. Nie mówię już o powalonych pniach, które muszą tworzyć nieprzebyte szanie...

— Naprawdę nieprzebyte, panie Urdax?

— No, no, mój drogi—wtrącił pośpiesznie Cort. — Nie nabijaj sobie głowy tą puszcą. Powinniśmy się czuć szczęśliwi, że wystarczy ją tylko okrążyć. Przyznaję, że bez najmniejszej przyjemności zapuściłbym się w ten drzewny labirynt...

— I nie chciałbyś zbadać, co się w nim kryje?

— A cóż takiego może się w nim kryć? Czy sądzisz, że są tam bajeczne królestwa, zaczarowane miasta, mityczne krainy skarbów, nieznanne zwierzęta i ludzie o trzech nogach?

— Czemuż by nie? A najprostszym sposobem byłoby sprawdzić to wszystko na miejscu.

Llangu wpatrywał się w Maksa uważnie szeroko rozwartymi oczami, a jego pełna napięcia twarzyczka zdawała się mówić, że gdyby Huber odważył się wkroczyć do tajemniczego lasu, on bez wahania poszedłby za nim.

— W każdym razie — podjął Cort — skoro pan Urdax nie zamierza dotrzeć do brzegów Ubangi, przecinając puszcę...

— Nie, na pewno nie mam takiego zamiaru — stwierdził Portugalczyk. — Ryzykowalibyśmy, że nigdy się stamtąd nie wydobędziemy.

— A więc, drogi Maksie, chodźmy się przespać. Pozwalam ci dociekać tajemnic tej kniei, zapuszczać się w niedostępne gęstwiny... we śnie oczywiście. A i to nie będzie bardzo bezpieczne.

— Możesz ze mnie kpić, ile ci się podoba. Ale ja mam w pamięci słowa jednego z naszych poetów... nie pamiętam tylko którego: "Przetrzęsajmy nieznanne, by znaleźć to, co nowe".

- Doprawdy, Maksie? A jak brzmi następny wiersz tego utworu?
- Słowo daję... zapomniałem zupełnie!
- W takim razie zapomnij też i o cytacie, który przytoczyłeś, i chodźmy spać.

Była to rzeczywiście najrozsądniejsza rzecz, jaką mogli zrobić, przy czym dzisiaj nie potrzebowali nawet chronić się we wnętrzu wozu. Nocleg u stóp wzgórza, pod osłoną rozłożystych tamaryndowców — których chłód łagodził nieco żar powietrza, rozpalonego nawet po zachodzie słońca — nie robił żadnej różnicy stałym bywalcom “hotelu pod gołym niebem”, jeśli tylko dopisywała pogoda. Tego wieczoru nie spodziewano się deszczu, chociaż gwiazdy skryły się za gęstą oponą chmur, lepiej więc było przespać się na świeżym powietrzu.

Murzynek przyniósł koce i dwaj przyjaciele, owinąwszy się nimi szczelnie, położyli się pomiędzy korzeniami tamaryndowca niby w kojach kabin okrętowych. Llanga zwinął się w kłębek nie opodal jak mały piesek czuwający nad bezpieczeństwem swoich panów. Urdax i Chamis, zanim poszli w ich ślady, obeszlili raz jeszcze obozowisko, sprawdzili, czy spętane woły nie zamierzają wymknąć się i wałęsać po równinie, czy wartownicy nie opuścili posterunków, czy wygaszono ogniska, z których najmniejsza iskierka mogłaby wzniecić pożar wśród chrustu i suchych traw. Ale wreszcie i oni powrócili do stóp wzgórza. Wkrótce wszyscy zapadli w głęboki sen — gdyby zaczęły teraz bić pioruny, nikt z pewnością by się nie obudził. Kto wie, czy i wartownicy nie zdrzemnęli się również? W każdym razie, gdy minęła dziesiąta, nie było nikogo, kto by dał znać dowódcy, że na skraju puszczy migocą jakieś dziwne, podejrzane światełka.



## ROZDZIAŁ II

### BŁĘDNE OGNIKI

Najwyżej dwa kilometry dzieliły wzgórze od ciemnej gęstwiny, wśród której błdziły tam i sam chwiejne, prószące sadzą płomyki. Można by ich naliczyć około dziesięciu, czasami skupionych razem, czasami rozproszonych, czasami miotających się gwałtownie, czego nie tłumaczył najmniejszy powiew w stojącym nieruchomo powietrzu. Prawdopodobnie obozowała w tym miejscu gromada tubylców, którzy schronili się wśród drzew na nocleg. A jednak światełka nie robiły wrażenia obozowych ognisk. Zbyt kapryśnie błdziły na przestrzeni jakichś stu sążni, zamiast skupić się w jednym punkcie nocnego biwaku.

Nie należy zapominać, że w tych okolicach kręcą się koczownicze szczepy wędrujące z Adamawa czy z Bagirmi na zachodzie lub nawet z Ugandy na wschodzie. Karawana kupiecka z pewnością nie byłaby tak nieostrożna, aby zdradzić swoją obecność za pomocą licznych, płonących w ciemności świateł. Jedynie tubylcy mogli się zatrzymać w tym miejscu. I kto wie, czy nie żywili wrogich zamiarów w stosunku do uśpionej pod tamaryndowcami karawany?

W każdym razie, jeśli nawet z tej strony groziło jakieś niebezpieczeństwo, jeśli parę setek czarnych wojowników, licząc na swą przewagę liczebną, czekało na odpowiedni do natarcia moment — nikt z uczestników wyprawy Urdaxa, aż do godziny wpół do jedenastej, nie pomyślał o przygotowaniach do obrony. W obozie wszyscy spali jak zabici, zarówno panowie, jak słudzy, a co gorsza wartownicy, mający się zmieniać na posterunkach, zapadli także w głęboki sen.

Na szczęście obudził się chłopiec murzyński, Llanga. Z pewnością po chwili zasnęłyby znowu, gdyby nie to, że przypadkiem rzucił okiem na południe. Poprzez na wpół przymknięte powieki dojrzał światła lśniące w gęstych ciemnościach nocy. Przeciągnął się, przetarł oczy i popatrzył bardziej przytomnie. Nie, nie mylił się! Rozproszone ogniki błdziły wzdłuż skraju lasu.

Llanga pomyślał, że nieznani wrogowie zamierzają napaść na karawanę. Była to z jego strony raczej odruchowa reakcja niż logiczny wniosek. Bo przecież złoczyńcy, gotujący się do mordy i rabunku, wiedzą dobrze, iż pomnażają swoje szansę, jeśli potrafią zaskoczyć przeciwnika, i nigdy nie ukazują się przedwcześnie. Dlaczego więc ci mieliby dawać znać o swej obecności?

Chłopiec nie chciał niepokoić ani Maksa, ani Johna, poczołgał się więc bezgłośnie w stronę wozu. Przynurzył się do Chamisa, obudził go, położywszy mu rękę na ramieniu, i wskazał palcem na migające wśród drzew ogniki.

Przewodnik wstał i przez chwilę wpatrywał się w ruchome płomienie.

— Panie Urdax! — wrzasnął nagle, nie myśląc wcale o ściszeniu głosu.

Portugalczyk zwykł otrząsać się szybko z sennego zamroczenia, toteż zerwał się w ciągu ułamka sekundy.

— Co się stało?!

— Niech pan patrzy!

Chamis wyciągnął rękę, wskazując oświetlony skraj las przytykający do równiny.

— Alarm! — krzyknął Portugalczyk, co tchu w płucach.

W jednej chwili wszyscy zerwali się na równe nogi, do tego stopnia przejęci grozą sytuacji, że nikomu nie przyszło do głowy oskarżać niedbałych wartowników. Gdyby nie Llanga, obóz stałby zapewne opanowany w czasie snu dowódcy i jego towarzyszy.

Naturalnie Maks Huber i John Cort opuścili czym prędzej swoje przedziały sypialne pomiędzy korzeniami drzewa i przyłączyli się do Urdaxa i Chamisa.

Było parę minut po wpół do jedenastej. Głębokie ciemności spowijały równinę, obejmując trzy czwarte horyzontu, na północy wschodzie i zachodzie. Jedyne na południu błyskały nikłe płomyki, jarząc się mocniej, gdy zaczynały wirować; można ich było naliczyć teraz co najmniej pięćdziesiąt.

— Siedzi tam spora gromada tubylców — powiedział Urdax. — To z pewnością Budżosi koczujący wzdłuż brzegów Konga i Ubangi.

— Z pewnością — dodał Chamis. — Te ognie nie zapaliły się same.

— I oczywiście — zauważył Cort — jakieś ręce przenoszą je z miejsca na miejsce.

— Ale ręce muszą wyrastać z ramion, a ramiona należeć do ludzkich postaci. Tymczasem nie widzimy nikogo pośród tej całej iluminacji — powiedział Maks Huber.

— Na pewno ludzie kryją się trochę głębiej za drzewami, nie wychodząc na skraj lasu — wyjaśnił Chamis.

— Zwróćcie uwagę — podjął Huber — że nie mamy do czynienia z gromadą idącą w określonym kierunku brzegiem puszczy. Ognie rozpraszają się wprawdzie w prawo i w lewo, ale później wracają stale na jedno miejsce.

— Tam gdzie jest obozowisko — stwierdził przewodnik.

— A co pan o tym sądzi? — zapytał John Cort Urdaxa.

— Że lada chwila trzeba się spodziewać ataku i że musimy natychmiast przygotować się do obrony — odrzekł kupiec.

— Dlaczego jednak Murzyni nie napadli na nas z nienacka? Dlaczego zdradzili swoją obecność?

— Bo rozumują zupełnie inaczej niż ludzie biali — oświadczył Portugalczyk. — Ale chociaż postępują nieogłędnie, mogą się okazać bardzo groźni wskutek swej przewagi liczebnej i okrucieństwa.

Misjonarze będą mieli mnóstwo roboty, zanim przekształcą te pantery w łagodne baranki — wtrącił Maks Huber.

— Bądźmy gotowi na wszystko — zakończył rozmowę Portugalczyk.

Przez cały czas podróży nie zawsze mógł uniknąć napaści ze strony tubylców, ale jak dotąd nie poniósł prawie żadnych strat i nikt z członków karawany nie zginął. Droga powrotna zapowiadała się także pomyślnie. Gdy okrążą las od zachodu, powinni dotrzeć bez trudu do prawego brzegu Ubangi i wędrować wzdłuż tej rzeki aż do miejsca, gdzie wpada do Konga. Dalej spotyka się już często kupców i misjonarzy i nie tak groźnie wyglądają zetknięcia z koczowniczymi szczepami, które akcja kolonizacyjna Francuzów, Anglików, Portugalczyków i Niemców spycha powoli ku odległym obszarom Dar Furu.

Jednakże, choć zaledwie kilka dni marszu wystarczało, by dotrzeć do wielkiej rzeki, czy karawana nie natknie się na tak liczne bandy rabusiów, że będzie musiała im ulec? Takiej ewentualności nie można było wykluczać. W każdym razie nikt nie myślał poddawać się bez walki i za radą Portugalczyka podjęty odpowiednie kroki, aby odeprzeć napaść. W jednej chwili Urdax, Chamis, John Cort i Maks Huber stanęli pod bronią, każdy z karabinem w rękę, z rewolwerem u pasa i z dobrze zaopatrzoną ładownicą. W wozie było jeszcze ze dwanaście strzelb i pistoletów, które rozdano najbardziej pewnym spośród tragarzy.

Jednocześnie Urdax rozkazał swoim ludziom, aby skupili się wśród wielkich tamaryndowców, które powinny ich osłonić przed niosącymi śmierć, zatrutymi strzałami.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Najśłabszy nawet szmer nie mącił ciszy. Wydawało się, że napastnicy nie opuścili jeszcze lasu, bo płomienie ukazywały się nieustannie zza drzew, a tu i tam kłębiły się długie pióropusze żółtawego dymu.

— Kręcą się na skraju puszczy z żywicznymi pochodniami w rękach...

— Niewątpliwie — odpowiedział Maks Huber — ale ja w dalszym ciągu nie rozumiem, po co to robią, jeśli mają zamiar nas zaatakować.

— A jeśli nie mają takiego zamiaru, ich postępowanie jest równie niepojęte — dodał John Cort.

Istotnie, trudno tu było znaleźć jakieś wytłumaczenie.

Po upływie pół godziny sytuacja nie uległa zmianie. Cały obóz miał się na baczności, wszystkie spojrzenia przeszukiwały ciemną dal na wschodzie i zachodzie. Jakiś oddział mógł przecież podkraść się z boku i rzucić pod osłoną nocy na karawanę, zapatrzoną w ognie błyszczące na południu. Ale na równinie z pewnością nie było nikogo. Zresztą, mimo głębokich ciemności, część napastników nie mogłaby zaskoczyć Portugalczyka i jego towarzyszy — w każdym razie biali zdążyliby zrobić użytek z broni.

Po jedenastej Maks Huber odłączył się od grupki towarzyszy i oświadczył zdecydowanym tonem:

— Idę na rekonesans!

— I na co się to zda? — zapytał Cort. — Zwyczajny rozsądek nakazuje nam tkwić tutaj do rana i obserwować nieprzyjaciela.

— Więc mam czekać — obruszył się Huber — teraz, kiedy w tak przykry sposób wyrwano nas ze snu? Czekać jeszcze sześć czy siedem godzin z palcem na cynglu? O, nie! Muszę się natychmiast dowiedzieć, jak sprawy stoją. I jeśli ostatecznie się okaże, że owi tubylcy nie mają wcale złych zamiarów, z prawdziwą rozkoszą wtulę się znowu w moją koję między korzeniami, gdzie śniły mi się tak piękne rzeczy...

— Co pan o tym sądzi? — zapytał John Cort Portugalczyka, który milczał dotąd uparcie.

— Być może propozycja pana Hubera ma swoje dobre strony — odparł Urdax. — Trzeba jednak zachować ostrożność...

— Chcę iść na zwiady — powiedział Maks. — Proszę, zaufajcie mi.

— Pójdę z panem — wtrącił przewodnik karawany — jeśli pan Urdax pozwoli.

Tak będzie z pewnością lepiej — zgodził się Portugalczyk. Ja również mogę przyłączyć się do was — zaproponował Cort.

— Nie, ty zostań tutaj — sprzeciwił się Maks Huber. — Damy sobie radę we dwóch z Chamisem. Zresztą nie posuniemy się dalej, niż to będzie koniecznie potrzebne. A jeśli zauważymy, że część napastników kieruje się w tę stronę, przylecimy co tchu z powrotem.

— Sprawdźcie, czy wasza broń jest w porządku — przypomniał Cort.

— Zrobione — odparł Chamis. — Ale nie myślę, żebyśmy jej i użyć w czasie zwiadu. Najważniejszą rzeczą będzie przejść niespostrzeżenie.

— I ja tak uważam — oświadczył Portugalczyk.

Wkrótce Maks Huber i Chamis, maszerując ramię w ramię, zostawili za sobą wzgórce porośnięte tamaryndowcami. Na równinie było cokolwiek jaśniej, chociaż i tutaj na sto kroków nie można by dostrzec człowieka.

Dwaj zwiadowcy uszli zaledwie połowę tej odległości, gdy nagle zauważyli kroczącego za nimi Llangę. Nic nikomu nie mówiąc, chłopiec wymknął się z obozu i przybiegł do nich.

— Czego tu chcesz, mały? — burknął Chamis.

— Czemu nie zostałeś z tamtymi? — spytał Huber.

— Jazda! Wracaj do obozu! — rozkazał przewodnik.

— Och, panie Maksie! — wyszeptał Llanga. — Ja chcę z panem...

— Jak to? Zostawiłeś wujka Johna samego?

— Tak... Bo wuj Maks jest tutaj...

— Nie potrzebujemy cię wcale — rzekł twardo Chamis.

— A, niech zostanie, skoro już tu jest! — uległ wreszcie Huber. — Nie będzie nam przeszkadzał, a może nawet dojrzy w ciemnościach coś, czego my nie zdołamy spostrzec, bo oczy ma jak ryś.

— Tak, tak, będę patrzył uważnie, wszystko zobaczę z daleka — upewniał gorąco chłopiec.

— Dobrze! — powiedział Maks Huber. — Trzymaj się mnie i uważaj na wszystko!

Ruszyli naprzód we trzech i po piętnastu minutach znaleźli się w połowie drogi między obozem a skrajem puszczy.

Ognie płąsały ciągle u stóp gęstwiny i z bliska lśniły corza żywszym blaskiem. Jednakże, mimo świetnego wzroku Chamisa; mimo bystrych oczu małego “rysia”, a nawet mimo pomocy doskonałej lornety, którą Maks wydobyl z futerału, niemożliwością było dostrzec, kto potrząsa owymi pochodniami.

Potwierdzało to przypuszczenie Portugalczyka, że ogniki ruszały się pod osłoną drzew, poza gęstymi chaszczami i palisadą grubych pni. Z całą pewnością tubylcy nie przekroczyli granicy lasu i być może nie zamierzali wcale tego uczynić.

W istocie sytuacja stawała się coraz bardziej niezrozumiała. Jeśli Murzyni zatrzymali się na zwykły postój i o świcie mieli wyruszyć w dalszą drogę, po cóż urządzali taką iluminację na skraju puszczy? Czyżby jakieś tajemnicze, nocne obrzędy kazały im czuwać o tej porze?

— Zastanawiam się nawet — powiedział Maks Huber — czy w ogóle dostrzegli naszą karawanę i czy wiedzą, że rozbiliśmy obóz pośród tamaryndowców.

— Może i nie — odparł Chamis. — Jeśli przybyli o zmierzchu, kiedy ciemności zakryły już równinę, a my pogasiliśmy ogniska, mogą nic nie wiedzieć, że mają nas pod bokiem. Ale jutro, o świcie, zobaczą cały obóz...

— Jeżeli nie odjedziemy wcześniej.

Maks i przewodnik karawany zaczęli znowu posuwać się naprzód w milczeniu. Przebyli w ten sposób mniej więcej pół kilometra, tak że odległość od lasu wynosiła obecnie zaledwie paręset metrów.

Nie zauważyli nic podejrzanego na tym terenie, omiatanym od czasu do czasu smugą światła bijącego z pochodni. Nie ukazała się ani jedna ludzka sylwetka, czy to na południu, czy na wschodzie, czy na zachodzie. Jak się zdawało, nie groził podróżnym natychmiastowy napad. Ale ani Maks Huber, ani Chamis, ani Llanga, choć znaleźli się już tak blisko skraju puszczy, nie zdołali wyśledzić tajemniczych istot, które dawały znać o swej obecności za pomocą tych dziwnych ogników.

— Czy powinniśmy posunąć się jeszcze dalej? — zapytał Huber, gdy zatrzymali się na parę minut.

— A po co? — odrzekł Chamis. — Postąpiliśmy bardzo nieostrożnie. Wygląda na to, że mimo wszystko tamci nie dostrzegli jeszcze naszej karawany, i jeśli w ciągu nocy damy drapaka...

— Wolałbym jednak wiedzieć coś pewnego — upierał się Maks Huber. — Temu spotkaniu towarzyszą tak dziwne okoliczności...

Rzeczywiście zdarzenie było dostatecznie niezwykle, by pobudzić żywą wyobraźnię Francuza.

— Wracajmy na wzgórze — doradzał przewodnik.

Musiał jednak podejść jeszcze trochę dalej, w ślad za Maksem i Llanga, który za nic nie opuściłby opiekuna; wszyscy trzej dotarliby zapewne do skraju lasu, gdyby Chamis nie zatrzymał się nagle.

— Ani kroku dalej! — powiedział po cichu stanowczym tonem.

Czy groziło im jakieś natychmiastowe niebezpieczeństwo? Czy Przewodnik dostrzegł gromadę tubylców gotujących się do ataku? Jedno nie ulegało wątpliwości: w układzie ogni błyszczących na skraju lasu zaszła gwałtowna zmiana. Na chwilę znikły wszystkie za kurtyną pierwszych drzew, które w głębokich ciemnościach zlewały się w jedną masę.

— Uwaga! — szepnął Huber.

— Uciekajmy! — rzekł Chamis.

Czy należało jednak zawracać, gdy groził natychmiastowy atak? W każdym razie, przed rozpoczęciem rejterady, trzeba i było się przygotować do odparowania pierwszych ciosów.

Wycelowali nabite karabiny, nie przestając śledzić z natężeniem ciemnej gęstwiny na skraju puszczy.

Nagle z ciemności wytrysnęło znowu około dwudziestu płomyków.

— Do licha! — zawołał Maks Huber. — Jeśli ta przygoda nie jest niezwykła, to przynajmniej bardzo dziwaczna!

Uwaga wydawała się zupełnie usprawiedliwiona, gdyż pochodnie, które przed chwilą błyskały na poziomie równiny, płonęły teraz jaskrawo o jakieś pięćdziesiąt do stu stóp nad ziemią. W dalszym ciągu Huber, przewodnik i Llanga nie mogli dostrzec ani jednej z tych zagadkowych istot, które potrzasały pochodniami to na dolnych, to na najwyższych gałęziach drzew, co sprawiało wrażenie, jak gdyby ognisty wichur przebiegał wśród, obfitego listowia.

— Ech, to nic innego, tylko błędne ogniki krążące między drzewami! — zawołał Huber.

Chamis potrząsnął głową: wyjaśnienie Maksa nie zadowoliło; go wcale. Z całą pewnością nie chodziło tu o wyziewy wodoru, ulatniającego się w formie płonących par, ani o te pęki promieni, którymi burze wieńczą zarówno drzewa, jak osprzęt statków — nikt nie mógłby pomylić tajemniczych świateł z kapryśnymi “ogniami świętego Elma”<sup>\*</sup>. Atmosfery nie przesycala elektryczność, a chmury groziły raczej jednym z tych ulewnych deszczów, które tak często nawiedzają wnętrza Czarnego Łądu.

Ale w takim razie, jeśli to gromada tubylców obozowała u stóp drzew, po cóż by się wspinali, jedni na rozwidlenie pierwszych konarów, inni na najwyższe gałęzie? I dlaczego wzięli tam ze sobą te ogniste główne, te smolne pochodnie, które spalając się trzeszczały tak głośno, że słycać je było z daleka?

— Naprzód! — rzucił Maks.

— W jakim celu? — zaoponował przewodnik. — Nie sądzę, żeby coś groziło obozowi tej nocy. Lepiej zrobimy wracając od razu na wzgórze; trzeba uspokoić naszych towarzyszy.

— Będziemy mogli ich uspokoić dopiero wtedy, kiedy się upewnimy co do charakteru tego zjawiska.

— Nie, panie Maksie. Nie zapuszczajmy się już dalej... Na pewno jakieś plemię zgromadziło się w tym miejscu. Nie wiemy przy tym, dlaczego ci koczownicy potrzasają swoimi pochodniami i. dlaczego schronili się na drzewa. Może zapalili ogień, żeby odstraszyć dzikie zwierzęta?

— Dzikie zwierzęta? — obruszył się Huber. — Ależ w takim razie słyszelibyśmy ryki i wycie lampartów, hien czy bawołów, a przecież dolatuje do nas jedynie skwierczenie żywicy w pochodniach, które lada chwila wzniecą pożar w puszczy... Nie, muszę się dowiedzieć, co to takiego!

I Maks Huber posunął się znowu naprzód o kilka kroków; za nim szedł Llanga, którego Chamis na próżno usiłował zatrzymać przy sobie.

Widząc, że nie przekona upartego Francuza, przewodnik zawahał się, co mu wypada uczynić. Ostatecznie, nie chcąc zostawiać ryzykanta samego, postanowił towarzyszyć mu aż do brzegu gęstwiny, chociaż jego zdaniem było to niewybaczalną lekkomyślnością.

Raptem stanął jak wryty, a w tej samej chwili zatrzymali się także Maks Huber i Llanga. Wszyscy trzej odwrócili się plecami do lasu: tajemnicze ognie przestały nagle przykuwać ich uwagę. Pochodnie zgasły zresztą jak od podmuchu gwałtownego huraganu i głębokie ciemności spowiły horyzont.

Od strony przeciwnej nadbiegał z oddali przytłumiony rumor, coś jakby połączenie przeciągłych ryków i chrapliwych, nosowych pomruków; zdawać się mogło, że to jakieś gigantyczne organy zalewają falami dźwięków równinę.

Czyżby to burza nadciągała z tej strony, czyżby pierwsze grzmoty wstrząsały powietrzem?

---

<sup>\*</sup> Ognie świętego Elma — płomyki ukazujące się na masztach i olinowaniu statków skutkiem wyładowań elektrycznych w atmosferze.

Nie. Nie zanosiło się wcale na jeden z owych kataklizmów, które nawiedzają tak często Afrykę Środkową na całej jej szerokości, od wschodniego do zachodniego wybrzeża. Ryki pochodziły bez wątpienia ze zwierzęcych gardzieli, nie były echem grania piorunów w głębokościach nieba. Wydawały je jakieś olbrzymie paszcze, a nie nasyczone elektrycznością chmury. Nieboskłonu nie przecinały poza tym ogniste zygzaki, ukazujące się jedne po drugich w krótkich odstępach czasu; ani jedna błyskawica nie rozświetliła horyzontu na północy, równie mrocznego jak południowy. Ani jedna ognista smuga nie przebiła stłoczonych, kulistych chmur, wznoszących się jedne nad drugimi jak zwały mgieł.

— Co to może być? — zapytał Maks Huber.

— Prędko! Do obozu! — krzyknął przewodnik.

— Czyżby... — zaczął Maks nasłuchując bacznie odgłosów dobiegających z równiny.

Chwytał teraz uchem wyraźne trąbienie, chwilami tak przenikliwe jak gwizd lokomotywy, na tle głuchego dudnienia, które rosło z każdą sekundą.

— Do obozu! — wrzasnął przewodnik. — I to biegiem!

## ROZDZIAŁ III

### POGROM

Maks Huber, Llanga i Chamis w niespełna dziesięć minut znaleźli się u stóp wzgórza. Nie obejrzeliby się ani razu, nie dbając o to, czy tubylcy, po zgaszeniu swoich pochodni, nie puścili się za nimi w pogoń. Nic takiego zresztą się nie stało i na skraju lasu panował zupełny spokój, gdy tymczasem z przeciwnej strony równina nappełniała się nieokreślonym ruchem i przeraźliwymi odgłosami.

Kiedy obaj mężczyźni i chłopiec przybyli do obozu, znaleźli swych towarzyszy w najwyższej trwodze; była ona zresztą zupełnie usprawiedliwiona — groziło im przecież niebezpieczeństwo, przed którym nie mogła ich uchronić ani odwaga, ani inteligencja. Niepodobna było stawić mu czoła, a co do ucieczki... czyż jeszcze był na to czas? Maks Huber i Chamis podbiegli natychmiast do Corta i Urdaxa, stojących o pięćdziesiąt kroków przed wzgórzem.

— Stado słoń! — rzucił przewodnik.

— Tak — stwierdził Portugalczyk. — I za niecały kwadrans przejdą po naszych karkach.

— Uciekajmy do lasu — zaproponował John Cort.

— To jedyny ratunek — zauważył Chamis.

— A co się stało z tubylcami? — dowiadywał się Cort.

— Nie mogliśmy ich dojrzeć — odpowiedział Maks Hubei.

— A jednak nie opuścili chyba skraju puszczy?

— Z całą pewnością jeszcze tam są.

W oddali, o pół mili mniej więcej, można było rozróżnić szelkę, falującą masę cieni, które poruszały się na przestrzeni około stu sążni. Był to jak gdyby olbrzymi wał wodny, który z łoskotem rozwija swe rozwichrzone skręty. Odgłos ciężkiego, stąpania rozchodził się poprzez warstwy elastycznego gruntu i drgania te dobiegały aż do korzeni tamaryndowców. Jednocześnie ryki osiągały straszliwą intensywność. Przenikliwe świsty, grzmiące jak miedź tony dobywały się z setek trąb niby ogłuszająca, zwielokrotniona pobudka wojskowa.

Badacze Afryki Środkowej nie bez racji porównywali te odgłosy do łoskotu pancernego pociągu podjeżdżającego pełną parą do pola bitwy. Słusznie! Ale trzeba by jeszcze dodać, że towarzyszą mu rozdzierające dźwięki trąbek wzywających do ataku. Osądźcie sami, jakie przerażenie ogarnęło uczestników wyprawy, których za chwilę miało zniweczyć rozpedzone stado!

Polowanie na te olbrzymy łączy się zawsze z poważnym niebezpieczeństwem, które zmniejsza się tylko wtedy, gdy myśliwi zdołają podejść pojedynczą, odłączoną od stada sztukę i, wyzyskując okoliczności zapewniające celność strzału, trafić zwierzę w głowę, pomiędzy okiem i uchem, co niemal od razu kładzie je trupem. W innym wypadku, choćby stado składało się jedynie z pół tuzina słoń, niezbędne jest jak najsurowsze przestrzeganie środków ostrożności, najdalej posunięta przezorność. Niepodobna oprzeć się dziesięciu czy dwunastu rozjuszonym słonom, kiedy — jak by powiedział matematyk — ich masa zostaje pomnożona przez kwadrat ich prędkości. A jeśli te straszliwe bestie rzucają się na obóz stadem liczącym setki sztuk — nic nie zdoła powstrzymać takiego natarcia, jak nic nie zawróci w biegu lawiny albo powrotnej fali, która wpędza statki w głąb łądu, na kilka kilometrów od brzegu morza.

Jednakże, mimo wielkiej ich liczby, zwierzęta te muszą w końcu wyginąć: wartość pary kłów wynosi przeciętnie sto franków, toteż poluje się na nie bez litości.

Według obliczeń specjalistów zabija się co roku w Afryce nie mniej niż czterdzieści tysięcy słoń, co daje siedemset pięćdziesiąt tysięcy kilogramów kości słoniowej, wysyłanej

przeważnie do Anglii. Zanim upłynie pół wieku, nie pozostanie z nich zapewne ani jedna sztuka, chociaż normalnie dożywają późnej starości. Czyż nie byłoby rozsądniej ciągnąć zyski z oswojenia tych cennych zwierząt? Przecież słoń może udźwignąć ciężar, któremu trzydziestu dwóch ludzi zaledwie dałoby radę, i przebywać cztery razy dłuższe odcinki drogi niż najlepszy piechur! Poza tym jako zwierzę domowe byłby wart, tak jak w Indiach, od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy franków, zamiast stu, które przynosi po śmierci.

Słonie afrykańskie i azjatyckie są jedynymi istniejącymi dzisiaj przedstawicielami trąbowców. Różnią się one nieco pomiędzy sobą: pierwsze są wyższe od swych azjatyckich pobratymców, mają ciemniejszą skórę, bardziej wypukłe czoła, o wiele większe uszy i dłuższe kły; odznaczają się także dzikszym usposobieniem, niemożliwym prawie do poskromienia.

W czasie ostatniej ekspedycji zarówno Portugalczyk, jak i dwaj myśliwi—amatorzy mogli sobie tylko powinszować rezultatów polowania. Słonie są jeszcze — trzeba to podkreślić — bardzo liczne w głębi Afryki. Obszary nad rzeką Ubangi stanowiły ich ulubione tereny — były tam lasy i bagniste równiny, za którymi przepadają. Żyją w stadach, nad którymi czuwają zwykle stare samce. Urdax i jego towarzysze wpędzali słonie do otoczonych palisadami zagród, zastawiali na nie paście i atakowali odbite od stada sztuki.

W ten sposób odbyli kampanię szczęśliwie, bez wypadków, chociaż nie bez niebezpieczeństw i trudów. Ale oto zdawało się, że na drodze powrotnej rozwścieczone stado, którego ryki napełniały powietrze, zgniecie na miazgę całą karawanę.

Portugalczyk zdążył zorganizować obronę, kiedy, jak sądził, zagrażał im atak obozujących na skraju lasu tubylców. Ale cóż mógł uczynić teraz przeciwko takiej napaści? Wkrótce obozowisko rozleci się w proch i pył... Całe zagadnienie polegało na tym, czy ludzie zdołają się uchronić rozpraszając się na równinie. Nie należy zapominać, że słoń biegnie z niesamowitą szybkością, przewyższającą szybkość galopującego konia.

— Trzeba uciekać! Uciekać natychmiast! — nalegał Chamis zwracając się do Portugalczyka.

— Uciekać! — wykrzyknął z rozpaczą Urdax.

Nieszczęsny kupiec zdawał sobie doskonale sprawę, że w ten sposób, opuszczając swój towar, straci cały zysk z ostatniej ekspedycji.

Ale czyż ocaliliby cokolwiek, pozostając w obozowisku? Czyż miało sens upierać się przy niemożliwych do zrealizowania planach obrony? Maks Huber i John Cort czekali cierpliwie, aby dowódca karawany powziął decyzję. Gotowi byli usłuchać go, cokolwiek by postanowił.

Tymczasem olbrzymie stado zbliżało się z takim łoskotem, że trudno już było wzajemnie się dosłyszeć.

Przewodnik powtórzył, że należy uciekać czym prędzej.

— W jakim kierunku? — zapytał Maks Huber.

— W stronę lasu.

— A tubylcy?

— Niebezpieczeństwo jest mniej groźne z tamtej strony niż z tej — odpowiedział Chamis.

Trudno było stwierdzić, czy przewodnik ma rację. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że w tym miejscu pozostać nie można. Jedynym sposobem, aby uniknąć zmiżdżenia, było ukrycie się w puszczy.

Ale czy starczy na to czasu? Trzeba będzie przebyć dwa kilometry, a stado znajdowało się już najwyżej o kilometr od podróży.

Wszyscy zaczęli przynaglać Urdaxa, aby wydał jakiś rozkaz, ale kupiec nadal nie umiał powziąć decyzji.

— Wóz! — krzyknął wreszcie. — Trzeba go ukryć za wzgórzem! Może tam ocaleje!

— Za późno — odrzekł przewodnik.

— Rób, co ci mówię! — rozkazał Portugalczyk.



— Ale w jaki sposób? — zaproponował Chamis. Rzeczywiście, woły z zaprzęgu zerwały pęta i uciekły, zanim ktokolwiek zdołał je zatrzymać; rozszalałe, pobiegły prosto w kierunku olbrzymiego stada, które za chwilę miało je zgnieść jak muchy.

Widząc to, Urdax postanowił do przetoczenia wozu użyć swych ludzi.

— Tragarze! Do mnie! — wykrzyknął.

— Tragarze? — odezwał się Chamis. — Może ich pan wzywać do woli. Właśnie biorą nogi za pas.

— Tchórze! — ryknął Urdax.

Istotnie, wszyscy Murzyni wypadli z obozu, pędząc w kierunku zachodnim, obladowani tobołami i kością słoniową. Porzucali swych panów, ograbiając ich równocześnie.

Nie można już było liczyć na tych ludzi. Nie powrócą na pewno, znalazłszy schronienie w tubylczych wioskach. Z całej karawany pozostali jedynie Portugalczyk, przewodnik, Francuz, Amerykanin i mały murzyński chłopiec.

— Wóz, wóz! — powtarzał Urdax, który upierał się, by ukryć go poza wzgórzem.

Chamis nie mógł się powstrzymać i wzruszył ramionami. Posłuchał jednakże i wraz z Huberem i Cortem podciągnął ciężki wehikuł do grupy drzew. Być może stado oszczędzi go, jeśli rozdzieli się, podbiegłszy do lasu tamaryndowców.

Przetoczenie wozu zabrało jednak trochę czasu i kiedy z tym skończono, zrobiło się najoczywistej zbyt późno, by Portugalczyk i jego towarzysze mogli dotrzeć do skraju puszczy.

Chamis obliczył to błyskawicznie i rzucił tylko dwa słowa:

— Na drzewa!

Pozostawała jeszcze ta jedna szansa ocalenia: wspiąć się między konary tamaryndowców, aby uniknąć przynajmniej pierwszego uderzenia.

Maks Huber i John Cort wskoczyli jeszcze do wozu i przy pomocy Portugalczyka i Chamisa w ciągu sekundy obladowali się wszystkimi pozostałymi paczkami nabojów. Mieli więc teraz amunicję na wypadek, gdyby przyszło odpierać atak słoni, a także gdyby zdołali podjąć na nowo wędrówkę. Przewodnik zaopatrzył się też przezornie w siekierkę i bukłak na wodę. Kto wie, czy podążając przez nizinne obszary Ubangi, nie zdołają jednak dotrzeć do faktorii na wybrzeżu?

Któraż to mogła być godzina? John Cort oświetlił płomieniem zapalki swój zegarek i stwierdził, że jest siedemnaście minut po jedenastej. Amerykanin nie stracił zimnej krwi i oceniał jasno sytuację: była ona jego zdaniem niezwykle groźna, a nawet bez wyjścia, jeśli słonie nie ominą wzgórz, skręciwszy na zachód albo na wschód równiny.

Maks Huber, bardziej nerwowy od przyjaciela, a równie jak on świadomy niebezpieczeństwa, chodził tam i z powrotem wzdłuż wozu, obserwując olbrzymią, falującą masę, która coraz ciemniejszym konturem odcinała się na tle nieba.

— Armaty w sam raz by się tu nadały — mrucał do siebie.

Z twarzy Chamisa nie można było wyczytać, co przeżywa. Odznaczał się owym zadziwiającym spokojem, który cechują Afrykanów o przymieszce arabskiej krwi, opanowanych i odpornych na cierpienia fizyczne. Z dwoma rewolwerami u pasa, z karabinem gotowym do strzału, czekał w milczeniu na rozwój wypadków.

Portugalczyk natomiast nie był w stanie ukryć rozpacz; o wiele więcej dręczyła go przy tym myśl o niepowetowanych stratach materialnych niż groza strasznego natarcia. Toteż jęczał, wyrzekał i sypał najbardziej soczystymi przekleństwami! w swym ojczystym języku.

Llanga stał obok Johna, nie spuszczać oczu z Maksa Hubera. Nie objawiał najmniejszego niepokoju z tej prostej przyczyny, że nie bał się wcale, skoro obaj jego opiekunowie byli przy nim.

A przecież ogłuszający łoskot rozchodził się z niesamowitą gwałtownością, w miarę jak zbliżała się straszliwa kawalkada.: Z podwójną siłą grzmiało potężne trąbienie. Czuło się już

mocny podmuch, który rozciął powietrze jak wiatr zwiastujący burzę. Z tej odległości, liczącej już tylko czterysta czy pięćset kroków, gruboskóre zwierzęta przybierały w mroku kolosalne rozmiary i kształty potworów. Wyglądały jak zgraja apokaliptycznych bestii, a ich trąby, niby tysiące węzów, wiły się konwulsyjnie we wściekłym podnieceniu.

Portugalczyk i jego towarzysze mieli zaledwie tyle czasu, by schronić się wśród gałęzi tamaryndowców. Spodziewali się, że stado minie ich może, nie zauważąwszy nikogo.

Korony drzew wznosiły się na jakieś piętnaście metrów nad ziemią. Tamaryndowce, podobne nieco do orzechów włoskich, o charakterystycznej sylwetce wskutek kapryśnego układu gałęzi, są bardzo rozpowszechnione w wielu strefach Afryki. Z lepkiego miąższu ich owoców Murzyni przyrządzają orzeźwiający napój, a łuski dodają do ryżu, który stanowi podstawę pożywienia ludności, zwłaszcza w prowincjach nadmorskich.

Tamaryndowce rosły blisko siebie i niższe ich gałęzie były ze sobą mocno splecione, co pozwalało przechodzić z łatwością z jednego drzewa na drugie. Pnie miały od dwu do dwu i pół metra obwodu u podstawy, a około półtora metra u pierwszego rozwidlenia konarów. Czy drzewa tej grubości potrafią stawić dostateczny opór, jeśli zwierzęta ruszą na wzgórze? Pnie miały zupełnie gładką powierzchnię aż do miejsca, z którego wyrastały pierwsze gałęzie, sterczące o dziesięć mniej więcej metrów nad ziemią. Dotarcie do rozwidlenia konarów przedstawiałoby, z powodu grubości pnia, poważne trudności, gdyby nie to, że Chamis miał do dyspozycji towarzyszy kilka "szamboków". Są to nadzwyczaj giętkie rzemienie ze skóry nosorożca, z których przewodnicy karawan sporządzają uprzęż dla wołów. Za pomocą jednego z tych rzemieni, zarzuconego na rozwidlenie, Urdax i Chamis mogli się wdrapać na drzewo. Drugim posłużyli się w ten sam sposób Maks Huber i John Cort, aby się dostać na sąsiedni tamaryndowiec. Gdy tylko usadowili się okrakiem na gałęzi, spuścili koniec szamboka Llandze i wciągnęli chłopca w okamgnieniu.

Stado było już o trzysta metrów zaledwie. Za dwie lub trzy minuty mogło dotrzeć do wzgórza.

— Jak tam? Zadowolony jesteś nareszcie? — spytał ironicznie John Cort przyjaciela.

— To tylko jeszcze jedno nieprzewidziane zdarzenie, mój drogi — odparł Maks.

— Zapewne. Nadzwyczajnym stanie się dopiero wtedy, kiedy wyjdziemy cało z tej afery.

— No tak... W gruncie rzeczy lepiej może było nie narażać się na zetknięcie ze stadem słoń, które potrafią być niekiedy mocno brutalne...

— Nie do wiary, mój drogi Maksie, jak bardzo nasze poglądy się zgadzają!

John Cort poprzestał na tej odpowiedzi, przy czym nie mógł już dosłyszeć repliki Hubera, gdyż w tym właśnie momencie buchnęły w niebo ryki przerażenia, a potem bólu, od których zdrząłby największy śmiałek.

Urdax i Chamis rozgarnęli listowie i ujrzeli scenę rozgrywającą się o jakieś sto kroków od wzgórza.

Woły, które uciekły początkowo w kierunku pędzącego stada, zawróciły teraz i usiłowały dostać się do lasu. Ale czyż te zwierzęta o powolnym i miarowym chodzie mogły tam dotrzeć w porę? Nie było to możliwe i woły zachwiały się wkrótce pod pierwszym ciosem. Na próżno wierzgały i bodły rogami — w jednej chwili znalazły się na ziemi. Z całego zaprzęgu pozostało jedno tylko zwierzę, które na nieszczęście, schroniło się pod gałęziami tamaryndowców.

Na nieszczęście, gdyż słonie pognały tam za nim i wiedzione instynktem, zatrzymały się wszystkie jednocześnie. W ciągu kilku sekund wół zamienił się w stos poszarpanego mięsa i zmiżdżonych kości, krwawych szczątków rozdeptanych nogami o zrogowaciałej skórze i paznokciowatych kopytach twardych jak żelazo.

Wzgórze zostało otoczone i należało zrezygnować z nadziei, że rozwścieczone bestie oddalą się, nie zwierzywszy podróżnych.

W jednej chwili potężne cielska nacierające na wzgórze potrąciły i zwały wóz, zakręciły nim i starły go na miazgę. Nic nie pozostało ani z kół, ani z pudła wehikułu, zniszczonego jak dziecinna zabawka.

Prawdopodobnie nowe przekleństwa sypnęły się z ust Portugalczyka, ale nie był to środek mogący powstrzymać natarcie setek słoni. Tak samo nic nie pomógł strzał wymierzony przez Urdaxa w najbliższego napastnika, którego trąba oplatała już pień drzewa. Kula odskoczyła od grzbietu przeciwnika, nie przebiwszy wcale skóry.

Maks Huber i John Cort zrozumieli dobrze beznadziejność sytuacji. Gdyby przyjęć nawet, że każdy strzał będzie celny, że od każdej kuli padnie jedno zwierzę, pozbyliby się straszliwych napastników tylko wówczas, gdyby stado liczyło niewielką ilość sztuk. Wschód słońca oświetliłby wtedy górę olbrzymich trupów u stóp tamaryndowców. Ale mieli przecież do czynienia z trzema lub pięcioma setkami tych bestii, a może i z tysiącem! Czyż nie spotyka się często podobnych hord na obszarach Afryki Równikowej? Czyż podróżnicy i kupcy nie opowiadają o bezkresnych równinach pokrytych jak okiem sięgnąć wszelkiego rodzaju zwierzyzną?

— Sprawy się komplikują — zauważył John Cort.

— Można nawet powiedzieć, że przybierają fatalny obrót — dorzucił Maks Huber. — Czy się nie boisz? — zwrócił się do murzyńskiego chłopca, który tuż przy nim siedział okrakiem na gałęzi.

— Nie, wujku Maksie. Z wujkiem wcale się nie boję.

A przecież nie tylko dziecku, ale i dorosłym mężczyznom mogło zamierać serce z okrutnej trwogi. Słonie zauważyły już bez wątpienia ostatnich niedobitków karawany, ukrytych w gałęziach tamaryndowców.

I oto dalsze szeregi zaczęły naciskać na bliższej krąg zwierząt wokół wzgórza zacieśniał się coraz bardziej. Ze dwunastu napastników próbowało pochwycić trąbami najniższe gałęzie, wspierając się na tylnych nogach. Na szczęście jednak odległość dziesięciu metrów okazała się dla nich zbyt wielka.

Cztery wystrzały karabinowe huknęły jednocześnie; podróżni dali je na ślepo, gdyż niepodobna było celować dokładnie w głębokiej ciemności panującej pod koronami drzew. W odpowiedzi buchnęły jeszcze gwałtowniejsze ryki, jeszcze wścieklejsze wycia. Nie wyglądało jednak na to, by kule ugodziły śmiertelnie którekolwiek ze zwierząt. A zresztą gdyby nawet padło czterech napastników, czyż mogło to mieć jakieś znaczenie?

Słonie zrezygnowały po chwili z zamiaru uchwycenia trąbami dolnych gałęzi i otoczyły nimi pnie drzew, na które napierały jednocześnie całym ciężarem swych cielsk. Tamaryndowce, aczkolwiek niezmiernie grube u nasady i solidnie wczepione w grunt korzeniami, odczuły natychmiast te potworne wstrząsy; niedługo zapewne zdołają się im opierać!

Zabrzmiały znowu wystrzały — tylko dwa tym razem, z karabinów Portugalczyka i Chamisa. Drzewo, na którym siedzieli, potrząsane niezwykle gwałtownie, groziło natychmiastowym upadkiem.

Huber i jego towarzysze nie użyli broni, chociaż trzymali ją w pogotowiu.

— Strzelanie nie zda się teraz na nic — odezwał się John Cort.

Tak, lepiej oszczędzać amunicji — potwierdził Maks. — Moglibyśmy później gorzko żałować wystrzelonego tutaj ostatniego naboju.

Tymczasem tamaryndowiec, którego trzymali się kurczowo Urdax i Chamis, potrząsany z furją raz po raz, zaczął pękać z traskiem na całej swojej długości. Bez wątpienia, jeśli nawet nie zostałby wyrwany z korzeniami, musiał połamać się w drzazgi. Zwierzęta zadawały mu ciosy potężnymi kłami, gięły go trąbami, wstrząsały nim aż do korzeni. Pozostawanie na nim choćby minutę dłużej groziło stoczeniem się do stóp wzgórza.

— Za mną! — zawołał przewodnik próbując przedostać na sąsiednie drzewo.

Ale Portugalczyk stracił kompletnie głowę i strzelał dalej beładnie z karabinu i rewolwerów, których kule odbijały się szorstkiej skóry słoni jak od pancerza aligatora.

— Za mną! — powtórzył Chamis.

W momencie kiedy tamaryndowiec zachwiał się gwałtownie, przewodnik zdołał pochwycić gałąź drugiego drzewa, mniej narażonego na ataki rozjuszonych zwierząt, na którym schronił się Huber, Cort i Llanga.

— Gdzie Urdax?! — zawołał John.

— Nie chciał pójść za mną — odpowiedział przewodnik. Oszalał zupełnie...

— Nieszczęśnik! Spadnie lada chwila!

— Nie możemy go zostawić na łasce losu — powiedział Mai Huber.

— Trzeba go tutaj ściągnąć siłą — dodał John Cort.

— Za późno! — krzyknął Chamis.

Istotnie, było już za późno na ratunek. Złamany tamaryndowiec zwałił się z trzaskiem do stóp wzgórza.

Towarzysze Portugalczyka nie mogli dostrzec, co się z nim stało. Kilka przeraźliwych okrzyków dało im znać, że szamotał się jeszcze przez chwilę pod nogami słoni. Ale wkrótce rozpaczliwe wołania ucichły, tragedia dobiegła końca.

— Biedaczysko, biedaczysko! — wyszeptał John Cort.

— A teraz na nas kolej — powiedział Chamis.

— Nie będzie to przyjemny moment! — odparł chłodno Huber.

— I tym razem zgadzam się z tobą w zupełności — oświadczaj Cort.

Cóż mogli przedsięwziąć? Słonie rozdeptywały wzgórze, potrzęsały sąsiednimi drzewami, które chwiały się jak pod naporem burzy. Czyż straszliwa śmierć Urdaxa nie była także przeznaczona jego towarzyszom, czyż mieli go przeżyć o kilka minut zaledwie? Czy istniała możliwość opuszczenia tamaryndowca, zanim zwali się na ziemię?

A gdyby spróbowali spuścić się z drzewa i dotrzeć do równiny, czy zdołaliby uciec przed pościgiem stada? Czy zdążyliby schronić się w lesie? Zresztą las nie gwarantował wcale pełnego bezpieczeństwa. Gdyby słonie nie pogoniły za nimi, czyż nie umknęliby rozwścieczonym zwierzętom tylko po to, aby wpaść w ręce niemniej okrutnych tubylców?

Jednakże gdyby nadarzyła się okazja ukrycia się poza skrajem puszczy, powinni z niej bez wahania skorzystać. Prosty rozsądek nakazywał przecież wybrać mniejsze niebezpieczeństwo.

Drzewo chwiało się nieustannie na wszystkie strony i w czasie jednego z silniejszych przegięć kilka trąb dosięgło dolnych gałęzi. Chamis i jego towarzysze, pod wpływem gwałtownych wstrząsów, o mało nie wypuścili z rąk konarów. Maks Huber, w obawie o Llangę, objął chłopca lewą ręką, przytrzymując się z całej siły prawą. Za krótką chwilę albo ustąpią korzenie, albo pień pęknie u nasady. Upadek zaś tamaryndowca oznaczał śmierć tych wszystkich, którzy się schronili w jego gałęziach, straszliwe zmiżdżenie, jakie stało się udziałem Portugalczyka Urdaxa.

Korzenie nie wytrzymały wreszcie coraz silniejszych i coraz liczniejszych ciosów; grunt wykruszył się i drzewo nie runęło, lecz legło z wolna wzdłuż wzgórza.

— Do lasu! Do lasu! — krzyknął Chamis.

Z tej strony, gdzie gałęzie tamaryndowca zamiotły ziemię, słonie cofnęły się, pozostawiając wolną drogę. W jednej chwili poskoczył tam przewodnik karawany, a trzej pozostali uciekinierzy, którzy dosłyszeli jego wołanie pomknęli za nim natychmiast.

Na razie zwierzęta nie dostrzegły ich, zajęte wściekłym atakiem na ocalałe jeszcze drzewa. Maks Huber, trzymając w objęciach małego Llangę, pędził co sił przed siebie. John Cort biegł u Jego boku, gotów odebrać od niego i ponieść z kolei chłopca, jak również poczęstować kulą karabinową pierwszego napastnika, który wyjdzie na strzał.

Uciekinierzy przebyli zaledwie pół kilometra, kiedy dziesięć mniej więcej słoni odłączyło się od stada i puściło za nimi w pogoń.

— Odwagi! Odwagi! — zawołał Chamis. — Wyprzedziliśmy je znacznie! Zachowajmy tylko tę przewagę, a dobiegniemy na pewno!

Tak, być może, ale chodziło o to, aby nie zmniejszyć tempa. Tymczasem Llanga wyczuł, że Huber opada z sił.

— Puść mnie, puść, wujku Maksie! Mam dobre nogi! Puść mnie.

Huber nie słuchał go i usiłował nie pozostawać w tyle.

Przebiegli w ten sposób cały kilometr, a odległość między nimi i stadem nie zmniejszyła się znacznie. Na nieszczęście szybkość uciekających zaczęła teraz gwałtownie maleć — brakowało im tchu po tym straszliwym galopie.

Ale brzeg lasu znajdował się już tylko o paręset kroków; czyż nie istniało przynajmniej prawdopodobieństwo, jeśli nie pewność, że czeka ich ocalenie poza gęstwiną drzew, wśród której olbrzymie zwierzęta nie będą mogły swobodnie się poruszać?

— Prędeż, prędeż! — powtarzał Chamis. — Niech mi pan poda Llangę, panie Maksie.

— Nie, nie... Wytrzymam do końca...

Jeden ze słoni zbliżył się już na odległość jakichś dwunastu metrów. Uciekający słyszeli przeciągłe świsty jego trąby, na sobie jego gorący oddech. Ziemia drżała od tętentu galopujących, kolosalnych stóp. Jeszcze chwila, a byłby dosięgnął Hubera, który z trudem dotrzymywał kroku towarzyszący.

Wówczas John Cort zatrzymał się, odwrócił, oparł karabin o ramię, celował przez moment, wystrzelił i najwidoczniej trafił słonia w odpowiednie miejsce, gdyż olbrzym runął na ziemię jak rażony piorunem. Kula przeszła mu serce.

— Piękny strzał! — mruknął Cort i zawróciwszy pognął w kierunku lasu.

Pozostałe słonie nadbiegły w kilka sekund później i otoczyły leżące bezwładnie cielsko. W pościgu nastąpiła przerwa, z której Chamis i jego towarzysze nie omieszkali skorzystać. Co prawda nie łudzili się, że gdy tylko główne stado uporają się z ostatnimi drzewami na wzgórzu, natychmiast rzucą się także w stronę lasu.

Żaden ogień nie błyszczał teraz ani na poziomie równiny, ani wśród wierzchołków drzew. Wszystkie kształty zlewały się ze sobą na obwodzie ciemnego horyzontu.

Czyż uciekinierzy — wyczerpani, bez tchu — zdołają osiągnąć cel?

— Dalej, dalej! — krzyczał Chamis.

Do skrajów puszczy pozostało tylko pięćdziesiąt kroków, ale słonie były już o czterdzieści z tyłu.

Za cenę najwyższego wysiłku, który dobywa z człowieka instynkt samozachowawczy, Chamis, Maks Huber i John Cort dopadli pierwszych drzew i osunęli się na ziemię jak martwi.

Na próżno stado usiłowało przekroczyć ścianę lasu. Drzewa tłoczyły się tak gęsto, że olbrzymie zwierzęta nie mogły się pomiędzy nimi przecisnąć, a pnie były tak grube, że żadna siła nie zdołałaby ich przewrócić. Bezskutecznie trąby wślizgiwały się w szpary, bezskutecznie ostatnie szeregi napierały na stojących bliżej towarzyszy.

Uciekinierzy mogli już nie obawiać się słoni — nieprzebytym murem odgradziła ich od napastników puszcza Ubangi.

## ROZDZIAŁ IV

### POWZIĘCIE DECYZJI

Dochodziła północ. A więc pozostawało jeszcze sześć godzin mających upłynąć w kompletnych ciemnościach, sześć długiej godzin pełnych napięcia i grozy. Zdawało się rzeczą pewną, że Chamis i jego towarzysze znaleźli szczęśliwe schronienie poza niezdobytą barierą drzew, ale w ten sposób tylko z jednej strony zapewnili sobie bezpieczeństwo. Czyż nie widzieli wśród nocy licznych ogników na skraju puszczy? Przecież nawet wierzchołki drzew rozbłysły tajemniczymi światłami! Nie ulegało wątpliwości, że liczna grupa tubylców obozowała w tym miejscu. Czy nie należało spodziewać się napaści?

— Musimy czuwać — powiedział przewodnik, gdy tylko zaczął normalnie oddychać po morderczym dla płuc biegu i kiedy j Francuz i Amerykanin byli wreszcie w stanie mu odpowiedzieć!

— Czuwajmy — zgodzili się John Cort — i bądźmy gotowi do odparcia ataku. Koczownicy z pewnością nie odeszli daleko. Tutaj właśnie rozbili obóz: widzę nawet resztki ogniska, w którym jarzą się jeszcze iskry...

Istotnie o pięć czy sześć kroków od uciekinierów żarzyła się kupka węgla rzucając czerwonawą poświatę.

Maks Huber wstał i z karabinem w ręku wsunął się w gęstwinę. Chamis i John Cort patrzyli z niepokojem w tamtą stronę, gotowi skoczyć za nim w razie potrzeby.

Ale nieobecność Francuza trwała zaledwie trzy czy cztery minuty. Nie zauważył nic podejrzanego, nie usłyszał żadnych hałasów, które mogłyby grozić natychmiastowym niebezpieczeństwem.

— Ta część lasu — powiedział — jest obecnie zupełnie bezludna. Tubylcy opuścili ją z całą pewnością.

— Prawdopodobnie nawet uciekli stąd w popłochu, gdy zobaczyli zbliżające się słońce — zauważył John Cort.

— Być może, bo ognie, które widzieliśmy z panem Maksem, zgasły od razu, kiedy od północy doleciały ryki stada — powiedział Chamis. — Czy zgaszono je przez ostrożność, czy też ze strachu? A przecież ci ludzie mogli się czuć bezpieczni za drzewami... Nie rozumiem doprawdy...

— Bo to jest niemożliwe do zrozumienia — przerwał Huber. — A zresztą noc nie sprzyja wyjaśnieniom. Poczekajmy do świtu, chociaż muszę się przyznać, że z wielkim trudem zdobędę się na czuwanie... Oczy zamykają mi się same...

— Niezbyt odpowiednia chwila na drzemkę — powiedział Cort.

— Nawet zupełnie nieodpowiednia, mój kochany, ale sen nie słucha rozkazów, tylko sam je wydaje... Dobranoc! Zegnajcie do rana!

I po chwili Maks Huber, wyciągnąwszy się pod drzewem, spał jak zabity.

— Połóż się przy nim, Llango — powiedział John Cort — a my z Chamisem będziemy czuwali do świtu.

— Wystarczy, jeśli ja sam zostanę na straży, proszę pana — odparł przewodnik. — Przywykłem do tego. A panu radzę pójść za przykładem przyjaciela.

Na Chamisie można było bez obawy polegać. Z pewnością jego czujność nie osłabnie ani na minutę.

Llango zwinął się w kłębek obok Maksa, ale John Cort opierał się dzielnie zmęczeniu i w ciągu kwadransa jeszcze rozmawiał z przewodnikiem. Wspominali nieszczęsnego Portugalczyka, z którym Chamis od dawna związał swoje losy i którego zalety dwaj młodzi ludzie mogli ocenić w czasie ostatniej ekspedycji.

— Biedaczysko — powiedział Chamis. — Stracił zupełnie głowę, kiedy zobaczył, że opuszczają go tragarze i że przepada cały zysk z wyprawy.

— Biedny człowiek — szepnął John.

Były to ostatnie słowa, jakie zdołał wypowiedzieć. Zmorzony trudami tej nocy, wyciągnął się na trawie i zasnął natychmiast. Chamis jedynie czuwał aż do pierwszych brzasków świtu, wyteżając wzrok, nadstawiając ucha, śledząc najmniejsze szmery; z karabinem pod ręką, przeszukiwał oczyma głębokie ciemności, a niekiedy podnosił się, aby spojrzeć, co dzieje w gęstwinie krzaków tuż nad ziemią. Gotów był w każdej chwili obudzić towarzyszy, gdyby zaszła potrzeba odparcia napaści.

Czytelnik zorientował się już zapewne, na podstawie tego, co powiedzieliśmy dotychczas, że charaktery dwu młodych. przyjaciół, Francuza i Amerykanina, różniły się znacznie pomiędzy sobą.

John Cort odznaczał się powagą i zmysłem praktycznym, zaletami spotykanymi tak często u mieszkańców Nowej Anglii Jankes pełnej krwi, urodzony w Bostonie, miał jednak same dodatnie cechy swych współrodaków. Interesował się żywo geografią i antropologią, studiował zagadnienia ras ludzkich, poza tym bardzo odważny i tak oddany swym przyjaciołom, że nie zawahałby się poświęcić dla nich życia.

Maks Huber, który pozostał typowym paryżaninem w dalekich stronach, dokąd rzucił go los, nie ustępował Cortowi ani pod względem inteligencji, ani szlachetności uczuć. Był tylko o wiele mniej praktyczny od przyjaciela; można by powiedzieć, że pędził życie w krainie poezji, podczas gdy John brał prozę. Gorący temperament rzucał go często w pogoń za niezwykle przygodami. Czytelnik zauważył już na pewno, że Maks gotów był popełniać pożałowania godne szaleństwa, byle tylko zadowolić kaprysy swej wyobraźni; na szczęście jego towarzysz powstrzymywał go nieustannie; tego rodzaju interwencje zdarzyły się też kilkakrotnie od chwili wyjazdu z Libreville.

Miasto Libreville zostało założone w roku 1849 na lewym brzegu Gabonu, przy ujściu tej rzeki do Atlantyku, i liczy nie tysiąc pięciuset lub tysiąc sześciuset mieszkańców. Rezyduje tu gubernator kolonii, którego dom stanowi jedyną okazalszą budowlę w mieście. Szpital, klasztor ojców misjonarzy, a w części przemysłowej kilka składów węgla, magazynów i warsztatów — oto całe Libreville.

O trzy kilometry od miasta znajduje się przynależna doń osada zwana Glass, gdzie prosperują znakomicie liczne faktorie handlowe — niemieckie, angielskie i amerykańskie.

Tam właśnie Maks Huber i John Cort poznali się pięć czy sześć lat temu i zaprzyjaźnili serdecznie. Ich rodziny posiadały znaczne udziały w jednej z tutejszych amerykańskich faktorii, obaj zaś młodzi ludzie zajmowali wysokie stanowiska w jej zarządzie. Placówka robiła doskonale interesy handlując kością słoniową, olejem z orzeszków ziemnych, winem palmowym i różnymi afrykańskimi osobliwościami, jak na przykład orzechami koła, które orzeźwiają i pobudzają apetyt. Produkty te wysyła się w obfitości na amerykańskie i europejskie rynki.

Przed trzema miesiącami Maks Huber i John Cort postanowili zwiedzić obszary rozciągające się na wschód od Konga Francuskiego i Kamerunu. Jako zapaleni myśliwi, przyłączyli się bez wahania do karawany mającej wkrótce opuścić Libreville i udać się do okolic obfitujących w słońce, aż poza rzekę Szari, na tereny graniczące z krajem Bagirmi i Dar Furem. Obaj znali dobrze dowódcę karawany, Portugalczyka Urdaxa, pochodzącego z Angoli, który słusznie uchodził za jednego z najbardziej przedsiębiorczych kupców.

Urdax należał do owego stowarzyszenia; łowców kości słoniowej, którego członków spotkał Stanley w Ipoto w latach 1887–1889, gdy wracali z północnego Konga. Do Portugalczyka nie odnosiła się jednak fatalna reputacja, której zażywali jego kompani. Na ogół bowiem, pod pretekstem polowań na słońce, urządzali oni okrutne pogromy tubylców i

kość słoniowa, którą przywozili ze swoich wypraw, według relacji odważnego badacza Afryki Równikowej, dosłownie ociekała krwią.

Ale Francuz i Amerykanin mogli z czystym sumieniem przebywać z towarzystwie Urdaxa, jak również przewodnika karawany Chamisa, który jak się okazało, w żadnych okolicznościach nie skąpił im dowodów przywiązania i pomocy.

Wiemy już, że wyprawa miała szczęśliwy przebieg. Maks Huber i John Cort, od dawna zaaklimatyzowani w Afryce, znieśli doskonale trudy związane z ekspedycją. Schudli nieco, zapewne, ale cieszyli się znakomitym zdrowiem, do chwili gdy fatalny przypadek przeciął im drogę powrotu. Obecnie los pozbawił ich dowódcy karawany, a od Libreville dzieliła ich jeszcze odległość wynosząca przeszło dwa tysiące kilometrów.

“Wielki Las”, jak Portugalczyk określił puszcę Ubangi, której granicę właśnie przekroczyli, w pełni zasługiwał na tę nazwę.

W paru okolicach naszego globu istnieją takie przestrzenie pokryte milionami drzew; obszar ich przekracza powierzchnię większości państw europejskich.

Jako najrozleglejsze na ziemi wymienia się zwykle cztery puszcze, z których jedna leży w Ameryce Północnej, druga w Ameryce Południowej, trzecia na Syberii, a czwarta w Afryce Środkowej. Pierwsza, dochodząca na północy aż do Zatoki Hudsona i półwyspu Labrador, pokrywa w prowincjach Quebec i Ontario, na północ od Rzeki Św. Wawrzyńca, przestrzeń licząca dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt kilometrów długości i tysiąc sześćset szerokości.

Druga zajmuje w dolinie Amazonki, na północno-wschodnich kresach Brazylii, obszar mający trzy tysiące trzysta kilometrów długości i dwa tysiące szerokości.

Trzecia puszcza, licząca cztery tysiące osiemset na dwa tysiące siedemset kilometrów, jeży się iglastymi olbrzymami, chodzącymi do pięćdziesięciu metrów wysokości, zajmuje ogromną połąć południowej Syberii, od równin w dolinie Obu na zachodzie aż do rzeki Indigirki na wschodzie; przestrzeń tę zraszają Jenisej, Oleniok, Lena i Jana.

Czwarta ciągnie się od doliny rzeki Kongo aż do źródeł Nilu i Zambezi, na przestrzeni nie określonej dotychczas, która jednak przekracza zapewne rozległością pozostałe obszary leśne. Tutaj właśnie znajdują się olbrzymie, nieznane rejony leżące wzdłuż równika, na północ od rzek Ogowe i Kongo, mające około miliona kilometrów kwadratowych powierzchni, a więc blisko dwa razy większe od całej Francji.

Czytelnik pamięta zapewne, że Urdax nie zamierzał przedzierać się przez puszcę; chciał okrążyć ją od północy i zachodu, gdyż wóz zaprzęgnięty w woły w żaden sposób nie mógłby się poruszać w tym labiryncie. Za cenę kilku dodatkowych dni marszu karawana miała się posuwać łatwiejszą drogą wzdłuż granicy lasu, wiodącą na prawy brzeg rzeki Ubangi, skąd z łatwością dotarłaby do faktorii w Libreville.

Obecnie sytuacja się zmieniła. Nie zawadzała już podróżnym liczna gromada tragarzy, nie obciążały ich towary i sprzęt. Nie istniał ani wóz, ani woły, ani urządzenia obozowe. Pozostało jedynie trzech mężczyzn i mały chłopiec, gromadka pozbawiona środków lokomocji, oddalona o setki mil od wybrzeża Atlantyku.

Jaką decyzję należało powziąć? Czy wbrew nie sprzyjającym okolicznościom trzymać się marszruty ustalonej przez Urdaxa? A może próbować, na piechotę, przeciąć ukosem puszcę, gdzie w mniejszym stopniu groziły spotkania z koczowniczymi plemionami? Droga taka skróciłaby znacznie wędrówkę do granic Konga Francuskiego...

Trzeba będzie omówić tę sprawę, potem postanowić coś ostatecznie, gdy tylko Maks Huber i John Cort obudzą się o świcie...

Podczas długich godzin Chamis czuł wytrwale. Na szczęście żaden wypadek nie zakłócił spoczynku podróżnych, nic nie zapowiadało nocnego ataku. Parę razy przewodnik oddalał się o kilkadziesiąt kroków i z rewolwerem w garści pętał wśród gęstwiny, kiedy w pobliżu jakiś podejrzan szelest zwracał jego uwagę. Były to jednak tylko trzaski suchych gałęzi, łopot skrzydeł wielkiego ptaka wśród konarów, ostrożne stąpanie czworonoga wokół



obozowiska, a także owe nieokreślone leśne szelesty, które podmuch nocnego wiatru budzi w wysokim sklepieniu listowia.

Natychmiast po przebudzeniu dwaj przyjaciele zerwali się na równe nogi.

— A tubylcy? — zapytał John Cort.

— Nie pokazali się wcale — odpowiedział Chamis. ~~ Czy nie pozostały jakieś ślady ich pobytu?

— Być może, proszę pana. Zapewne znajdziemy je bliżej skraju lasu.

— Chodźmy zobaczyć!

Wszyscy trzej, wraz z Llangą, ruszyli ostrożnie w kierunku równiny. Już o trzydzieści kroków znaleźli śladów pod dostatkiem: odciski stóp, wygniecioną trawę pod drzewami, na pół spalone szczątki smolnych gałęzi, kupki popiołu z tłącymi jeszcze iskierkami żaru, suche ciernie, z których sączyły się smużki dymu. Nie dostrzegli natomiast żadnej ludzkiej istoty, ani w niskich zaroślach, ani wśród gałęzi drzew, gdzie tak niedawno tańczyły ruchome płomyki.

— Odeszli — powiedział Maks Huber.

— Oddalili się w każdym razie — stwierdził Chamis. — Zdaje mi się, że nie potrzebujemy się obawiać...

— Tubylcy odeszli — przerwał mu John Cort — ale słonie nie zamierzają brać z nich przykładu.

Istotnie, potworne bestie wałęsały się ciągle w pobliżu lasu. Kilka z nich usiłowało na próżno podważyć rosnące na skraju puszczy drzewa, napierając na nie potężnie. Chamis i jego towarzysze zauważyli, że z grupy tamaryndowców nie pozostał ani jeden. Wzgórze, ogołoczone z cienistych drzew, tworzyło tylko lekką wypukłość na powierzchni równiny.

Idąc za radą przewodnika, Maks Huber i John ukryli się przed wzrokiem słońi; mieli nadzieję, że stado opuści wkrótce skraj lasu.

— Moglibyśmy wtedy wrócić do obozowiska — powiedział Maks — i odnaleźć jakieś ocalałe resztki... Parę skrzyń z konserwami, amunicję...

— Powinniśmy także urządzić przyzwoity pogrzeb temu biedakowi Urdaxowi — dodał John.

— Nie ma o tym mowy, dopóki słonie kręcą się na skraju puszczy — sprzeciwił się Chamis. — A zresztą, jeśli chodzi o nasze zapasy i sprzęt, musiała z nich pozostać bezkształtna miazga.

Przewodnik miał rację, a ponieważ słonie nie zdradzały najmniejszej ochoty, by się stąd wycofać, podróżnym pozostawało tylko powziąć decyzję, co robić dalej. Chamis, John Cort, Maks Huber i Llanga wrócili więc do miejsca nocnego postoju.

W drodze Huber miał szczęście: ustrzelił okazałe zwierzę, które mogło im dostarczyć żywności na dwa lub trzy dni.

Była to antylopa o popielatej sierści przetkanej brunatnymi włoskami; zabita sztuka — rosły samiec o kręconych rogach — miała pierś i brzuch pokryte gęstym futrem. Kula trafiła zwierzę w momencie, gdy wysunęło głowę spośród zarośli.

Antylopa ważyła z pewnością od dwustu pięćdziesięciu do trzystu funtów. Gdy runęła na ziemię, Llanga rzucił się ku niej jak młody psiak. Oczywiście jednak nie zdołałby zaaportować tak ciężkiej zwierzyny i trzeba było przyjść mu z pomocą.

Przewodnik, który znał się dobrze na tego rodzaju zabiegach, poćwiartował zwierzę i oddzielił najlepsze części mięsniwa. Odniesiono je do jednego z wygasłych ognisk, gdzie John Cort spalił w ciągu paru minut naręcze suchych gałęzi, po czym na warstwie żarzących się węglików Chamis ułożył kilka apetycznych płatów combra.

Nie było co marzyć o konserwach i sucharach, których tak wielkie zapasy posiadała karawana; zapewne większą ich część porwali uciekający tragarze. Na szczęście w lasach

Afryki Środkowej, obfitujących w zwierzynę, myśliwy może nie obawiać się głodu, jeśli potrafi się zadowolić mięsem pieczonym na rożnie lub na żarzących się węglach.

Trudność polega jednak na tym, że trzeba zawsze dysponować dostateczną ilością amunicji. John Cort, Huber i Chamis mieli po karabinie precyzyjnym oraz po rewolwerze i ta broń, w rękach zręcznych strzelców, powinna oddawać nie lada przysługi, pod warunkiem, że ładownice będą wypełnione jak należy. Otóż, choć podróżni przed opuszczeniem wozu wypchali kieszenie nabojami, mogli oddać co najwyżej jakieś pięćdziesiąt strzałów. Trzeba przyznać, iż wyposażenie to było nadzwyczaj skromne, zwłaszcza jeśli zaszłaby konieczność odparcia napaści koczowników lub dzikich zwierząt na przestrzeni sześciuset kilometrów dzielących podróżnych od prawego brzegu Ubangi. Począwszy od tego punktu, mogli się już bez trudu zaopatrzyć w żywność bądź w wioskach tubylczych, bądź w misjach, bądź nawet na flotyllach łodzi płynących z prądem wielkiego dopływu Konga.

Chamis i jego towarzysze najedli się solidnie mięsa, popili ucztę wodą z przejrzystego źródła, które było pomiędzy drzewami, po czym trzej mężczyźni zaczęli się naradzać, co robić dalej.

Pierwszy zabrał głos John Cort.

— Do tej pory, Chamisie — rzekł — Urdax był naszym dowódcą. Mieliśmy do niego pełne zaufanie i bez wahania stosowaliśmy się do jego wskazówek. Takie samo zaufanie ty w nas budzisz obecnie, dzięki twemu doświadczeniu i zaletom twego charakteru. Powiedz nam, co według ciebie należy uczynić w sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się wszyscy, a bez wątpienia usłuchamy twojej rady.

— Nie przyjdzie nam nigdy do głowy klócić się z tobą, możesz być pewien — dorzucił Maks Huber.

— Znasz doskonale te strony — podjął Cort. — Od wielu lat prowadzisz tędy karawany z oddaniem, które mieliśmy sposobność ocenić. Właśnie do twego oddania i do twojej wierności w przyjaźni odwołuję się w tej chwili i wiem, że nas nie zawiedziesz.

— Mogą panowie na mnie liczyć — odrzekł z prostotą przewodnik.

I uściskał dłonie, które obaj przyjaciele i Llanga do niego.

— Co mamy robić, twoim zdaniem? — zapytał Cort. — Czy powinniśmy, zgodnie z planami Urdaxa, okrążyć puszcę od zachodu, czy też zrezygnować z tego projektu?

— Trzeba pójść przez las — odpowiedział bez wahania przewodnik. — Nie będziemy tu narażeni na niebezpieczne spotkania. Natrafimy może na dzikie zwierzęta, ale nie zetkniemy się z tubylcami. Ani Pahuinowie, ani lud Dinka, Fondo czy Budżosi, ani żadne plemię znad Ubangi nie zapuszcza się nigdy do wnętrza dżungli. O wiele ryzykowniejsza byłaby dla nas droga przez równinę, zwłaszcza ze względu na hordy koczowników. A w puszczy, tam gdzie karawana ze swymi wozami nie mogłaby się przecisnąć, ludzie piesi dadzą sobie doskonałe radę. Powtarzam panom: skierujmy się na południowy zachód, a ręczę, że przybędziemy szczęśliwie do wodospadów Zongo.

Wodospady te przegradzają rzekę Ubangi w tym miejscu, gdzie porzuca ona swą drogę na zachód i skręca na południe. Według relacji podróżników do tego właśnie punktu dociera wysunięta odnoga olbrzymiego lasu. Następnie wędrowcy posuwaliby się nizinnym krajem leżącym wzdłuż równika; dzięki licznym w tych stronach karawanom mieliby zapewnione wyżywienie i środki transportu.

Rada Chamisa była nadzwyczaj rozsądna. Ponadto proponowana przez niego marszruta skracała znacznie drogę do brzegów Ubangi. Całe zagadnienie sprowadzało się do tego, jakie przeszkody napotkają w niezgłębionej puszczy. Nie należało się spodziewać, że istnieją w niej jakiegokolwiek drogi — najwyżej mogły to być ścieżki wydeptane przez dzikie zwierzęta, bawoły, nosorożce i inne. Ziemię pokrywała zapewne gęstwina krzaków, trudna do przebycia bez pomocy topora, gdy Chamis miał jedynie małą siekierkę, a jego towarzysze — po

scyzoryku. Mimo wszystko jednak wędrowcy nie przewidywali zbyt wielkich opóźnień w trakcie przeprawy.

Omówiwszy z grubsza te obiekcje, John Cort nie wahał się dłużej. Bo i po co mieli się zajmować drobnymi przeszkodami, skoro nie przerażała ich największa trudność, jaką stanowiło trzymanie się obranego kierunku pod drzewami o tak gęstych koronach, że słońce, nawet stojąc w zenicie, nie mogło przebić ich mrocznej kopuły?

Pewne rasy — między innymi Chińczycy i plemiona indiańskie zamieszkujące zachodnie kresy Ameryki — obdarzone są rodzajem instynktu, podobnego do instynktu zwierząt, który pozwala im kierować się raczej słuchem i powonieniem niż wzrokiem i obierać właściwą drogę wedle określonych znaków, niedostrzegalnych dla innych ludzi. Otóż Chamis posiadał w wysokim stopniu taką zdolność orientacji w terenie i dowiódł tego niezbitie wiele razy. Amerykanin i Francuz mogli zaufać z pewnością tej właściwości przewodnika, raczej fizycznej niż umysłowej i w małym stopniu podlegającej omyłkom; nie potrzebowali zatem ustalać położenia według słońca. Jeśli chodzi o inne przeszkody, które mogła nastreczyć wędrowka przez las, Chamis szybko rozwiał obawy towarzyszy.

— Wiem, proszę pana — powiedział do Corta — że nie znajdziemy tu żadnej drogi, że ziemia będzie pokryta kolczastymi krzakami, chrustem i spróchniałymi ze starości pniami, jednym słowem, spotkamy wiele trudnych do pokonania przeszkód. Ale czy można przypuścić, że tak rozległych lasów nie przecinają jakieś rzeki, które muszą być oczywiście dopływami Ubangi?

— Ależ tak! — zawołał Maks Huber. — Chociażby ten potok, który przepływa niedaleko wzgórza na równinie! Kieruje się w stronę lasu i prawdopodobnie zamienia się dalej w rzekę. W tym wypadku moglibyśmy zbudować tratwę... — związać razem kilka pni...

— Wolnego, mój drogi! — roześmiał się John Cort. — ponosi cię wyobraźnia i zdaje ci się, że już żeglujesz po tej wyimaginowanej rzece!

— Pan Maks ma rację — oświadczył Chamis. — Idąc na zachód, na pewno natkniemy się na ten potok, który musi wpadać do Ubangi...

— Zgoda — odparł Cort. — Ale znamy przecież afrykańskie rzeki. Większość z nich zupełnie nie nadaje się do żeglugi.

— Wszędzie widzisz same trudności, mój kochany.

— Lepiej pomyśleć o nich zawczasu niż poniewczasie.

John Cort nie mylił się. Mniejsze i większe rzeki afrykańskie nie służą w tym stopniu człowiekowi, co ich siostrzyce w Europie, Ameryce czy Azji. Cztery najpotężniejsze to Nil, Zambezi, Kongo i Niger, zasilane licznymi dopływami, których dorzecza rozciągają się na znacznej przestrzeni. Mimo tak korzystnego naturalnego układu drogi wodne w niewielkim stopniu ułatwiają badaczom wyprawy w głąb Czarnego Łądu. Jak wynika z relacji podróżników, których pasja odkrywcza wiodła poprzez te olbrzymie terytoria, nie można porównać rzek afrykańskich z Missisipi, Rzeką Św. Wawrzyńca, Wołgą, Irawadi, Brahmaputrą, Gangesem czy Indusem. Są one o wiele uboższe w wodę, choć równie długie jak tamte potężne wodne arterie i w niewielkiej odległości od swego ujścia nie mogą już unieść statków nawet o średnim tonażu. Ponadto miejscami wsiąkają w podłoże, często przecinają je od brzegu do brzegu katarakty i wodospady, a burzą je tak gwałtowne wiry, że nie ma łodzi, która by się odważyła płynąć tamtędy pod prąd. Jest to jeden z powodów, dla których Afryka Środkowa tak długo opiera dotychczasowym wysiłkom badaczy.

Zarzut postawiony przez Corta miał zatem pełne uzasadnienie i Chamis nie mógł go pominąć milczeniem. Z drugiej strony zarzut ten nie był aż tak ważki, by mieli odrzucić projekt przewodnika, przedstawiający wiele realnych korzyści.

— Jeśli natrafimy na rzekę — powiedział Chamis — pozwolimy jej nieść się tak długo, dopóki nie spotkamy jakiejś przeszkody. Jeśli da się tę przeszkodę ominąć, ominiemy ją: w przeciwnym wypadku pójdziemy znowu na piechotę.

— Ale ja nie mam nic przeciwko twojej propozycji, Chamisie — odrzekł Cort. — Myślę, że zyskamy tylko na tym, jeśli uda nam się spłynąć do Ubangi jednym z jej dopływów.

Kiedy dyskusja doszła do tego punktu, pozostały do powiedzenia tylko dwa słowa...

— W drogę! — zawołał Maks Huber, a towarzysze powtórzyli jego okrzyk.

W gruncie rzeczy nowy projekt wyjątkowo przypadł do gustu Maksowi. Mieli się zapuścić w głąb olbrzymiej puszczy, nie zbadanej dotychczas, a kto wie, czy w ogóle możliwej do zbadania... Huber spodziewał się, że spotka tutaj wreszcie niezwykłą przygodę, której na próżno szukał na obszarach górnego Ubangi.

## ROZDZIAŁ V

### PIERWSZY DZIEŃ MARSZU

Minęła właśnie godzina ósma rano, kiedy John Cort, Maks Huber, Chamis i mały Llanga ruszyli w kierunku południowo-zachodnim.

W jakiej odległości ukaże im się szlak wodny, wzdłuż którego zamierzali wędrować aż do chwili, gdy połączy się on z rzeką Ubangi? Żaden z podróżnych nie umiałby na to odpowiedzieć. A jeśli potok, który okrążał wzgórze porośnięte tamaryndowcami i zdawał się dążyć do lasu, skręcał na wschód? A jeśli poważne przeszkody, skały lub wiry, tak licznie skupiły się w jego łożysku, że nie będzie można nim popłynąć? Z drugiej strony, jeśli to nieprzejrzone skupisko drzew nie kryło w wnętrzu nawet ścieżek wydeptanych w gęstwinie przez zwierzęta, w jaki sposób przedrą się tamtędy piesi wędrowcy nie mogący użyć ani ognia, ani żelaza? Czy Chamis i jego towarzysze natrafią na okolice nawiedzane przez wielkie czworonogi, czy odnajdą jakieś wolne przejścia, wydeptane chaszcze, poprzerywane liany i będą mogli posuwać się swobodnie?

Llanga, zwinny jak łasica, wybiegał ciągle naprzód, chociaż John Cort nakazywał mu nie oddalać się zbyt daleko. Ale gdy tracili go z oczu, dawał się zaraz słyszeć jego przenikliwą głosik.

— Tędy, tędy! — wołał.

I trzej mężczyźni podążali w tamtą stronę, zapuszczając się w przejścia, które wybrał chłopiec.

Instynkt przewodnika pomagał im orientować się w tym labiryncie. Zresztą promienie wpadały niekiedy przez szpary w listowiu i można było ustalać kierunek marszu według słońca. O tej porze, w marcu, wspinano się ono w południowych godzinach niemal do zenitu, który na tej szerokości geograficznej znajduje się na linii równika niebieskiego. Jednakże kopała liści stawała się coraz gęściejsza i pod stłoczoną masą drzew panował tajemniczy półmrok. W dnie pochmurne musiał się zamieniać na całkowite ciemności, a w nocy poruszanie się tutaj było z pewnością niemożliwe. Toteż Chamis postanowił zatrzymać się na postój od wieczora do świtu, w razie deszczu szukając schronienia pod jakimś drzewem; miał również zamiar jak najrzadziej rozpalać ognisko — tyle tylko, ile będzie trzeba dla upieczenia upolowanej rankiem lub po południu zwierzyny. Chociaż puszczy nie nawiedzały, jak się zdawało, koczownicze plemiona i podróżni nie natrafili nigdzie na ślady tubylców obozujących na jej skraju, przezorniej było nie zdradzać blaskiem ognia swojej obecności. Garść żarzących się węgli, przysypanych popiołem, musiała wystarczyć do przygotowania posiłku, a zimna nie należało się obawiać w tym okresie afrykańskiego lata.

Kiedy wędrowali razem z karawaną, nacierpieli się nawet porządnie wskutek upałów, przemierzając podzwrotnikowe okolice, gdzie temperatura osiąga potworną wysokość. Pod osłoną drzew Chamis i jego towarzysze mniej byli na nią wystawieni — stwarzało to pomyślniejsze warunki w długiej i uciążliwej podróży, którą narzucił im przypadek. Oczywiście, spanie pod gołym niebem, podczas nocy dyszących jeszcze żarem dnia, nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa dla zdrowia, jeśli tylko powietrza nie nasycą wilgotne opary.

Deszcze... Tego właśnie należało się najbardziej obawiać w tych okolicach, gdzie okresy dżdżyste zdarzają się w każdej porze roku. W strefie równonocy wieją pasaty, które neutralizują się wzajemnie. To klimatyczne zjawisko powoduje, iż w spokojnej na ogół atmosferze chmury zrzucają nagromadzone w swym wnętrzu opary w formie nie kończącej się ulewy. Od tygodnia jednak niebo przejaśniło się wraz z odmianą księżyca, a ponieważ satelita ziemski wywiera, jak się zdaje, pokaźny wpływ na sprawy meteorologiczne, podróżni mogli chyba liczyć na jakieś dwa tygodnie nie zakłócone walkami żywiołów.

W tej części puszczy, spadającej po lekkiej pochyłości ku dolinie Ubangi, terenu nie pokrywały bagniska, które leżały zapewne nieco dalej na południe. Niezwykle twardy grunt porastała wysoka, sztywna trawa; podróżni przedzierali się przez nią wolno i z trudem, ponieważ nie wydeptały jej żadne zwierzęta.

— Wielka szkoda — zauważył Maks Huber — że kochane słonie nie dotarły aż tutaj. Potargałyby liany, rozdeptały chaszczę, wyrównały ścieżkę, rozgniotły kolczaste krzewy...

— I nas razem z nimi — wtrącił John Cort.

— Naturalnie — przytaknął Chamis. — Lepiej się zadowolić tym, czego dokonały nosorożce i bawoły. Tam gdzie one przeszły i my się przeciśniemy.

Przewodnik znał doskonale puszcze Afryki Środkowej, gdyż niejednokrotnie wędrował przez lasy Konga i Kamerunu. Nic zatem dziwnego, że umiał odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące różnorodnych roślin pniących się bujnie dokoła.

Poza ogromną ilością kolosalnych tamaryndowców rosły tu niezwykle wysokie mimozy, a baobaby wznosiły swe korony na pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Do dwudziestu i trzydziestu metrów dochodziły pewne gatunki euforbii o kolczastych gałęziach i liściach szerokich na piętnaście do siedemnastu centymetrów, podbitych błoną wydzielającą podobny do mleka sok; owoce tych drzew, gdy dojrzeją, wybuchają niczym pociski, wyrzucając daleko nasiona ze swoich szesnastu komór. Gdyby Chamis nie posiadał owego dziwnego zmysłu orientacji w terenie, na pewno nie mógłby się kierować wskazówkami, jakie daje układ liści, gdyż u niektórych krzewów wykręcają się one w taki sposób, że jedne zwracają swe blaszki na wschód a drugie na zachód.

Doprawdy, Brazylijczyk zagubiony wśród tej gęstwiny mógłby sądzić, że znalazł się w dziewiczych lasach dorzecza Amaonkil Maks Huber dosadnie przeklinał karłowate krzewa, którymi jeżył się grunt, gdy tymczasem Cort podziwiał z przyjemnością ten wspaniały, zielony dywan, utkany z wysokich traw i co najmniej dwudziestu gatunków paproci, które należało nieustannie odgarniać z drogi. A jaka różnorodność drzew ich otaczała! Były tam gatunki o drewnie twardym jak żelazo i gatunki o drewnie miękkim. Te ostatnie, jak pisze Stanley w swej książce "Podróż przez mroczną Afrykę", zastępują sosnę i świerk ze stref o zimnym klimacie. Z ich szerokich liści tubylecy budują szałas, gdy zatrzymują się w drodze na kilkudniowy postój. Ponadto w puszczy rosły niezliczone mahonie, drzewa żelazne, drzewa kampszowe, których drewno nie podlega gniciu, wysokopienne drzewa dostarczające kopalowej żywicy, drzewiaste mangowce, sykomory mogące śmiało współzawodniczyć ze swymi przepięknymi wschodnioafrykańskimi pobratymcami, dzikie pomarańcze, figowce o białych, jakby wapnem powleczonych pniach, kolosalne drzewa "mpafu" i inne, wszelakich rodzajów.

Owi rozliczni przedstawiciele świata roślinnego nie tłoczą się aż tak gęsto, aby to miało hamować rozwój ich gałęzi w tym gorącym i wilgotnym klimacie. Mogłyby między nimi przejechać nawet wozy, gdyby nie potężne pnącza mające niekiedy blisko stopę grubości, rozpięte od pnia do pnia — nie kończące się liany, owinięte wokół drzew niby kłębowisko węzłów. Na wszystkie strony rozchodzą się splecione girlandy, których obfitość trudno sobie wyobrazić, kapryśne wieńce, długie festony ciągnące się bez końca od jednej gęstwiny do drugiej. Nie ma tu gałązki nie połączonej z gałązką sąsiednią, nie ma pnia, którego nie wiązałyby z drugim roślinne łańcuchy, zwisające niekiedy aż do ziemi niby zielone stalaktyty, nie ma kawałka szorstkiej kory nie wysłanego grubym, aksamitnym mchem, po którym biegają tysiące owadów o nakrapianych złotem skrzydełkach.

Z najmniejszego skupiska obfitego listowia dobywał się istny koncert szczebiotów, pohukiwań, pisków i śpiewów, rozbrzmiewający od rana do wieczora. Z miliona dziobków wlatywały pieśni pełne rulad, kłaskania i najróżniejszych treli, bardziej przenikliwych niż gwizdek bosmana na pokładzie wojennego okrętu. Człowieka ogłuszał dosłownie skrzydlaty

chór różnego rodzaju papug, dudków, sów, kosów, lelków, nie licząc chmar małych ptaszków kłębiących się jak roje pszczoł wśród naj wyższych konarów.

Rozgłośnym wrzaskiem napępniały też puszcze małpie gromady. Mieszały się ze sobą nawoływania pawianów o szarawej sierści, gerez z gatunku „mbega”, szympansów, mandryli i goryli, najsilniejszych i najgroźniejszych przedstawicieli małp afrykańskich. Jak dotąd te czwororękie stworzenia, chociaż zebrane w liczne gromady, nie odnosiły się wrogo do Chamisa i jego towarzyszy, pierwszych zapewne ludzi, których ujrzały w głębi puszczy. Bez wątplenia żadna istota ludzka nie zapuściła się nigdy w te gęstwiny, toteż małpie plemiona objawiały w stosunku do podróżnych więcej zdziwienia niż złości. W innych okolicach Konga i Kamerunu sytuacja wyglądałaby zapewne inaczej. Łowcy kości słoniowej, z którymi stowarzyszą się setki białych i tubylczych rzezimieszków, nie budzą już zdumienia wśród małp, śledzących od dawna okrutne spustoszenia dokonywane przez bandy awanturników wśród zwierząt i ludzi.

Pierwszy popas wędrowcy urządzili w południe, drugi — o szóstej wieczorem. Przeprawa nastęrczała niekiedy mnóstwo trudności wskutek nieprzebytej płataniny lian. Rozrywanie ich lub przecinanie wymagało nadludzkich wysiłków. Jednakże na sporym odcinku drogi otwierały się ścieżki wydeptane głównie przez bawoły; kilka sztuk tych zwierząt, należących do niezwykle rosnego gatunku, podróżni zobaczyli poprzez zasłonę krzewów.

Te ogromne przeżuwacze bywają dość niebezpieczne wskutek swej niesamowitej siły i w czasie obławy myśliwi muszą się strzec ich wściekłych ataków. Najpewniejszym sposobem, aby je powalić, jest strzał między oczy, niezbyt nisko, zadający śmierć w piorunującym tempie. John Cort i Maks Huber nie mieli okazji zapolować na bawoły, które trzymały się poza zasięgiem ich strzelb. Pozostało im zresztą w zapasie dość dużo mięsa antylopy, a należało oszczędzać amunicji. W czasie przeprawy przez puszcze nie powinien paść ani jeden strzał, nie spowodowany koniecznością obrony lub zdobycia żywności na codzienny użytek.

Gdy zapadł wieczór, Chamis zatrzymał się na skraju małej polanki, u stóp rozłożystego drzewa, które wystrzelało ponad otaczające je krzaki. Na wysokości sześciu metrów nad ziemią roztaczał się baldachim szarozielonego listowia, przetkanego kwiatami wypełnionymi białawym puchem. Opadały one jak śnieg wokół srebrzystego pnia. Było to afrykańskie „drzewo bawełniane”, pod którego korzeniami, sterczącymi jak łuki przyporowe, można znaleźć doskonałe schronienie.

— Zaslano dla nas królewskie łoża! — zawołał Maks Huber. — Nie mamy wprawdzie sprężynowych materaców, ale dostaną nam się wspaniałe piernaty wypchane bawełną!

Rozpalono ognisko za pomocą krzesiwa i hubki, w którą Chamis zaopatrzył się obficie. Posiłek wieczorny nie różnił się niczym od śniadania i obiadu. Wędrowcy pozbawieni byli, niestety, sucharów, które w czasie całej ekspedycji zastępowały im chleb; musieli się jednak bez nich obejść i zadowolić pieczonym na węglach mięsem, doskonale nasycającym zgłodniałe żołądki.

Po skończonej kolacji, gdy już się mieli ułożyć pomiędzy korzeniami bawełnianego drzewa, John Cort powiedział do przewodnika :

— Jeśli się nie mylę, szliśmy ciągle na południowy zachód.

— Tak jest — odrzekł Chamis. — Za każdym razem, kiedy ukazywał się promień słońca, sprawdzałem, czy idziemy we właściwym kierunku.

— Ile mil, twoim zdaniem, przebyliśmy w ciągu dzisiejszych dwu etapów?

— Cztery do pięciu, proszę pana, i jeśli tak dalej pójdzie, w miesiąc niespełna dotrzemy do brzegów Ubangi.

— Doskonale — podjął John Cort. — Ale czy nie byłoby przezorniej liczyć się także z nie sprzyjającymi okolicznościami?

— O wiele lepiej brać pod uwagę sprzyjające — odparł Maks Huber. — Kto wie, czy nie natkniemy się na szlak wodny, który pozwoli nam podróżować bez trudu...

— Jak dotąd, mój drogi, nic na to nie wskazuje.

— Bo nie posunęliśmy się jeszcze dość daleko na zachód — stwierdził Chamis. — Byłoby bardzo dziwne, gdyby jutro lub pojutrze...

— Musimy tak postępować, jak gdybyśmy wcale nie mieli napotkać rzeki — przerwał Cort. — Ostatecznie miesięczna podróż nie powinna przerażać tak zżytych z Afryką myśliwców, jak my, jeżeli tylko nie wystąpią znaczniejsze trudności niż dzisiejszego dnia.

— Bardzo się boję — dorzucił Maks Huber — że ten tajemniczy las nie kryje w sobie żadnej absolutnie tajemnicy!

— Tym lepiej, mój kochany!

— Tym gorzej, drogi Johnie! Ale na razie trzeba spać. Chodź, Llanga.

— Dobrze, wujku Maksie — odpowiedział dzieciak.

Jego oczy zamykały się same po trudach dzisiejszej długiej wędrówki, w czasie której stale dotrzymywał kroku dorosłym; trzeba było wziąć go na ręce, przenieść pod drzewo i ułożyć; w najprzytulniejszym kąciku pomiędzy korzeniami.

Przewodnik chciał znowu czuć całą noc, lecz jego towarzysze nie zgodzili się na to. Postanowili zmieniać się na w cię co trzy godziny, chociaż w najbliższym otoczeniu polanki nie zauważyli nic podejrzanego. Ostrożność nakazywała jednak mieć się na baczności aż do świtu.

Pierwszy stanął na straży Maks Huber, a Cort i Chamis wyciągnęli się na białym, opadłym z drzewa puchu.

Huber — mając pod ręką nabity karabin, oparty o jeden z wystających korzeni — poddał się czarowi spokojnej nocy. W głębinach lasu ucichły wszelkie odgłosy dnia. Pomędzy konarami przebiegał tylko łagodny powiew jak rytmiczny oddech uspionych drzew.

Promienie księżyca, stojącego wysoko w zenicie, przenikały pomiędzy listowiem i znały ziemię srebrnymi zygzakami. Poza skrajem polanki podszycie leśne połyskiwało również odblaskiem księżycowej poświaty.

Maks Huber, bardzo wrażliwy na poetyczne uroki przyrody, rozkoszował się nimi, wdychał je jak gdyby pełną piersią zapadał niekiedy w marzenia, ale nie zasypiał ani na chwilę. Zdawało mu się, że jest jedyną ludzką istotą zatopioną w bezbrzeżnym roślinnym oceanie. Tak właśnie jego wyobraźnia przedstawiała mu puszcę Ubangi.

“Czyż musimy — rozmyślał — wędrować aż na krańce ziemskiej osi, aby przeniknąć sekrety naszego globu, aby wyjaśnić jego najskrytsze tajemnice? Dlaczego ludzie próbują zdobyć obydwie bieguny, za cenę straszliwych wysiłków, mając pewność, że spotkają tam niemożliwe do pokonania przeszkody? Jakie osiągną rezultaty? Najwyżej rozwiążą kilka problemów dotyczących meteorologii, elektryczności czy magnetyzmu ziemskiego! Czy warto dla tego celu mnożyć ofiary północnego i południowego bieguna? Czyż nie byłoby rzeczą pożyteczniejszą i ciekawszą wdrzeć się w głąb tych nieskończonych przestrzeni leśnych i odnieść zwycięstwo nad ich nieprzeniknioną dziczą, zamiast przemierzać morza Arktyki i Antarktyki? Jak to? Istnieją w Ameryce, Azji i Afryce dziewicze puszcze, a żaden śmiałek nie pomyślał dotąd, aby je uczynić przedmiotem swych badań... żaden nie miał odwagi zapuścić się w ten nieznany świat! Nikt nie zdołał wyrwać olbrzymim drzewom ich tajemnicy, na podobieństwo starożytnych, którzy rozwiązywali zagadkę odwiecznych dębów z Dodony\*! Czy twórcy mitów nie mieli czasem racji zaludniając swe gaje faunami i satyrami, driadami i hamadriadami, wszelkiego rodzaju fantastycznymi postaciami?

Zresztą, ograniczając się tylko do ścisłych danych, których dostarcza współczesna nauka, czyż nie można przypuszczać, że na tych bezkresnych obszarach żyją jakieś nieznanne istoty, przystosowane do warunków takiego właśnie środowiska? W czasach druidów zamieszkiwały przecież Galię Transalpejską różne na pół dzikie ludy — Celtowie, Germanowie i inni. W

---

\* D o d o n a — miasto w starożytnym Epirze; znajdowała się tam wśród dębów świątynia Jowisza słynna z wyroczeni.



głębi lasów, do których wszechpotężni Rzymianie wtargnęli za cenę niesłychanych wysiłków, kryły się setki szczepów, miast i wiosek, mających odrębne obyczaje, swoistą, całkowicie oryginalną kulturę”.

Tak rozmyślał Maks Huber. A znajdował się właśnie w tych okolicach Afryki Środkowej, gdzie jak wieść niesła, żyły dziwne, niemal baśniowe istoty, niższe poziomem rozwoju od człowieka. Puszcza Ubangi sąsiadowała na wschodzie z terytoriami zbadanymi przez Schweinfurtha i Junkera, gdzie podróżnicy owi, mylnie co prawda, stwierdzili wśród szczepu Niam–Niam istnienie osobników zaopatrzonych w ogony.

Niedaleko stąd, w okolicach leżących na północ od Ituri, Henry Stanley napotkał Pigmejów, których wzrost nie przekraczał jednego metra, doskonale zbudowanych, o delikatnej, lśniącej skórze i wielkich oczach gazeli. Angielski misjonarz Albert Lhyd opowiadał, że między Ugandą a Kabindą widział szczep maleńkich Baniari, liczący ponad dziesięć tysięcy głów, żyjący wśród zarośli i na gałęziach wielkich drzew pod wodzą udzielnego władcy. Ten sam duchowny — opuściwszy Ipoto — przejeżdżał kiedyś w puszczy przez pięć wiosek, które porzuciła w przeddzień ich lilipucia ludność. Zetknął się również z Batinami, Akkami, Bazungami, których wzrost nie przekraczał stu trzydziestu, a u niektórych osobników nawet dziewięćdziesięciu dwu centymetrów, przy wadze ciała nie dochodzącej do czterdziestu kilogramów. Jednocześnie szczepy te odznaczały się inteligencją, pomysłowością i wojowniczym duchem. Zaopatrzone w broń o drobnych wymiarach, zagrażały poważnie zarówno ludziom, jak zwierzętom i rolnicy z okolic górnego Nilu obawiali się ich ogromnie.

Toteż Maks Huber, którego ponosiła wyobraźnia i głód niezwykłych przeżyć, wierzył uparcie, iż puszcza Ubangi musi ukrywać w swych ostępach jakieś dziwaczne plemiona, nie zbadane dotychczas przez żadnego z etnografów... Może byli to ludzie o jednym oku jak mitologiczni cyklopi? A może ich wydłużone nosy przybierały kształt trąby i należało ich zaliczać, jeśli nie do rodziny gruboskórych, to w każdym razie do trąbowców?

Pod wpływem tych fantastyczno–naukowych rozważań Maks zapomniał po trosze o roli wartownika. Wróg mógłby podkraść się niepostrzeżenie, zanimby strażnik zdążył obudzić towarzyszy i przygotować wszystko do odparcia ataku.

Niespodziewanie jakaś ręka dotknęła ramienia Maksa.

— Kto to? Co to?! — wykrzyknął drgnąwszy z przerażenia.

— To ja — odpowiedział Cort. — Nie bierz mnie przypadkiem za dzikusa znad Ubangi. Czy nie zauważyłeś nic podejrzanego?

— Nie, nic...

— Zgodnie z naszą umową, powinieneś się teraz położyć, Maksie.

— Doskonale. Zdziwię się jednak, jeśli przyśni mi się coś bardziej interesującego od marzeń, które snulem na jawie!

Pierwsza część nocy upłynęła spokojnie, a i dalsze nie przyniosły nic szczególnego, zarówno podczas warty Johna Corta, jak również gdy jego miejsce zajął Chamis.

## ROZDZIAŁ VI

### CIĄGLE NA POŁUDNIOWY ZACHÓD!

Nazajutrz, jedenastego marca, John Cort, Maks Huber, Chamis i Llanga, wypocząwszy znakomicie, gotowi byli stawić czoło trudom drugiego dnia marszu.

Opuścili schronienie pod drzewem bawełnianym i obeszlili wokół polankę. Powitał ich chór tysięcy ptaków, które napełniały powietrze ogłuszającymi, przeciągłymi trelami. Mogłaby im pozazdrościć śpiewaczka Patti i inni włoscy wirtuozi.

Przed wyruszeniem w drogę rozsądek nakazywał spożyć śniadanie. Składało się ono wyłącznie z zimnego mięsa antylopy i wody ze źródelka, bijącego po lewej stronie polany. Przewodnik napełnił w nim również swój bukłak.

Początkowo wędrowcy szli prosto przed siebie, pod kopułą gałęzi, którą przebijały już tu i ówdzie pierwsze promienie słońca; skorzystali z tego oczywiście i starannie wyznaczyli kierunek drogi. Tę część lasu nawiedzały najwidoczniej potężne czworonogi, gdyż liczne ścieżki krzyżowały się tu na wszystkie strony. Istotnie, w ciągu ranka zauważyli pewną ilość bawołów, a nawet dwa nosorożce. Zwierzęta trzymały się jednak w znacznej odległości, a ponieważ nie wykazywały zaczepnych intencji, nie było powodu, by w walce z nimi marnować naboje.

Mały oddziałek zatrzymał się dopiero w południe, przebywszy dwanaście kilometrów z górą.

John Cort mógł tutaj ustrzelić parę dropi, zwanych "koranami". Ptaki te, żyjące w lasach, o czarnym jak smoła upierzeniu pod brzuchem, dają mięso wysoko cenione przez tubylców. Zyskało ono takie samo uznanie u Fraucuzów i Amerykanina podczas południowego posiłku.

— Wolałbym jednak — zaproponował przedtem Maks Huber — zjeść coś innego niż pieczone przyskwarzone na węglach.

— Nic łatwiejszego — pośpiesznie odpowiedział przewodnik. Oskubał i wypatroszył jednego z dropi, nadział go na pręt i upiekł obracając przy żywym ogniu, po czym schrupano ptaka z wielkim apetytem.

Po południu wędrowcy napotkali trudniejsze niż poprzedniego dnia warunki. Im dalej na południowy zachód, tym rzadsze stawały się ścieżki. Trzeba było torować sobie drogę wśród zarośli równie opornych jak liany; musieli rozcinać je nożem. W ciągu kilku godzin padał też dość obfity deszcz. Co prawda gęstość gałęzi i listowia była tak wielka, że zaledwie pojedyncze krople spadały na ziemię, ale na jednej z mijanych polanek Chamis zdołał mimo to napełnić bukłak, niemal zupełnie już pusty. Podróżnicy ucieszyli się tym szczerze, bo jak dotąd przewodnik na próżno wypatrywał jakiegokolwiek strumyka ukrytego wśród traw. Z tego powodu zapewne tak rzadko spotykali tu zwierzęta i wydeptane przez nie ścieżki.

— Nic nie wskazuje na bliskość wody — oświadczył John Cort, gdy zatrzymali się na postój wieczorny.

Należało wyciągnąć z tego wniosek, że potok przepływający w pobliżu wzgórza porośniętego kępą tamaryndowców okrążał bokiem puszczy.

Niemniej jednak wędrowcy nie zamierzali zmieniać obranego kierunku — droga ta musiała ich w każdym razie zaprowadzić nad brzeg Ubangi.

— Zresztą — zauważył Chamis — możemy przecież napotkać w tej stronie jakąś inną rzekę zamiast potoku, któryśmy widzieli przedwczoraj z obozowiska.

Noc z jedenastego na dwunasty marca spędzili nie pod drzewem bawełnianym jak poprzednio, ale w cieniu innego olbrzyma, którego gładki pień wznosił się prosto na jakieś trzydzieści metrów ponad gęstym podszyciem.

Ustalono jak zwykle kolejność wart i spoczynku podróżnych nie zakłóciło nic, poza odległym postępowaniem bawołów i nosorożców. Nie zachodziła obawa, aby ryk lwa dołączył się do nocnego koncertu, gdyż groźne te bestie nie przebywają nigdy w głębi lasów Afryki Środkowej. Zamieszkują tereny położone na wyższych szerokościach geograficznych, poniżej Konga na południu kontynentu i powyżej granicy Sudanu od północy, w sąsiedztwie Sahary. Mroczne gęstwiny nie odpowiadają kapryśnemu usposobieniu i niezależnemu trybowi życia króla zwierząt; jest to bowiem władca absolutny, a nie konstytucyjny monarcha. Potrzebuje rozległych przestrzeni, równin zalanych słońcem, które mógłby swobodnie przebiegać.

W puszczy nie rozlegały się więc ryki lwów, ale nie słychać też było pochrząkiwania hipopotamów. Trzeba podkreślić, że była to okoliczność niepomysłna, obecność bowiem tych J ziemnowodnych ssaków wskazywałaby na bliskość rzeki.

Nazajutrz podróżni wyruszyli o świcie przy pochmurnej pogodzie. Maks Huber upolował antylopę, którą pod względem wzrostu można umieścić pomiędzy osłem a koniem. Był to passan czerwonawej maści, przeciętej kilkoma regularnymi pręgami. Czarny pas znaczy grzbiet passana od tyłu głowy aż do zadu, nogi, porośnięte białawą sierścią, zdobią czarne plamy, czarny, długi ogon zamiata ziemię, a na szyi sterczy kępa czarnego futra. Wspaniałe zwierzę ma rogi metrowej długości, zdobne u nasady w trzydzieści wypukłych obrączek, wdzięcznie wygięte, o symetrycznych, rzadko spotykanych w przyrodzie kształtach.

Rogi służą passanowi do obrony, toteż w północnych i południowych okolicach Afryki potrafi on odeprzeć nawet ataki lwa. Tego dnia jednak zwierzę, wyszedłszy na strzał myśliwego, nie mogło uniknąć celnie wysłanej kuli i z przeszitym sercem padło na miejscu.

Podróżni zapewnili sobie w ten sposób żywność na kilka dni. Chamis poćwiartował passana, co zajęło mu pełną godzinę, a następnie każdy, nawet mały Llanga, obładował się częścią mięsa i oddziałek pomaszerował dalej.

— Słowo daję! — powiedział John Cort. — Mięso w tych stronach jest rzeczywiście za bezcen, skoro kosztuje tyle, co jeden nabój!

— Pod warunkiem, że myśliwy będzie dostatecznie zręczny — odparł przewodnik.

— A zwłaszcza gdy mu dopisze szczęście — dorzucił Maks, skromniejszy, niż bywają zazwyczaj jego koledzy, łowcy grubego zwierza.

Dotychczas Chamis i jego towarzysze mogli oszczędzać proch i kule, których używali wyłącznie po to, by zaopatrywać się w dziczyznę; tego dnia jednak karabiny miały im posłużyć do celów obronnych.

Przez jakiś czas, na przestrzeni całego kilometra, przewodnikowi zdawało się, że trzeba będzie odpierać ataki stada małp, które szalały po prawej i lewej stronie długiej ścieżki; jedne skakały po gałęziach z drzewa na drzewo, inne w tanecznych lansadach przesadzały olbrzymimi susami gęstwinę zarośli — mogły doprawdy obudzić zazdrość najzwinniejszych cyrkowców!

Ukazywały się przeróżne gatunki wielkich czwororękich stworzeń. Tam widać było pawiany o trzech odcieniach skóry, brązowe jak Arabowie, miedziane jak Indianie z Dalekiego Zachodu i czarne jak Murzyni ze szczepu Kafrów, budzące postrach nawet wśród niektórych drapieżców. Gdzie indziej znów stroiły miny różne odmiany gerez, prawdziwych dandysów puszczy, najwykwintniejszych elegantów małpiego rodu: bez ustanku rozczesują one i wygładzają rękami swoje białe grzywy, które zyskały im miano "gerez w biskupich płaszczach".

Jednakowoż ta eskorta, zgromadziwszy się wokół podróżnych zaraz po południu, znikła o godzinie drugiej, kiedy Maks Huber, John Cort, Chamis i Llanga wkroczyli na dość szeroką, ciągnącą się jak okiem sięgnąć ścieżkę. Początkowo wędrowcy radzi byli korzyściom, jakich dostarczała ta wyjątkowo dogodna droga, wkrótce jednak nastąpiło pożałowania godne spotkanie z krążącymi tutaj zwierzętami.

Na parę minut przed czwartą dało się słyszeć z niewielkiej odległości przeciągłe pochrapywanie nosorożców. Chamis rozpoznał natychmiast te odgłosy i kazał zatrzymać się towarzyszom.

— Złośliwe z nich bestie — powiedział zdejmując z ramienia karabin.

— Bardzo złośliwe — przytaknął Maks Huber — chociaż należą do rzędu trawożernych.

— I życie mają okropnie twarde — dorzucił Chamis.

— Co mamy robić? — zapytał John Cort.

— Musimy spróbować przejść niepostrzeżenie — doradził przewodnik — albo też schowamy się, kiedy nadejdą te niebezpieczne zwierzęta. Może nic nie zauważą... Ale w każdym razie powinniśmy trzymać broń w pogotowiu, bo jeśli nas odkryją, rzucą się do ataku...

Podróżni opatrzyli karabiny i przygotowali naboje w ten sposób, aby móc szybko nabijać broń. Następnie wszyscy czterej opuścili czym prędzej ścieżkę i zniknęli za gęstymi krzewami, które ją obrzeżały z prawej strony.

W pięć minut później poryki zabrzmiały całkiem blisko i ukazały się potworne bestie o niemal zupełnie bezwłosej skórze. Pędziły tęgim klusem z podniesionymi wysoko łbami i ogonami zwiniętymi na zadach.

Liczyły prawie po cztery metry długości, miały sterczącej uszy, krótkie nogi, szeroką pierś i tępy pysk, uzbrojony w dwa rogi, zdolne zadawać straszliwe ciosy. Odporność ich szczęk jest tak wielka, że mogą bezkarnie żuć kaktusy o grubych kolcach, podobnie jak osły, które ze smakiem zjadają oset.

Para zwierząt zatrzymała się nagle. Chamis i jego towarzysze nie mieli wątpliwości, że nosorożce zwęszyły ich w gąszczu. Jeden z nich, potwór o szorstkiej, wyschniętej skórze, zbliżył się do zarośli.

Maks Huber wziął go na muszkę.

— Niech pan nie strzela w fałdy skóry na tylnych nogach! Tylko w głowę! — krzyknął przewodnik.

Huknął strzał, potem drugi i trzeci. Kule przenikały z trudem grube pancerze nosorożców i właściwie myśliwi marnowali na próżno naboje.

Detonacje nie przeraziły ani nie powstrzymały napastników, którzy gotowali się do wtargnięcia w gęstwinę.

Oczywiście, płatanina kolczastych krzewów i chaszczy nie stanowiła najmniejszej przeszkody dla tak potężnych zwierząt. W jednej chwili mogły wszystko spustoszyć, rozdeptać, zmiażdżyć. Czyż wędrowcy, umknąwszy cudem rozwścieczonym słońcom na równinie, mieli teraz paść ofiarą nosorożców w głębi puszczy? Gruboskóre zwierzęta, niezależnie od tego, czy ich nos ma kształt trąby, czy też rogu, odznaczają się niesłychaną siłą. A tutaj nie było przegrody z drzew, która zatrzymała tamtym razem galopujące słońce. Gdyby Chamis, John Cort, Maks Huber i Llanga spróbowali uciekać, napastnicy rzuciliby się w pogoń i dopadliby ich prędzej czy później. Sieć lian opóźniałaby ucieczkę ludzi, gdy tymczasem nosorożce parłyby przez nią jak lawina.

Wśród wystrzelających z zarośli drzew znajdował się jednak olbrzymi baobab, który mógłby udzielić wędrowcom schronienia, gdyby zdołali wspiąć się na jego najniższe gałęzie. Byłoby to powtórzeniem wybiegu, którego próbowali w lesku tamaryndowców i który zresztą zakończył się tragicznie. Czyż tutaj mogli liczyć, że lepiej im się powiedzie? Być może, gdyż wysokość i grubość baobabu pozwalała przypuszczać, że oprze się szturmowi nosorożców.

Co prawda rozgałęział się dopiero o jakieś piętnaście metrów nad ziemią, a jego pień, wydęty na kształt dyni, nie miał ani występów, o które można by zaczepić się ręką, ani żadnych punktów oparcia dla nogi.

Przewodnik zrozumiał, że nie zdołają nigdy osiągnąć rozwidlenia. John Cort i Maks Huber czekali w napięciu na jego decyzję.

W tej chwili gęstwina zarośli, tuż przy ścieżce, poruszyła się i wynurzył się z niej olbrzymi łeb.

Huknął czwarty strzał karabinowy.

John Cort nie miał jednak więcej szczęścia od Maksa Hubera. Kula trafiła zwierzę w łopatkę, ale wywołała tylko straszliwy ryk wściekłości, którą ból podniecił do najwyższego stopnia. Nosorożec nie cofnął się; przeciwnie, jednym susem runął w zarośla. Jednocześnie jego towarzysz, zaledwie draśnięty kulą Chamisa, gotował się pójść w jego ślady.

Ani Huber, ani Cort, ani przewodnik nie zdążyli nabić powtórnie broni. Za późno było, aby rozproszyć się w różne strony czy przemknąć pod krzakami. Instykt samozachowawczy popchnął uciekinierów za pień baobabu, który liczył u dołu co najmniej sześć metrów średnicy. Ale gdy pierwszy zwierz zaczął obiegać drzewo, a drugi natrze z przeciwnej strony, w jaki sposób da się uniknąć tego podwójnego ataku?

— Do diabła! — zaklął Maks Huber.

— Należałoby raczej wezwać Pana Boga — mruknął John Cort.

Istotnie, mogli się pożegnać z wszelką nadzieją ocalenia, jeśli Opatrzność nie przyjdzie im z pomocą!

Wskutek straszliwego, gwałtownego ciosu baobab zdrzął aż do korzeni. Zdawało się, że zostanie wyrwany z gruntu.

Nagle, w trakcie tego piekielnego natarcia, nosorożec zatrzymał się jak wryty. Jego róg trafił na szparę w korze baobabu i utkwiał w drewnie na stopę głęboko jak klin wbity przez drwa. Na próżno zwierz czynił rozpaczliwe wysiłki, aby się uwolnić, na próżno wyginał się w łuk, wsparty na swych krótkich nogach — nic nie pomagało.

Jego towarzysz, który z furią miotał się w gęstwinie, zatrzymał się również. Trudno sobie wyobrazić wściekłość obydwu bestii!

Chamis poczołgał się po ziemi, a następnie prześliznął wokół drzewa i usiłował dojrzeć, co się stało.

— Uciekajmy! Uciekajmy! — krzyknął po chwili.

Nie pytając o wyjaśnienia, Maks Huber i John Cort pociągnęli za sobą Llangę i puścili się biegiem przez wysokie trawy, niezmiernie zdumieni, że nosorożce nie pogoniły za nimi. Po pięciu minutach morderczego pędu zatrzymali się wreszcie na znak dany przez Chamisa.

— Co się stało? — zapytał John Cort, gdy tylko zdołał pochwycić oddech.

— Zwierz nie mógł wyciągnąć rogu z pnia drzewa — odpowiedział przewodnik.

— Do licha! — zawołał Maks Huber. — Wśród nosorożców znalazł się Milon z Krotonu\*.

— I skończy podobnie jak tamten bohater igrzysk olimpijskich — dorzucił Cort.

Chamisowi niewiele zależało na dokładnych informacjach o słynnym starożytnym atlecie, toteż mruknął tylko pod nosem:

— No nareszcie... Wyszliśmy cało... ale za cenę czterech czy pięciu zmarnowanych nabo!

— Jest to tym przykrzejsze, że te zwierzaki nadają się do jedzenia, jeśli mnie pamięć nie myli — wtrącił Maks Huber.

— Rzeczywiście — potwierdził Chamis. — chociaż ich mięso trąci silnie pizmem. Musimy jednak zostawić nosorożca w spokoju...

— Aby mógł do woli wyłamywać sobie swój piękny róg — dokończył Maks.

Popełniliby wielką nieostrożność wracając do baobabu: ryki obydwu bestii dudniły ciągle w gęstwinie. Czterej wędrowcy zatoczyli szeroki łuk, który sprowadził ich z powrotem na

---

\* Milon z Krotonu (VI–V w. p.n.e.) — słynny atleta grecki, wielokrotny zwycięzca w igrzyskach olimpijskich, pytyjskich, nemejskich i istmijskich. Tu aluzja do legendy, wg której Milon, już jako starzec, usiłował rozerwać pień złamanego drzewa, lecz ręce uwięzły mu w szczelinie, wilki zaś rozszarpały bezbronego.

ścieżkę, i ruszyli w dalszą drogę. Około szóstej zatrzymali się na postój nocny u stóp olbrzymiej Skały.

Następny dzień upłynął bez żadnego wypadku. Droga nie nastęrczała większych niż poprzednio trudności, toteż przebyto około trzydziestu kilometrów w kierunku południowo-zachodnim. Rzeka, której tak niecierpliwie wypatrywał Maks Huber i o której istnieniu z taką pewnością siebie mówił Chamis — nie ukazywała się w dalszym ciągu.

Tego wieczora, gdy tylko ukończyli posiłek, którego mało urozmaicony jadłospis stanowiło mięso antylopy, podróżni udali się na spoczynek. Niestety, dziesięć godzin nocnych zakłócały nieustannie przeloty tysięcy mniejszych i większych nietoperzy: dopiero o świcie obozowisko uwolniło się od tej plagi.

— Stanowczo za dużo jest na świecie tych harpii! — zawołał Maks Huber, kiedy wstał ziewając szeroko po źle spędzonej nocy.

— Nie powinniśmy wcale na nie narzekać — powiedział przewodnik.

— A to dlaczego?

— Bo lepiej mieć do czynienia z nietoperzami niż z moskitami, które nie napastowały nas jak dotąd.

— Najlepiej by było, Chamisie, unikać zarówno jednych, jak drugich...

— Co do moskitów, to na pewno ich nie unikniemy, proszę pana.

— A kiedy nas pożrą te wstrętne owady?

— Kiedy przybliżymy się do jakiejś rzeki.

— Ach, rzeka! — zawołał Maks Huber. — Wierzyłem w nią ślepo, ale teraz zdaje mi się, że w ogóle nie ma jej na świecie!

— Myli się pan, panie Maksie. Być może płynie ona gdzieś ] zupełnie blisko.

Istotnie, przewodnik zauważył już pewne zmiany w charakterze terenu, około zaś trzeciej po południu jego domysły zaczęły się potwierdzać. Połacie lasu, którą przebywali, stawała się wyraźnie podmokła. Tu i ówdzie widniały w zagłębieniach kałuże porośnięte zielonym wodnym. Podróżni zabili nawet kilka ptaków przypominających dzikie kaczki, których obecność; oznajmiała bliskie sąsiedztwo rzeki. W miarę jak słońce zniżało: się nad horyzontem, zaczął również dolatywać z oddali rechot żab.

— Jeśli się nie mylę — powiedział przewodnik — wchodzimy do królestwa moskitów...

Na ostatnim odcinku drogi brnęli z trudem przez teren porośnięty gęstwiną niezliczonych paproci, pieniających się bujnie w gorącym i wilgotnym klimacie. Drzewa stały tu o wiele rzadziej i nie tak gęsto oplatały je liany.

Maks Huber i John Cort nie mogli zaprzeczyć, że ta część puszczy, ciągnąca się w kierunku południowo-zachodnim, przedstawiała się zupełnie inaczej niż jej północny skraj. Jednakże, na przekór przepowiedniom Chamisa, nie można było jeszcze^ dostrzec migotania bieżącej wody.

Coraz liczniejsze stawały się tylko bagniste doły, w miarę jak obniżał się teren. Wędrowcy musieli bardzo uważać, żeby. nie ugrzęznąć w lepkiej mazi. Poza tym nie wydostaliby się z niej bez bolesnych ukąszeń, bo w głębi tych dziur roiły się tysiącami pijawki, a na powierzchni błota ślizgały się olbrzymie stonogi, odrażające, czarniawe owady o czerwonych łapkach, jakby stworzone na to, by budzić nieprzewyciężony wstręt.

Natomiast prawdziwą ucztą dla oczu były niezliczone motyle o mieniących się barwach i pełne wdzięku ważki, stanowiące obfite pożywienie dla wiewiórek, łasz, piżmowców i ptaków, jak tkacze i zimorodki, które krążyły u brzegów kałuż. Przewodnik zauważył również, że nad krzakami unosiło się nie tylko mnóstwo os, ale i roje much tse-tse.

Oddziałek maszerował w ten sposób na południowy zachód aż do wpół do siódmej wieczorem. Ostatni etap był niezwykle długi i męczący. Wreszcie Chamis zaczął się rozglądać za wygodnym miejscem na postój nocny, gdy Maksa i Johna zaalarmowały okrzyki

Llangi. Swoim zwyczajem chłopiec pobiegł naprzód, myszkując w krzakach na wszystkie strony, i nagle zaczął wrzeszczeć co sił w płucach. Czyżby napadł na niego jakiś drapieżca?

Cort i Huber pobiegli za chłopcem, z karabinami gotowymi do strzału. Wkrótce jednak niepokój ich ustąpił miejsca radości.

Llangu, stojąc na olbrzymim, zwałonym pniu, wyciągał rękę w kierunku rozległej polany i powtarzał swoim piskliwym głosem:

— Rzeka, rzeka!

Chamis przyłączył się do nich, a John Cort powiedział krótko:

— Oto upragniony szlak wodny.

O pół kilometra od wędrowców wiała się szeroką, bezdrzewną doliną przejrzysta rzeka, w której odbijały się ostatnie promienie słońca.

— Jestem zdania, że tutaj powinniśmy rozbić obóz — zaproponował John Cort.

— Tak jest — zgodził się przewodnik. — I możemy być pewni, że ta rzeka doprowadzi nas aż do Ubangi.

Istotnie, zbudowanie tratwy i puszczanie się na niej z prądem nie przedstawiało zbyt wielkich trudności.

Zanim jednak podróżni dotarli nad wodę, musieli przebrnąć przez niezwykle bagnisty teren, a ponieważ w pobliżu równika zmierzch trwa bardzo krótko, panowały już głębokie ciemności, gdy wspięli się na dość wysoki brzeg.

John Cort ocenił szerokość rzeki na jakieś czterdzieści metrów. Nie był to więc zwykły potok, ale jakiś znaczniejszy dopływ Ubangi, o niezbyt wartkim, jak się zdawało, nurcie.

Rozsądek nakazywał zaczekać do następnego dnia, aby móc w pełni ocenić sytuację. Najpilniejszą sprawą było w tej chwili wyszukanie jakiegoś suchego schronienia, gdzie można by spędzić noc. Na szczęście Chamis odkrył rozpadlinę skalną, rodzaj grotty, wyżłobionej w wapieniu wybrzeża, w której wszyscy czterej zmieścili się swobodnie.

Postanowili, że na kolację zjedzą zimne resztki upieczonej na węglach dziczyzny. W ten sposób nie trzeba będzie rozpalać ognia, którego blask mógłby zwabić zwierzęta. W rzekach afrykańskich roi się od krokodyli i hipopotamów; jeśli znajdowały się i tutaj, co było bardzo prawdopodobne, należało unikać niespodziewanych starć w ciągu nocy.

Co prawda ognisko rozpalone u wejścia do grotty, wydzielając obfity dym, rozproszyłoby chmury moskitów, kłębiących się nad wodą. Ale, wybierając mniejsze zło, lepiej było narazić się na ukłucia komarów i innych dokuczliwych owadów niż znaleźć się w paszczy krokodyla.

W ciągu pierwszych godzin nocy u wejścia do jamy czuwał John Cort; jego towarzysze, mimo natrętnego brzęczenia moskitów, spali kamiennym snem.

Przez cały ten czas Cort nie zauważył nic podejrzanego. Zdawało mu się tylko parę razy, że słyszy szczególny dźwięk — jak gdyby słowo wymówione z żalną intonacją ludzkimi wargami. Słowo to brzmiało “ngora”, co w języku tubylców znaczy “matka”.

## ROZDZIAŁ VII

### PUSTA KLATKA

Podróżni mogli sobie powinszować, że przewodnik znalazł w porę ową grootę, utworzoną przez naturę w skalistym brzegu rzeki. Dno jej wyścielał drobnutki, zupełnie suchy piasek, ściany boczne i sklepienie nie nosiły najmniejszych śladów wilgoci. Dzięki temu schronieniu rozgoszczeni w nim wędrowcy nie ucierpieli wcale wskutek ulewnego deszczu, który padał do samej północy. Mieli tu również zapewniony przytułek na cały czas potrzebny do wybudowania tratwy.

Zresztą od północy powiał wkrótce rzeński wiatr i oczyścił niebo, gdy tylko zabłyśły pierwsze promienie słońca. Zapowiadał się upalny dzień. Być może, iż Chamisowi i jego towarzyszom przyjdzie jeszcze żałować cienistych drzew, pod którymi wędrowali w ciągu ostatnich pięciu dni!

John Cort i Maks Huber byli w świetnym humorze. Rzeka miała im zaoszczędzić wielu trudów, niosąc ich na przestrzeni około czterystu kilometrów aż do miejsca, gdzie łączyła się z Ubangi, bez wątpienia bowiem stanowiła jej dopływ. W ten sposób przebyliby trzy czwarte drogi przez puszcę, aż do jej krańca. Obliczył to dość dokładnie John Cort, opierając się na danych dostarczonych mu przez Chamisa.

Spojrzenia podróżnych skierowały się teraz na prawo i na lewo, to znaczy na północ i na południe.

W górę rzeki wstęga wodna ciągnęła się niemal w prostej linii i o kilometr dalej znikła w gęstwinie drzew. W dole masa zieleni skupiała się bliżej, o jakieś pięćset metrów, tam gdzie rzeka skręcała raptownie na południowy zachód. Począwszy od tego miejsca, las stawał się z powrotem niezmiernie gęsty.

W gruncie rzeczy tylko na prawym brzegu otwierała się szeroka, bagnista polana. Po drugiej stronie rzeki drzewa tłoczyły się w zwartych szeregach. Nieprzebyte, wysokopienny las, porastający dość górzysty teren, wznosił się tarasami, a wierzchołki drzew, oświetlone wschodzącym słońcem, odcinały się i ostro na tle dalekiego horyzontu.

Jeśli chodzi o łóżyisko rzekł, zapełniała je po brzegi przejrzysta woda o łagodnym nurcie, niosąc na sobie spróchniałe pnie i kępy trawy wyrwane z brzegów podmytych wirami.

Zaraz po przebudzeniu John Cort przypomniał sobie owo dziwne słowo “ngora”, które usłyszał w nocy, wyszeptane w pobliżu jaskini. Toteż rozglądał się bacznie, czy nie zobaczy kryjącej się w pobliżu ludzkiej istoty.

Wydawało się rzeczą zupełnie prawdopodobną, że koczownicze szczepy odważały się niekiedy spływać tą rzeką do Ubangi; nie wynikało zresztą z tego, aby po olbrzymich przestrzeniach leśnych, ciągnących się na wschód aż do źródeł Nilu, krążyły jakieś plemiona wędrowne lub aby mieszkaly tu ludy osiadłe.

John Cort nie zauważył jednak nikogo ani na skraju bagniska, ani na brzegu rzeki,

“Padłem ofiarą złudzenia — pomyślał. — Bardzo możliwe, że zdrzemnąłem się na chwilę i po prostu we śnie słyszałem to słowo”.

Uspokojony, nie wspominał nawet towarzyszom o nocnym zdarzeniu.

— Słuchaj no, Maks — zwrócił się do przyjaciela — czyś; już przeprosił Chamisa za to, że zwątpiłeś w istnienie rzeki, w którą on wierzył tak niezachwianie?

— Uznaję się za pobitego, Johnie, ale rad jestem, że to ja się pomyliłem, skoro prąd zanieś nas teraz spokojnie do brzegów Ubangi.

— Wcale nie twierdzą, że podróż będzie spokojna — odparł przewodnik. — Natrafimy zapewne na wodospady i niebezpieczne wiry...



— Nie patrzmy tak czarno w przyszłość — oświadczył Cort. — Szukaliśmy rzeki i oto płynie przed nami. Zamierzaliśmy zbudować tratwę, a więc budujemy ją.

— Od razu wezmę się do roboty — rzekł Chamis. — I gdyby pan zechciał mi pomóc...

— Ależ oczywiście! Będziemy razem pracowali, a tymczasem Maks zaopatrzy nas w żywność.

— Sprawa jest tym pilniejsza — powiedział z naciskiem Huber — że nie pozostało już nic do jedzenia. Ten łakomczuch Llanga wszystko wczoraj spałaszował.

— Jak to? Ja, wujku Maksie? — bronił się Llanga, który wziął zarzut na serio i wydawał się nim bardzo dotknięty.

— Ależ nie, mój mały! Ja przecież żartuję! No, ruszaj za mną. Pójdziemy brzegiem aż do zakrętu rzeki. Kiedy z jednej strony ciągnie się bagno, a z drugiej płynie woda, nie powinno tam braknąć zwierzyny. A może — kto wie? — trafi nam się jakaś smaczna rybka i urozmaici nasz jadłospis?

— Niech pan się strzeże krokodyli... a także hipopotamów — doradzał przewodnik.

— Co też ty mówisz, Chamisie! Myślę, że nie należy gardzić przyrządzonym należycie udźcem hipopotama. Zwierzę o tak łagodnym charakterze, coś w rodzaju świni żyjącej w słodkich wodach, musi mieć chyba znakomite mięso!

— Może być, że ta bestia ma łagodny charakter, proszę pana. Ale kiedy się ją podrażni, wpada w straszliwą wściekłość.

— Nie da się przecież wyciąć z hipopotama połędwicy w taki sposób, aby nie pogniwał się odrobinę!

— W każdym razie — wtrącił John Cort — jeśli spostrzeżesz najmniejsze niebezpieczeństwo, wycofaj się natychmiast. Bądź bardzo ostrożny!

— A ty bądź zupełnie spokojny, Johnie. Chodźmy, Llanga!

— Idź, chłopcze — powiedział Cort, — I pamiętaj, że masz się opiekować wujkiem Maksem.

Po takim poleceniu nie ulegało wątpliwości, że nic złego nie spotka Hubera — Llanga będzie czuwał nad jego bezpieczeństwem!

Maks zarzucił karabin na ramię i sprawdził zawartość ładownicy.

— Niech pan oszczędza amunicję — rzucił przewodnik.

— Postaram się, Chamisie. Wielka to jednak szkoda, że natura nie stworzyła “drzew nabożowych” na podobieństwo “chlebowych” i “maślanych”, które rosną w afrykańskich lasach. Przechodzień zrywałby sobie naboże, tak jak się zrywa figi czy daktyle.

Wygłosiwszy tę słuszną bez wątpienia uwagę, Huber oddalił się razem z Llangą; poszli czymś w rodzaju ścieżki, tuż pod wysokim brzegiem, i wkrótce zniknęli z oczu towarzyszących.

John Cort i Chamis zajęli się wówczas wyszukiwaniem drzewa odpowiedniego na budowę tratwy. Chociaż statek miał być nad wyraz prymitywny, należało zgromadzić sporo materiału. Przewodnik i jego towarzysz dysponowali jedynie małą siekierką i scyzorykami. Uzbrojeni w takie narzędzia, nie mogli marzyć o powaleniu leśnych olbrzymów, a nawet ich krewnia ków mniejszego nieco wzrostu. Chamis postanowił więc zebrać opadłe z drzew konary i powiązać je lianami. Na takiej podstawie chciał ułożyć rodzaj pomostu, uszczelnionego gliną i zielskiem. Tratwa mająca cztery metry długości i dwa i pół metra szerokości uniosłaby z łatwością trzech dorosłych mężczyzn i małego chłopca, którzy zresztą zamierzali opuszczać swój statek w porach posiłku i na postój nocny.

Na bagnisku leżało mnóstwo drzew powalonych wiekiem, wichurą lub ciosami piorunów; stały tam jedynie pojedyncze sztuki o drewnie mocno przesyconym żywicą. Już poprzedniego dnia Chamis postanowił, że tutaj właśnie zbierze materiał potrzebny do budowy tratwy. Teraz opowiedział o swoim projekcie Cortowi, a młody Amerykanin oświadczył, że gotów jest natychmiast mu towarzyszyć.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie w górę i w dół rzeki oraz stwierdziwszy, że w okolicach bagniska panuje zupełny spokój, John i przewodnik ruszyli w drogę.

Nie uszli nawet stu kroków, gdy natknęli się na całe góry drzewa, mogącego unosić się na wodzie. Największa trudność polegała bez wątpienia na tym, by je przyciągnąć do brzegu rzeki. Postanowił, że konary zbyt ciężkie dla dwu osób spróbują przenieść dopiero po powrocie myśliwych z polowania.

Tymczasem, jak się zdawało, Maksowi sprzyjało szczęście. Huknął strzał, a wobec znanej zręczności Francuza można było mieć pewność, że nabój nie poszedł na marne. Jeśli nie zbraknie amunicji, żywność dla małego oddziału będzie niewątpliwie zapewniona na przestrzeni owych czterystu kilometrów, które dzieliły go od Ubangi, a nawet w czasie dłuższej jeszcze podróży.

Chamis i John Cort zajęci byli właśnie wybieraniem najlepszych kawałków drzewa, kiedy ich uwagę zwróciły nagle okrzyki dobiegające z tej strony, w którą udał się Huber.

— To głos Maksa... — zaniepokoił się John Cort.

— Tak — potwierdził Chamis. — Słyszę też i Llangę. Rzeczywiście, cienki falsecik mieszał się z grubym głosem dorosłego mężczyzny.

— Czyżby znaleźli się w niebezpieczeństwie? — zapytał Cort.

Obydwaj przebyli z powrotem bagnisko i wspięli się na lekkie wzniesienie, pod którym kryła się grotka. Z tego miejsca, rzuciwszy okiem w górę rzeki, dostrzegli Hubera i małego Murzynka stojących na wysokim brzegu. Wokoło nie było widać ani zwierząt, ani istot ludzkich. Zresztą Maks i Llangą nie okazywali żadnego niepokoju, a gesty ich przyzywały tylko pozostałych w obozie przyjaciół.

Chamis i John opuścili wzniesienie, przebiegli szybko trzysta czy czterysta metrów dzielących ich od towarzyszy i wkrótce wszyscy znaleźli się razem.

— Prawdopodobnie, Chamisie, nie będziesz potrzebował budować tratwy — oświadczył lakonicznie Huber.

— A to dlaczego? — zapytał przewodnik.

— Bo mamy tu gotową do dyspozycji. Jest co prawda w złym stanie, ale wszystko trzyma się jeszcze kupy.

I Maks pokazał w małej zatoczce coś w rodzaju platformy, zbitej z dyli i desek, przywiązanej na pół zgniłym sznurem, którego koniec owijał się wokół sterczącego na brzegu pała.

— Tratwa! — wykrzyknął John Cort.

— Jako żywo, tratwa! — przytaknął Chamis.

Istotnie, nikt nie mógłby mieć wątpliwości co do przeznaczenia owych bali i desek.

— Czyżby tubylcy spływali kiedyś w dół rzeki aż do tego miejsca? — zastanawiał się przewodnik.

— Tubylcy albo może badacze — odparł Cort. — Co prawda gdyby ktoś zwiedził tę część puszczy, wiadano by coś o tym w Kongu czy w Kamerunie.

— W gruncie rzeczy — oświadczył Maks Huber — mało mnie to obchodzi. Cała rzecz w tym, aby sprawdzić, czy tratwa a raczej jej resztki nadają się jeszcze do użytku.

— Naturalnie — powiedział przewodnik i już miał się zsunąć w dół do przystani, gdy powstrzymał go okrzyk Llangi.

Chłopiec, który odszedł o jakieś pięćdziesiąt kroków w górę rzeki, biegł teraz z powrotem, potrząsając trzymanym w rękę dziwnym przedmiotem.

Po chwili wręczył go Cortowi. Była to żelazna kłódka, przeżarta rdzą, bez klucza, której mechanizm dawno przestał funkcjonować.

— Stanowczo nie wchodzą tu w grę koczownicy z Konga lub innych okolic — powiedział Maks Huber. — Nie znają oni przecież sekretów współczesnego ślusarstwa. Tratwa przyniosła najwidoczniej białych ludzi do tego zakrętu rzeki...

— Którzy odeszli, aby nigdy więcej tu nie wrócić — dodał John Cort.

Był to zupełnie słuszny wniosek. Rdza, która przeżarła żelazo, i stan tratwy świadczyły ponadto, iż musiało upłynąć kilka lat od chwili, gdy zgubiono kłódkę i porzucono na brzegu zatoczki drewnianą platformę. Z tych nie podlegających dyskusji faktów wypływały zatem dwa logiczne wnioski i kiedy Cort je sformułował, Maks i Chamis bez wahania przyznali mu rację.

Po pierwsze: jacyś biali, badacze lub podróżnicy, dotarli do tej polany, płynąc tratwą, na którą wsiedli bądź powyżej, bądź poniżej granicy puszczy.

Po drugie: owi badacze czy podróżnicy dla nieznanych powodów porzucili tutaj swoją tratwę, aby zwiedzić połąć lasu leżącą na prawym brzegu rzeki.

W każdym razie ani jeden z wędrowców nie powrócił nigdy z tej wyprawy. John Cort i Maks Huber nie pamiętali, aby kiedykolwiek, od czasu gdy zamieszkali w Kongu, ktoś mówił im o podobnej ekspedycji.

Jeśli w ostatnim odkryciu nie było nic nadzwyczajnego, stanowiło ono jednak prawdziwą niespodziankę. Właściwie Huber powinien by teraz zrezygnować z zaszczytnego miana pierwszego badacza olbrzymiej puszczy, uważanej błędnie za niezdożytą twierdzę.

Tymczasem Chamis, całkowicie obojętny na kwestie pierwszeństwa, oglądał starannie tratwę. Dyle znajdowały się w dość jeszcze dobrym stanie, ale deski ucierpiały znacznie więcej od wichrów i deszczu, tak iż trzy lub cztery należało wymienić. W każdym razie jednak odpadała konieczność budowania statku od nowa: powinno tu wystarczyć kilka zaledwie drobnych naprawek. Przewodnik i jego towarzysze — równie szczęśliwi jak zdumieni — uzyskali pływający wehikuł, który pozwoli im dotrzeć do ujścia nieznanej rzeki.

Podczas gdy Chamis krzątał się wokół tratwy, dwaj przyjaciele komentowali jeszcze niezwykle wydarzenie.

— Tak, nie mylimy się — powtarzał John Cort. — Biali musieli zbadać już kiedyś okolice górnego biegu rzeki. To nie ulega wątpliwości. Ostatecznie ta z gruba ciosana tratwa mogłaby być dziełem tubylców. Ale znaleźliśmy przecież i kłódkę...

— Tak, ową rewelacyjną kłódkę. A może jakieś inne przedmioty wpadną nam także w ręce... — dodał Maks Huber.

— Jeszcze ci mało?

— Ach, Johnie, to bardzo prawdopodobne, że odnajdziemy ślady obozowiska! Nie ma ich wprawdzie tutaj, bo grotka na brzegu rzeki, w której spędziliśmy noc, z pewnością nie służyła naszym poprzednikom za miejsce postoju. Jestem pewien, że nikt przed nami nie szukał w niej schronienia.

— Oczywiście, mój drogi. Przejdźmy się teraz do zakrętu rzeki.

— Taki spacer jest bardzo wskazany, tym bardziej że tam właśnie kończy się polana, i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby nieco dalej...

— Chamis! — zawołał John Cort. Przewodnik podszedł do przyjaciół.

— No, jak tam z tą tratwą? — zapytał Amerykanin.

— Naprawimy ją bez trudu. Przyniosę zaraz potrzebne kawałki drzewa.

— Zanim się weźmiemy do roboty — zaproponował Maks — przejdźmy się brzegiem rzeki. Kto wie, czy nie znajdziemy jakichś naczyń, zaopatrzonych w markę fabryczną, która zdradzi ich pochodzenie? Bardzo by się przydały, aby uzupełnić nasz komplet przyborów kuchennych nader skromny zaiste! Mamy jedynie bukłak na wodę i ani jednego kubka, ani jednego kociołka!

— Nie spodziewasz się chyba, mój kochany, że odkryjesz tu liczną służbę i stół pięknie zastawiony dla przejezdnych gości?

— Niczego się nie spodziewam, Johnie, ale stoimy przecież wobec niezwykle zagadkowych faktów. Spróbujmy znaleźć dla nich jakieś rozsądne wytłumaczenie.

— Niech i tak będzie, mój drogi. A ty, Chamisie, jak uważasz? Czy możemy posunąć się jeszcze o kilometr dalej?

— Pod warunkiem, że nie zapuścimy się poza zakręt rzekł — odpowiedział przewodnik. — Zyskaliśmy możliwość żeglugi, nie traćmy zatem czasu na niepotrzebne marsze.

— Zgoda — odparł John Cort. — Kiedy nasza tratwa popłynie z prądem, będziemy mieli mnóstwo okazji, by obserwować, czy nie pozostały ślady obozowiska na jednym lub drugim brzegu rzeki.

Trzej mężczyźni i Llanga ruszyli brzegiem, tworzącym coś w rodzaju grobli pomiędzy bagnem a rzeką. Szli wolno, spoglądając nieustannie pod nogi, wypatrując odcisku ludzkiej stopy lub jakiegokolwiek przedmiotu porzuconego tutaj przed laty.

Nic jednak nie znaleźli, ani u góry, ani u spodu naturalnej grobli, pomimo starannych poszukiwań. Nigdzie nie pozostały ślady czyjejs wędrowki lub postojów.

Kiedy Chamis i jego towarzysze dotarli do pierwszych szeregów drzew, powitały ich znowu wrzaski małpiej gromady. Czwororękie stworzenia nie zdawały się zbyt zdziwione pojawieniem się ludzi, chociaż na ich widok uciekły czym prędzej. Obecność małpiego ludu, skaczącego wśród gałęzi, była rzeczą zupełnie naturalną. Podróżni zauważyli wśród nich pawiany, j mandryle i szympany.

— W każdym razie — rzekł Cort — to nie one zbudowały tratwę i chociaż są niezwykle inteligentne, nie doszły jeszcze i do tego, aby używać kłódek...

— Tak samo jak i klatek, jeśli się nie mylę — powiedział Maks Huber.

— Klatek?! — zawołał Cort. — A dlaczego przyszły ci na myśl klatki?

— Dlatego, że dojrzałem w gęstwinie coś bardzo dziwnego... o jakieś dwadzieścia kroków od brzegu... jak gdyby mały budynek...

— To zapewne mrowisko w kształcie ula, jakie wnoszą afrykańskie mrówki — powiedział Cort.

— Nie, pan Maks się nie myli — stwierdził Chamis. — Stoi tam... można by powiedzieć mała chatka, zbudowana między dwoma krzakami mimozy. A z przodu ma kratę...

— Klatka czy chatka, wszystko jedno — odparł Maks. — Musimy zobaczyć, co tam jest w środku.

— Ostrożnie! — ostrzegł przewodnik. — Trzeba się prześliznąć za drzewami.

— Czegóż się mamy obawiać? — rzucił Maks Huber, którego, jak zwykle, ponosiły jednocześnie, dwa uczucia: niecierpliwość i zaciekawienie.

Okolica zresztą wydawała się zupełnie pusta. Słychać było jedynie śpiew ptaków i krzyki uciekających małp. Na skraju polany podróżni nie zauważyli ani dawnych, ani świeżych śladów jakiegokolwiek obozowiska. Nic podejrzanego nie dostrzegli też na powierzchni rzeki, która niosła jedynie wielkie kępy trawy, a przeciwległy brzeg również sprawiał wrażenie opuszczonego bezludzia. Przebyli więc szybko ostatnie sto kroków wzdłuż wybrzeża, które tutaj, na zakręcie rzeki, wyginało się łukiem. W tym miejscu kończyło się bagno; grunt pokryty gęstwiną lasu wznosił się stopniowo i stawał się coraz suchszy.

Oparta o dwie mimozy, dziwaczna budowla ukazała się teraz prawie na wprost podróżnych. Oślaniał ją pochyły daszek, okryty strzechą z pożółkłej trawy. Nie miała żadnych bocznych otworów, a opadające nisko zwoje lian zakrywały całkowicie jej ścianki.

Domek miał rzeczywiście wygląd klatki, gdyż przednią ścianę stanowiła krata, podobna do tych, jakie w menażeriach oddzielają dzikie zwierzęta od publiczności.

W kracie znajdowały się drzwiczki — szeroko w tej chwili otwarte.

Klatka była pusta.

Stwierdził to Maks Huber, który wpadł pierwszy do wnętrza.

.Walało się tam jedynie kilka przedmiotów codziennego użytku: garnek w dość dobrym stanie, imbryk do gotowania wody, kubek, trzy czy cztery stłuczone butelki, zbutwiała

wielbiana kołdra, strzępy jakiejś tkaniny, zardzewiała siekiera i futerał od okularów, na pół przegniły, na którym nie dało się już odczytać nazwiska optyka.

W kącie leżało miedziane pudełko; ściśle dopasowana pokrywka powinna była uchronić jego zawartość, jeśli oczywiście cośkolwiek do niego włożono.

Maks Huber podniósł je i spróbował otworzyć, ale trzymał się na próżno. Pokryte śnieżką części pudełka przywarły do siebie niezwykle mocno. Trzeba było wsunąć nóż w szparę i dopiero wtedy pokrywka ustąpiła.

W środku znajdował się doskonale zachowany notes; na jego okładce wytłoczono dwa słowa, które Maks Huber odczytał na głos:

— Doktor Johansen.

## ROZDZIAŁ VIII

### DOKTOR JOHANSEN

Jeśli John Cort, Maks Huber, a nawet Chamis nie wykrzyknęli chórem, gdy padło to nazwisko, stało się tak tylko dlatego, że zdumienie odebrało im mowę. Nazwisko Johansen było bowiem prawdziwą rewelacją. Rzucało snop światła na tajemnicę okrywającą dotychczas najbardziej fantastyczne przedsięwzięcie podjęte przez współczesną naukę. Była to sprawa, w której nie brakowało akcentów komicznych, choć miała ona i tragiczną stronę, gdyż prawdopodobnie zakończyła się w najbardziej opłakany sposób.

Czytelnicy przypominają sobie może doświadczenie, które chciał przeprowadzić Amerykanin Garner — zamierzał on zbadać mowę małp, aby poprzeć swoje teorie dowodami dostarczonymi przez ten eksperyment. Nazwisko profesora, jego artykuły ogłaszane w nowojorskim piśmie "Hayser's Weekly", jego książkę, wydaną w wielu egzemplarzach w Anglii, Niemczech, Francji i Ameryce, dobrze pamiętali mieszkańcy Konga i Kamerunu, a zwłaszcza obaj młodzi przyjaciele.

— To on, nareszcie! — zawołał Cort. — On, o którym od tak dawna nie było żadnych wieści!

— I nie będzie ich nadal — zauważył Huber — skoro nie ma tu nikogo, kto by nam udzielił jakichkolwiek informacji.

Amerykanin i Francuz mówili o doktorze Johansenie. Ale my musimy wrócić jeszcze do jego poprzednika, profesora Garnera, i jego wyczynów. Janes ten nie mógłby zastosować do siebie słów, jakimi Jan Jakub Rousseau rozpoczął swoje "Wyznania": "Podejmuję zadanie nie mające wzorów w przeszłości i którego nikt nie będzie naśladował". Profesor Garner bowiem miał się doczekać naśladowcy.

Amerykański uczoney, zanim wyruszył w głąb Czarnego Łądu, nawiązał już pewne stosunki z ludem małp — oczywiście z jego oswojonymi przedstawicielami. Ze swych długich i bardzo dokładnych obserwacji wyniósł przekonanie, że te czwororękie istoty porozumiewają się ze sobą, używając artykułowanej mowy, że posługują się określonymi słowami, aby wyrażać różne swoje potrzeby, na przykład pragnienie. W ogrodzie zoologicznym w Waszyngtonie profesor kazał porozstawiać fonografy — miały one notować poszczególne wyrazy owego słownika. Zauważył przy tym, że małpy nigdy nie mówiły bez potrzeby, co zasadniczo odróżnia je od ludzi. Koniec końców, sformułował swoją opinię w następujący sposób:

„Uzyskano przeze mnie znajomość świata zwierząt pozwala mi wierzyć głęboko, że wszystkie ssaki posiadają zdolność mówienia w takim stopniu, jaki odpowiada ich doświadczeniu i potrzebom”.

Zanim jeszcze profesor Garner rozpoczął swoje studia, wiadano już, że ssaki — psy, małpy i inne — mają narządy gardła i jamy ustnej rozmieszczone tak samo jak u ludzi i głośnię przystosowaną do wydawania artykułowanych dźwięków. Wiadano jednak również — na przekór szkole uczonych znawców małp — że słowo musi być poprzedzone przez myśl. Aby mówić, trzeba umieć myśleć, myślenie zaś wymaga zdolności uogólniania, której nie posiadają zwierzęta. Papuga mówi, ale nie rozumie z tego ani słowa. Prawda wygląda więc tak, że choć nie istnieją przeszkody natury fizjologicznej, zwierzęta mówić nie mogą, bo przyroda nie obdarzyła ich dostateczną inteligencją. W gruncie rzeczy, zgodnie z powszechnym przekonaniem, „aby powstała mowa, konieczne jest rozumowanie, oparte — przynajmniej w zasadzie — na pojęciach abstrakcyjnych i ogólnych”, jak powiedział pewien krytycznie?! nastawiony myśliciel. Jednakże tych prawd, dyktowanych przez zdrowy rozsądek, profesor Garner nie chciał nigdy brać pod uwagę.

Oczywiście, jego teorie wywołały ostre sprzeciw i dlatego właśnie postanowił przeprowadzić badania na licznych i różnorodnym materiale, który mógł znaleźć jedynie w podzwrotnikowych puszczech Afryki. Zamierzał, gdy tylko nauczy się po gorylsku i szympanśku, wrócić do Ameryki i wydać tam gramatykę oraz słownik małpiego języka. Cały świat musiałby wówczas przyznać mu rację i ukorzyć się przed niezbitymi dowodami prawdy.

Czy profesor Garner dotrzymał obietnicy złożonej samemu sobie i światu uczonych? Oto pytanie, na które doktor Johansen bez wątpienia odpowiedział przecząco, o czym wkrótce się przekonamy.

W roku 1892 profesor Garner opuścił Amerykę i udał się do Konga; przybył do Libreville dwunastego października, po czym osiadł w faktorii należącej do firmy „John Holland i Spółka”, gdzie mieszkał aż do lutego 1894 roku.

Dopiero wtedy zdecydował się rozpocząć swoją naukową kampanię. Na małym parowcu popłynął w górę rzeki Ogowe, wylądował w Lambarene i dwudziestego drugiego kwietnia dotarł do misji katolickiej w Fernand-Vaz.

Ojcowie z Zakonu Świętego Ducha przyjęli go nadzwyczaj gościnnie w swoim domu zbudowanym na brzegu prześlicznego jeziora. Profesor był zachwycony gorliwością misjonarzy, którzy nie zaniedbali niczego, co mogło ułatwić zoologowi jego śmiałe zadanie.

Tuż za budynkami misji tłoczyły się pierwsze drzewa rozległego lasu, pełnego małp. Trudno było wymarzyć dogodniejsze warunki do wejścia z nimi w komitywę! Ale w tym celu należało uczestniczyć w ich życiu prywatnym, dzielić z nimi dołę i niedolę.

Aby tego dokonać, profesor Garner kazał wybudować żelazną, rozbieraną klatkę i zanieść ją do lasu. Jeśli wierzyć jego relacjom, mieszkał w niej trzy miesiące, przeważnie w zupełnej samotności, i mógł studiować do woli czwororękie stworzenia w ich naturalnym stanie.

W rzeczywistości jednak przezorny Amerykanin postawił po prostu swój metalowy domek o dwadzieścia minut drogi od misji, obok źródła, z którego ojcowie czerpali wodę, i nazwał owo miejsce Fortem Goryli; dochodziło się tam wygodną, cienistą drogą. Trzy noce z rzędu zoolog spał nawet w swojej budzie, ale napastowany przez miliardy moskitów, nie mógł dłużej wytrzymać, rozebrał klatkę i wrócił do zakonników. Przyjęto go powtórnie i bezinteresownie udzielono mu gościny. Wreszcie, osiemnastego czerwca opuścił ostatecznie misję i przez Anglię wrócił do Ameryki. Jako jedyną pamiątkę z podróży przywiózł tam dwa małe szympany, które uparcie nie chciały z nim prowadzić najkrótszych bodaj pogawędek.

Oto jakie rezultaty osiągnął profesor Garner. Koniec końców, wydawało się rzeczą najzupełniej pewną, że małpia gwara, jeżeli w ogóle istnieje, będzie musiała jeszcze poczekać na swego odkrywcę; tak samo pozostały nadal tajemnicą kolejne funkcje umysłowe, które mogły zadecydować o ukształtowaniu się tego języka.

Naturalnie, profesor utrzymywał, że pochwylił najróżniejsze dźwięki mające określone znaczenie, jak na przykład „wuw” (jedzenie), „szeni” (picie), „jegk” (uwaga!) i inne, które starannie zanotował. Później, po nowych doświadczeniach, przeprowadzonych w waszyngtońskim ogrodzie zoologicznym, twierdził nawet, że dzięki zastosowaniu fonografu zapisał rzeczownik oderwany, określający wszystko, co można zjeść czy wypić, inny, oznaczający ruchy ręki, oraz jeszcze inny, związany z rachubą czasu. Słowem, według profesora Garnera, język małp składał się z ośmiu czy dziesięciu podstawowych dźwięków, które można było modulować na trzydzieści lub trzydzieści pięć sposobów; uczoney podawał nawet ich tonację: małpy wypowiadały się przeważnie w tonacji a moll. Na zakończenie — i jak twierdził profesor zgodnie z teorią Darwina o ciągłości gatunków oraz przekazywaniu drogą dziedziczości cech fizycznych — można było zapytać: „Jeśli rasy ludzkie pochodzą od małpich przodków, dlaczego by nasze rozliczne dialekty nie miały wypływać z prymitywnego języka tych człekokształtnych stworzeń?” Tylko czy człowiek rzeczywiście pochodzi od małpy? Tego właśnie należało dopiero dowieść.

W istocie, rzekomy język małp, podsłuchany przez amerykańskiego przyrodnika, był jedynie serią dźwięków, które wydają te ssaki, aby porozumiewać się między sobą, podobnie jak wszystkie inne zwierzęta, psy, konie, owce, gęsi, jaskółki, pszczoły i tak dalej. Wedle spostrzeżeń pewnego badacza owo porozumiewanie dokonuje się bądź za pomocą dźwięków, bądź też za pomocą ruchów. Jeśli nie wyrażają one myśli w ścisłym znaczeniu tego słowa, oddają jednak silne wzruszenia i takie uczucia, jak na przykład radość czy strach.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że problemu tego nie mogły rozwiązać niepełne i nie oparte na metodach naukowych badania amerykańskiego profesora. Toteż w dwa lata później pewien lekarz niemiecki powziął myśl rozpoczęcia nowych prób; postanowił osiedlić się w głębi puszczy, w sercu małpiego państwa, a nie o dwadzieścia minut drogi od zakładu ojców misjonarzy, choćby go miały pożreć żywcem moskity, którym nie oparła się pasja odkrywca profesora Garnera.

Śmiałek ten, nazwiskiem Johansen, który przybył do Afryki przed kilkoma laty, żył w miejscowości Malinba, w Kamerunie. Był lekarzem, ale bardziej interesował się zoologią i botaniką niż medycyną. Kiedy usłyszał o nieudanym eksperymencie Amerykanina, zapalił się do myśli, aby podjąć podobną próbę. John Cort miał kilka razy sposobność rozmawiać z nim o jego planach w Libreville.

Doktor Johansen nie był człowiekiem młodym — dawno przekroczył pięćdziesiątkę — ale cieszył się doskonałym zdrowiem. Po angielsku i po francusku mówił równie dobrze jak swym ojczystym językiem, a także, dzięki praktyce lekarskiej wśród tubylców, nauczył się kilku miejscowych narzeczy. Jego stan majątkowy pozwalał mu zresztą udzielać porad bezpłatnie. Nie miał ani bliższej, ani dalszej rodziny, był niezależny w całym znaczeniu tego słowa, nie musiał nikomu zdawać sprawy ze swego postępowania, a pożartym wierzył niezachwianie we własne siły. Dlaczego zatem nie miałby robić tego, na co mu przyszła ochota? Trzeba tu dodać, że doktor był ponadto dziwakiem i maniakiem co się zowie i, jak się to mówi potocznie, jegomościem odrobinę “stukniętym”.

Usługiwał doktorowi pewien tubylec, dość dojarze spełniający “swoje obowiązki. Kiedy się dowiedział o projekcie zamieszkania w puszczy pośród małp, zgodził się towarzyszyć swemu panu, nie orientując się dokładnie, na czym polega jego zobowiązanie.

I oto doktor Johansen i jego służący zabrali się do pracy. Zamówiono w Niemczech rozbieraną klatkę według wzoru profesora Garnera, ale wygodniejszą i lepiej wyposażoną, po czym sprowadzono ją na pokładzie statku zatrzymującego się w Malinba. Z drugiej strony udało się bez trudu zgromadzić na miejscu zapasy żywności, w postaci konserw i innych produktów, oraz amunicje, tak iż wyprawa nie wymagała prowiantowania przez dłuższy czas. Jeśli chodzi o inne ruchomości, bardzo zresztą proste i nieliczne, jak pościel, bielizna, ubrania, przybory toaletowe i naczynia kuchenne — wszystkie te przedmioty zabrano z domu doktora. Zakupiono również starą katarynkę, w przekonaniu, że małpy powinny się okazać wrażliwe na czar pięknych tonów. Jednocześnie doktor kazał wybić pewną ilość niklowych medali ze swoim nazwiskiem i wizerunkiem; miały one ozdabiać piersi dostojników w małpiej kolonii, którą zamierzał założyć w głębi Afryki.

Na koniec, trzynastego lutego 1896 roku, doktor i jego sługa załadowali swój sprzęt na wielką łódź, wsiedli do niej sami i popłynęli z Malinby w górę rzeki Nbari, aby dotrzeć do... Otóż to właśnie! Doktor Johansen nikomu nie chciał wyjawić, dokąd się udaje. Nie potrzebował przez długi czas odnawiać zapasów, miał więc nadzieję, że uchroni się w ten sposób od! wszelkiego rodzaju natrętów. On i Murzyn wystarczali sobie w zupełności. Nic nie powinno niepokoić ani odwracać uwagi czwororękich istot, które miały stanowić jedyne towarzystwo doktora. Zamierzał zadowalać się wyłącznie urokami ich konwersacji, nie wątpiąc, że odkryje wreszcie sekrety małpiego języka.

Dowiedziano się później, że łódź przebywszy około stu mil w górę rzeki Nbari, zatrzymała się w wiosce Ngila. Doktor wynajął tam dwudziestu mniej więcej tragarzy, którzy ponieśli



sprzęt w kierunku wschodnim. Ale od tego momentu wszelki śluch o badaczu zaginął. Tragarze, wróciwszy do wioski, nie umieli wskazać dokładnie miejsca, gdzie się z nim rozstali.

I oto w ciągu przeszło dwóch lat, chociaż próbowano parę razy odszukać zaginionych, nikt nic nie wiedział o losie niemieckiego doktora i jego wiernego sługi.

Teraz dopiero John Cort i Maks Huber mogli odtworzyć — częściowo przynajmniej — przebieg tych dawnych wydarzeń.

Doktor Johansen dotarł wraz ze swoją eskortą do rzeki płynącej w północno-zachodniej części puszczy Ubangi. Następnie przystąpił do budowy tratwy — dzięki zabranym ze sobą narzędziom mógł się łatwo zaopatrzyć w bale i deski. Gdy skończył tę pracę i odesłał tragarzy, popłynął ze służącym w dół owej nieznanej rzeki, a następnie zatrzymał się i zmontował klatkę w tym miejscu, gdzie odnaleźli ją nasi znajomi, to znaczy na prawym brzegu, pod drzewami u skraju polany. Tyle wiedzieli teraz z całą pewnością o wyprawie doktora. Ale ileż przypuszczeń nasuwało się w związku z jego obecną sytuacją!

Dlaczego klatka była pusta? Dlaczego porzucili ją obydwaj lokatorzy? Ile miesięcy, tygodni czy dni w niej przebywali? Czy odeszli z własnej woli? Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne... Czyżby ich porwano? Ale kto mógł to zrobić? Tubylcy? Przecież puszcza Ubangi uchodziła za nie zamieszkaną? A może doktora i jego sługę wypłoszyły dzikie zwierzęta? A na koniec, czy ci dwaj ludzie w ogóle żyli jeszcze?

Wszystkie te pytania postawili sobie szybko obaj przyjaciele. Co prawda na żadne z nich nie mogli dać zadowalającej odpowiedzi i błakali się wśród mroków nieprzeniknionej tajemnicy.

— Zajrzyjmy do notesu — zaproponował John Cort.

— Nie ma innej rady — zgodził się Maks Huber. — Jeśli nawet nie ma w nim dokładnych wyjaśnień, może na podstawie dat zdołamy ustalić, czy...

John Cort otworzył notes, którego kilka kart skleiała wilgoć. — Nie sądzę, byśmy się dowiedzieli stąd czegokolwiek...

— Dlaczego?

— Bo wszystkie kartki są puste... z wyjątkiem pierwszej...

— A cóż się na niej znajduje, Johnie?

— Jakieś okruchy zdań... a także kilka dat. Miały zapewne posłużyć później doktorowi do zredagowania dziennika podróży.

I John Cort zaczął z wielkim trudem odcyfrowywać zapisane ołówkiem linijki, tłumacząc je równocześnie z niemieckiego na angielski.

Dwudziestego dziewiątego lipca 1896 roku. Przybycie z tragarzami na skraj puszczy Ubangi. Rozbicie obozu na brzegu nieznanej rzeki. Budowa tratwy.

Trzeciego sierpnia. Tratwa gotowa. Odesłanie tragarzy do wsi Ngila. Usunięcie wszelkich śladów obozowiska. Odpływam razem z moim służącym.

Dziwiątego sierpnia. Żegluga trwała siedem dni. Postój na polanie. Wokoło mnóstwo małp. Miejsce wydaje się odpowiednie.

Dziesiątego sierpnia. Wyładowanie sprzętu. Wybranie miejsca na klatkę pod pierwszymi drzewami na skraju polany, na prawym brzegu rzeki. Obfitość małp — szympanсів i goryli.

Trzynastego sierpnia. Osiedlamy się na dobre, obejmujemy chatkę w posiadanie. Okolica zupełnie bezludna. Ani śladu tubylców czy białych. Obfitość zwierząt wodnych, w rzece mnóstwo ryb. Chatka ochroniła nas doskonale podczas krótkiej ulewy.

Dwudziestego piątego sierpnia. Od przybycia tutaj upłynęły dwa tygodnie. Prowadzimy regularny tryb życia. Kilka hipopotamów ukazuje się na powierzchni rzeki, ale nie zdradzają agresywnych zamiarów. Zabito parę bawołów i antylop. Ostatniej nocy stado wielkich małp pojawiło się w pobliżu chatki. Nie mogłem rozpoznać, do jakiego należą

gatunku. Biegały po ziemi i wspinały się na drzewa, nie okazując w stosunku do nas wrogich intencji. Zdawało mi się, że dostrzegłem ogień w gęstwinie, o jakieś sto kroków stąd. Należy sprawdzić ciekawy fakt: odniosłem wrażenie, iż owe małpy mówią... zamieniły ze sobą parę zdań. Jedno z małych powiedziało wyraźnie „ngora, ngora”. Słowo to w języku plemion znad Ubangi oznacza „matka”.

Llanga słuchał uważnie cały czas i kiedy John doszedł do tego punktu, zawołał:

— Tak, tak! “Ngora” to znaczy “matka”!

Słowo to, zapisane przez doktora Johansena i powtórzone przez Llangę, musiało przypomnieć Cortowi, że słyszał je poprzedniej nocy. Sądząc, iż padł ofiarą złudzenia, nie opowiedział dotąd towarzyszom o tym zdarzeniu. Ale teraz, zaniepokojony spostrzeżeniem doktora, uznał, że powinien ich we wszystko wtajemniczyć. Toteż gdy Maks Huber zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem profesor Garner nie miał racji co do mówiących małp, John przerwał mu słowami:

— Mogę stwierdzić tylko jedno, mój drogi: ja również słyszałem wołanie “ngora”!

I opowiedział, w jakich okolicznościach, gdy stał na warcie nocą z czternastego na piętnasty marca, żalony głos wymówił ten wyraz.

— No, no! — zdumiał się Maks Huber. — Oto wreszcie coś naprawdę nadzwyczajnego!

— Tego sobie przecież życzyłeś! — roześmiał się Cort. Chamis wysłuchał całego opowiadania, ale wobec sprawy, która tak zainteresowała Francuza i Amerykanina, pozostał, jak się zdawało, zupełnie obojętny. Nie wzruszała go wcale historia doktora Johansena — istotny był dla niego jedynie fakt, że uczony zbudował tratwę, którą się teraz posłużą, podobnie jak przedmiotami zostawionymi w opuszczonej klatce. Przewodnik nie rozumiał, jak można się niepokoić losem dwóch obcych ludzi, a już całkiem nie mieściło mu się w głowie, by rzucać się w głąb puszczy za śladami zaginionych — przecież naraziliby się wówczas na porwanie, które z pewnością stało się udziałem tamtych nieszczęśników! Postanowił więc, że gdyby John Cort i Maks Huber zaproponowali wszczęcie poszukiwań, postara się odwieść ich od tego zamiaru, przypominając, że jedynie słuszną rzeczą jest kontynuowanie podróży i pływ szlakiem wodnym aż do Ubangi.

Zwykły rozsądek wskazywał zresztą, iż żadna akcja ratunkowa nie miałaby widoków powodzenia. W którą stronę należało się zwrócić, aby odnaleźć niemieckiego doktora? Gdyby istniała najmniejsza choćby wskazówka, być może John Cort uważałby za swój obowiązek pośpieszyć mu z pomocą, a Maks Huber uznałby się za narzędzie w rękach Opatrzności, przeznaczone do ocalenia nieszczęśnika. Nie było jednak nic, nic poza tymi urywanymi zdaniem w notesie, z których ostatnie oznaczono przed dwoma przeszło laty datą dwudziestego piątego sierpnia! Nic poza pustymi kartkami, które na próżno wertowali od początku do końca!

Toteż John Cort przerwał wszelkie wahania mówiąc: — Nie ulega wątpliwości, że doktor przybył tutaj dziewiątego sierpnia i że jego notatki urywają się dwudziestego piątego tegoż miesiąca. Jeżeli nic później nie napisał, znaczy to, że z tych czy innych powodów opuścił swoją chatkę, w której mieszkał zaledwie trzynaście dni...

— Poza tym — dodał Chamis — niepodobna sobie nawet wyobrazić, co się z nim stało...

— Wszystko jedno! — rzucił — Maks Huber. — Nie jestem wprawdzie ciekawy...

— Och, mój drogi! Posiadasz tę właściwość w wysokim stopniu.

— Może i masz rację, Johnie. W każdym razie, aby rozwiązać tę zagadkę, byłbym gotów...

— Wracajmy — uciął krótko przewodnik.

Istotnie nie należało tracić na darmo czasu. Musieli czym prędzej doprowadzić tratwę do takiego stanu, by można było opuścić na niej polanę. Gdyby później uznano za stosowne zorganizować specjalną ekspedycję w celu odszukania doktora Johansena i przetrząsnąć

puszczę aż do najdalszych jej krańców, można by podjąć to zadanie w bardziej sprzyjających warunkach i nic by nie stało na przeszkodzie, aby obaj przyjaciele wzięli w nim udział.

Przed opuszczeniem klatki Chamis zbadał dokładnie wszystkie jej zakątki, mając nadzieję, że znajdzie tam jeszcze jakiś użyteczny przedmiot. Zabierając go, nie popełniłby nic zdrożnego, gdyż trudno przypuścić, by po dwóch latach nieobecności właściciel upomniał się kiedykolwiek o swoje mienie.

Chatka, solidnie zbudowana, stanowiła jeszcze doskonałe schronienie. Cynkowy dach, pokryty z wierzchu strzechą, przetrwał bez szwanku zawieruchy i ulewy dżdżystych okresów. Przednia ściana, zaopatrzona w kratę, zwrócona była na wschód, toteż do wnętrza nie docierały prawie gwałtowne wichury. Prawdopodobnie urządzenie chatki nie uległoby kompletnemu zniszczeniu, gdyby pozostawiono je na miejscu. Wydawało się to zresztą bardzo dziwne, że jej stąd zabrano.

Mimo wszystko opuszczona od dwóch lat chatka wymagałaby pewnych reperacji. W bocznych ścianach potworzyły się szpary, podstawy słupów oblepiała mokra glina, oznaki zniszczenia wycierały spod festonów lian i zielonego listowia. Oczywiście Chamis i jego towarzysze nie mieli zamiaru obarczać się pracą konserwatorską. Było rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, że chatka posłuży kiedykolwiek za schronienie jakiemuś innemu badaczowi małych obyczajów. Wędrowcy postanowili zatem zostawić ją na łaskę losu w jej obecnym stanie. Ale czy nic w niej nie znajdą poza imbrykiem, kubkiem, futerałem od okularów, siekierką i pudełkiem, które podnieśli z ziemi? Chamis szukał nadal wytrwale. Gdzie się podziała broń, narzędzia, skrzynie z konserwami, ubrania? Przewodnik zdecydował się wreszcie odejść z pustymi rękoma, gdy — w kącie chaty, na prawo, ziemia pod jego stopą wydała metaliczny dźwięk.

— Coś tu jest — powiedział.

— Może klucz? — zainteresował się Maks Huber.

— Skądże znowu klucz? — zaprotestował Cort.

— Ach, mój kochany! Mam na myśli klucz tej zagadki!

Nie był to jednak klucz, ale zakopane w tym miejscu blaszane pudło, które Chamis wyciągnął pośpiesznie z ziemi. Wydawało się nie uszkodzone i po chwili stwierdzono z żywym zadowoleniem, że zawiera około setki naboju!

— Dzięki ci, zacny doktorze! — zawołał Maks. — Obyśmy mogli kiedyś odwdziżyć ci się za tę niezwykłą przysługę, którą nam wyświadczasz!

Przysługa była istotnie niezwykła, gdyż naboje pasowały do karabinów Chamisa i jego towarzyszy.

Nie pozostało nic innego, jak wrócić do miejsca, gdzie znaleźli tratwę, i doprowadzić ją do stanu używalności.

— Przedtem jednak — oświadczył John Cort — musimy sprawdzić, czy w najbliższym otoczeniu klatki nie pozostały jakieś ślady po doktorze i jego służącym. Możliwe, że tubylcy zaciągnęli obydwóch w głąb lasu, ale mogło się też zdarzyć, że nieszczęśnicy padli walcząc z napastnikami. I jeśli ich szczątki leżą niepochowane...

— Naszym obowiązkiem będzie sprawić im pogrzeb — dokończył Huber.

Ale poszukiwania w promieniu jakichś stu metrów nie dały żadnego rezultatu. Należało wyciągnąć z tego wniosek, że doktor Johansen został porwany — oczywiście przez tych samych tubylców, których wziął za mówiące małpy. Czyż to bowiem możliwe, aby istniały czwororękie zwierzęta obdarzone mową?

— W każdym razie — zauważył John Cort — zyskaliśmy dowód, że w puszczy przebywają koczownicze plemiona i że trzeba się mieć na baczności.

— Słusznie, proszę pana — przytaknął Chamis. — Ale teraz spieszmy do tratwy.

— Czyż nie dowiemy się, co się stało z tym czcigodnym doktorem? — biadał Huber. — Gdzie on może być?

— Tam, gdzie i wszyscy inni, od których nie przychodzą żadne wiadomości — odparł Cort.

— To nie jest odpowiedź, Johnie...

— Nic innego jednak nie da się na ten temat wymyślić, mój drogi...

Kiedy wrócili do groty około godziny dziewiątej, Chamis zajął się przede wszystkim śniadaniem. Ponieważ mieli teraz do dyspozycji garnki, Maks Huber poprosił, aby gotowane mięso zastąpiło pieczeń, urozmaicając przyjemnie ich zwykły jadłospis. Propozycja została przyjęta, rozpalono ogień i koło południa biesiadnicy rozkoszowali się zupą, której niczego nie brakowało poza chlebem, jarzynami i solą. Przed śniadaniem i po nim wszyscy pracowali przy naprawie tratwy. Chamis znalazł w pobliżu chatki kilka desek, które zastąpiły przegniłe w paru miejscach części platformy. Uniknęli w ten sposób ciężkiego trudu, który przy braku narzędzi mógłby się okazać ponad ich siły. Dyle i deski powiązali jeszcze lianami, równie mocnymi jak żelazne obręcze albo co najmniej jak okrętowe liny. Praca dobiegała końca, gdy słońce skryło się za kępami drzew na prawym brzegu rzeki.

Odjazd odłożono do świtu następnego dnia, gdyż lepiej było spędzić noc w grocie. Istotnie, deszcz, który groził od paru godzin, rozpadał się na dobre koło ósmej wieczorem.

Chamis i jego towarzysze mieli zatem odjechać nie dowiedziawszy się niczego o losie doktora Johansena, choć odnaleźli miejsce, gdzie się osiedlił. Nie rozporządzali najmniejszą nawet wskazówką, niczym! Ta myśl dręczyła ciągle Maksa Hubera, chociaż John Cort nie przejmował się już zbyt całą sprawą, a Chamis okazywał w tym względzie zupełną obojętność. Maks nie przestawał dumać o pawianach, szympanсах, gorylach, mandrylach i o mówiących małpach, przyznając zresztą, że doktor musiał mieć do czynienia po prostu z tubylcami. Puszcza ukazywała się znów jego żywej wyobraźni ze wszystkimi swoimi tajemniczymi możliwościami. Z jej niezgłębionej gęstwiny wysuwały się ku niemu niesamowite widziadła, obrazy nieznanym ludów, dziwacznych postaci, wiosek zagubionych w cieniu olbrzymich drzew.

Zanim wyciągnął się na piasku w głębi groty, zwrócił się do towarzyszy.

— Mój drogi Johnie — powiedział — i ty, Chamisie... Chcę wam przedłożyć pewną propozycję.

— Jakąż to? — zapytał Cort.

— Musimy coś zrobić dla tego biednego doktora...

— Może szukać go w puszczy?! — zakrzyknął z niepokojem przewodnik.

— Nie, nie! — zaprzeczył Maks. — Chodzi o to, żeby ochrzcić na jego cześć tę rzekę, która, jak sądzę, była dotychczas bezimienna.

Noc minęła spokojnie i podczas swych kolejnych wart ani John Cort, ani Maks Huber, ani Chamis nie usłyszeli, by jakiegokolwiek słowo doleciało do nich z oddali.

## ROZDZIAŁ IX

### Z PRĄDEM RZEKI JOHANSENA

Szesnastego marca, o godzinie wpół do siódmej rano, tratwa odbiła od brzegu, wydostała się na środek Rzeki Johansena i popłynęła z prądem.

Dniało zaledwie, gdy wyruszali, ale zorza szybko rozświetliła okolicę. W górnych strefach nieba sunęły chmury, pędzone silnym wiatrem. Nie groził jednak deszcz, choć na cały dzień zapowiadała się mglista pogoda. Podróżni nie powinni się na to uskarżać, skoro mieli żeglować po wodnym zwierciadle zazwyczaj wystawionym bezpośrednio na ostre promienie słońca.

Podłużna tratwa liczyła zaledwie dwa metry szerokości i około czterech długości. Powierzchnia ta wystarczała z biedą na pomieszczenie czterech podróżnych i nielicznych przedmiotów, które wieźli z sobą. Wyposażenie ich było rzeczywiście nader skromne — składało się z metalowego pudła z nabojami, trzech karabinów, imbryka, kociołka i kubka. Mieli procz tego trzy rewolwery, z których mogli jeszcze oddać nie więcej jak jakieś dwadzieścia strzałów dzięki nabojom pozostałym w kieszeniach Johna Corta i Maksa Hubera. Ostatecznie jednak można się było spodziewać, że myśliwym nie zbraknie amunicji do chwili przybycia nad rzekę Ubangi.

Na przedzie tratwy, na warstwie starannie ubitej gliny, leżał stos suchego drzewa — który podróżni z łatwością powinni uzupełniać w drodze — na wypadek gdyby Chamis chciał rozpalić ognisko poza porą postoju. Z tyłu tkwiło mocne wiosło, zrobione z niepotrzebnej deski; pozwalało ono kierować tratwą albo co najmniej utrzymywać ją w granicach głównego nurtu.

Rzeka płynęła z szybkością około jednego kilometra na godzinę pomiędzy brzegami odległymi od siebie o jakieś pięćdziesiąt metrów. Przy takim tempie tratwa powinna zużyć od dwudziestu do trzydziestu dni na pokonanie owych czterystu kilometrów, które dzieliły podróżnych od Ubangi. Mieli się posuwać prawie tak samo wolno jak w czasie marszu przez las, ale za to niemal bez zmęczenia.

Jeśli chodzi o przeszkody, które mogły dalej przegradzać rzekę, nie zastanawiano się jeszcze nad sposobami ich pokonania. Stwierdzono tylko na początku, że woda jest głęboka, a koryto kręte i że trzeba śledzić uważnie bieg głównego nurtu. Gdyby się ukazały wodospady lub wiry, przewodnik miał zdecydować, zależnie od okoliczności, jak powinni postąpić.

Aż do południowego postoju żegluga odbywała się pomyślnie. Manewrując wiosłem, ominięto wiry powstałe u wrzynających się w wodę przylądków. Tratwa ani razu nie zahaczyła o brzeg dzięki zręczności Chamisa, który silną dłonią nadawał jej właściwy kierunek.

John Cort stał na przedzie tratwy z karabinem pod ręką i obserwował brzegi okiem myśliwego, zamierzał bowiem odnowić zapasy żywności. Gdyby jakiś zwierz czy ptak pokazał się w zasięgu jego broni, z łatwością położyłby go trupem. Wypadek taki zaszedł około wpół do dziesiątej: kula zabiła na miejscu kozła wodnego, rodzaj antylopy żyjącej w pobliżu rzek.

— Piękny strzał! — pochwalił przyjaciela Maks Huber.

— Piękny, ale niepotrzebny — oświadczył Cort — jeśli nie da się podnieść zwierzyny.

— Zrobimy to w jednej chwili — odparł przewodnik.

Naciskając silnie na wiosło, skierował tratwę do brzegu i zatrzymał ją obok małej plaży, gdzie leżał kozioł wodny. Poćwiartowano zwierzę i zabrano co lepsze kawałki mięsa, które powinny wystarczyć na kilka najbliższych posiłków.

Jednocześnie Maks Huber próbował wykorzystać swoje talenty rybackie, chociaż rozporządzał niezwykle prymitywnymi przyborami: dwoma kawałkami sznurka znalezionymi w klatce doktora, kolcami akacji zamiast haczyków i okrawkami mięsa jako przynętą. Ryby wyskakiwały od czasu do czasu na powierzchnię rzeki, ale czy będą brały? Maks ukląkł po prawej stronie tratwy wraz z Llangą, który w napięciu śledził przebieg połowu.

Trzeba przyjąć, że szczupaki zamieszkujące Rzekę Johansena są równie żarłoczne jak głupie, gdyż jeden z nich już po chwili połknął haczyk. Maks pozwolił rybie rzucić się do woli pod wodą i zmęczywszy ją dostatecznie — tak jak to robią Murzyni z hipopotamem złowionym w podobnych okolicznościach — wyciągnął ją zręcznie, uczepioną do końca wędki. Szczupak ważył z pewnością od ośmiu do dziewięciu funtów i możemy być pewni, że pasażerowie tratwy nie czekali długo, by się uraczyć tym smacznym kąskiem.

W czasie południowego postoju posiłek składał się z pieczonej polędwicy wodnego kozła i ze szczupaka, z którego zostawiono tylko ości. Na wieczór podróżni postanowili przyrządzić sobie rosół z całej ćwiartki antylopy. A ponieważ zupełna trzeba gotować kilka godzin, przewodnik rozpalił ognisko na przodzie tratwy i przytwierdził nad nim kociołek, po czym ruszyli w drogę i płynęli bez przerwy aż do zmroku.

Po południu nie złowili już ani jednej ryby. Około szóstej Chamis zatrzymał tratwę przy wąskiej, kamienistej plaży, ocienionej zwisającymi gałęziami gumowca.

Miejsce postoju okazało się doskonale wybrane, gdyż pomiędzy kamieniami znaleziono mnóstwo małżów i innych mięczaków. Ugotowane i na surowo, uzupełniły w przyjemny sposób wieczorny posiłek. Gdyby dodać do tego ze trzy albo cztery suchary i szczyptę soi, uczta nic by nie pozostawiała do życzenia.

Ponieważ zapowiadała się bardzo ciemna noc, Chamis uważał, że nie można powierzać tratwy prądowi. Rzeką Johansena niosła niekiedy olbrzymie pnie drzew i zderzenie z nimi mogło doprowadzić do katastrofy. Urządzono więc posłanie u stóp gumowca, na naręczach tratwy. John Cort, Maks Huber i Chamis stali kolejno na straży i dzięki temu żaden niepożądany gość nie złożył wizyty w obozie. Jedynie mały wrzeszczały bez ustanku od zachodu słońca do świtu.

— Ośmielam się twierdzić, że tym razem ich wycie nie przypominało wcale rozmowy — oświadczył rankiem Maks obmywając w przejrzystej wodzie rzeki twarz i ręce pokłute bezlitośnie przez krwiożercze moskity.

Tego dnia odjazd opóźnił się o dobrą godzinę, gdyż lunął nagle gwałtowny deszcz. Lepiej było uniknąć strug potopu, który spada tak często na krainy leżące w pobliżu równika. Gęste listowie gumowca osłaniało nieco obozowisko, a także tratwę przycumowaną do korzeni potężnego drzewa.

Nie tylko lało jak z cebra, ale zbierało się również na burzę. Na powierzchni wody krople deszczowe tworzyły bańki podobne do małych żarówek elektrycznych. Kilka razy pomruk grzmotu przetoczył się w górze rzeki. Nie błyskało się jednak i nie należało się spodziewać gradu, który omija zazwyczaj olbrzymie obszary puszczy afrykańskich.

Mimo wszystko stan pogody przedstawiał się dość niepokojąco, wobec czego John Cort uznał za stosowne powiedzieć:

— Jeśli deszcz nie ustanie, lepiej będzie nie ruszać się stąd. Mamy obecnie dostateczną ilość amunicji, nasze ładownice są pełne, ale gorzej jest z ubraniami na zmianę...

— Trzeba będzie — doradził ze śmiechem Maks — zacząć się ubierać według miejscowej mody, to znaczy we własną skórę. Uprości to niezmiernie sytuację! Wystarczy się wykąpać, aby uprać bieliznę, i wytarzać się w krzakach, aby wyszczotkować garnitur!

Faktem było; że obaj przyjaciele, nie mając bielizny na zmianę, musieli co dzień urządzać pranie.

Jednakże ulewa, wskutek swej niezwyklej gwałtowności, nie trwała dłużej jak godzinę. Podróżni wykorzystali ten czas na spożycie śniadania, urozmaiconego nową, z radością

powitaną potrawą: były nią świeżo zniesione jaja dropia, które Llanga wybrał z gniazda, a Chamis ugotował na twardo w imbryku. I tym razem Maks Huber żalił się nie bez racji, że imć pani Natura nie zadbała, by w każdym jajku umieścić szczyptę soli — niezbędnej do tego dania przyprawy.

Chociaż niebo w dalszym ciągu wróżyło burzę, około wpół do ósmej deszcz ustał i tratwa popłynęła znów z prądem, środkiem rzeki. Wlokły się za nią zarzucone wędki i kilka ryb zechciało uprzejmię pokosztować przynęty, w samą porę, by uświetnić południowy posiłek.

Chamis uważał, że nie należy urządzać zwykłego postoju, co pozwoli nadrobić stracony rankiem czas. Towarzysze zgodzili się z nim, John Cort rozpałił ogień i wkrótce zaszumił kociołek ustawiony na rozżarzonych węglach. Pozostała jeszcze dostateczna ilość mięsa wodnego kozła, toteż strzelby musiały milczeć, chociaż Maksa Hubera nieraz kusily wspaniałe okazy błędzące po kilka wzdłuż rzeki.

Ta część lasu obfitowała w różnorodną zwierzynę. Poza ptactwem wodnym żyło tu również wiele przeżuwaczy. Bez ustanku wśród traw i trzciny nadbrzeżnej ukazywały się rogacie, głowy antylop z gatunku "pala". Kilkakrotnie podchodziły wody kozły, małe gazy, antylopy kudu, kwaggi, a nawet żyrafy, których mięso jest prawdziwym przysmakiem. Można było z łatwością ubić niejedno z tych zwierząt, ale podróżni nie potrzebowali polować mając zapas żywności wystarczający na dwa dni. Poza tym nie należało przeciążać tratwy i zawałać jej zbyt ciężkim ładunkiem. Te rozsądne argumenty wytoczył John Cort w rozmowie z przyjacielem.

— Masz rację, mój drogi — przyznał Maks. — Ale cóż chcesz? Strzelba sama podskakuje mi do policzka, kiedy tak piękne sztuki wychodzą na strzał!

Byłoby to jednak polowanie wyłącznie dla przyjemności, toteż Huber — mimo że taki wzgląd nie powstrzymałby w zwykłych warunkach żadnego myśliwca — nakazał swojej broni, by siedziała cicho i nie składała się samowolnie do strzału. Wskutek tego niewczesne detonacje nie roznosiły się echem dokoła i tratwa płynęła spokojnie z prądem Rzeki Johansena.

Popołudnie zresztą przyniosło wędrowcom zadośćuczynienie. Broń palna przemówiła — co prawda nie po to by zaatakować przeciwnika, ale w walce obronnej.

Od rana przebyli około dziesięciu kilometrów. Rzeka wiła się teraz w kapryśnych skrętach, chociaż zasadniczo płynęła ciągle w kierunku południowo—zachodnim. Wysokie, poszarpane brzegi zamykały ją bramą olbrzymich drzew bawełnianych, których szerokie korony wysuwały się nad wodę i osłaniały ją pułapem listowia.

Cóż to był za widok! Chociaż szerokość Rzeki Johansena nie zmniejszyła się wcale i osiągała niekiedy pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt metrów, najniższe gałęzie drzew bawełnianych, rosnących na przeciwległych brzegach, stykały się z sobą, tworząc zielone altany, pod którymi z lekkim pluskiem płynęła rzeka. Wiele gałęzi, splecionych mocno końcami i połączonych skrętami lian, tworzyło istne roślinne mosty, po których zręczni cyrkowcy przeszliby zapewne z brzegu na brzeg. A w każdym razie z łatwością mogły tego dokonać czwororękie akrobatki — małpy.

Chmury po niedawnej burzy gromadziły się jeszcze nisko nad horyzontem, a słońce zalewało żarem przestworza. Jego promienie padały prostopadle na dolinę rzeki, toteż podróżnych cieszył niezmiernie fakt, że mogli płynąć pod sutą kopułą zieleni. Przypominało to wędrowkę przez gęstwinę krzewów, wzdłuż cienistych ścieżek leśnych, chociaż posuwali się teraz bez trudu i nie potrzebowali walczyć z kolczastymi zielskami!

— Toż to prawdziwy park, ta puszcza Ubangi! — oświadczył John Cort. — Park z pięknie rozmieszczonymi grupami drzew i spokojnie płynącymi wodami.

— Tylko że w tym parku roi się od małp — zauważył Huber. — Można by pomyśleć, że wszystkie ich plemiona wyznaczyły sobie tutaj spotkanie. Jesteśmy w sercu małpiego królestwa, gdzie szympansy i goryle sprawują niczym nie ograniczoną władzę!

Spostrzeżenie Maksu było zupełnie słuszne: tłumy małp zalegały brzegi rzeki, ukazywały się wśród gałęzi drzew, biegały i skakały w głębi lasu. Nigdy Chamis i jego towarzysze nie widzieli ich w takiej ilości, nigdy też nie zaobserwowali, by zachowywały się tak niesfornie i wykrzywiały tak ohydnie. Ileż tu było pisków, podskoków, fikania koziołków, jakąż serię min mógłby uchwycić obiektyw fotografa!

W tej chwili podróżni musieli jak najszybciej zastanowić się nad sposobami obrony wobec wrogiej postawy groźnego przez swą liczebność przeciwnika. Zlekceważenie niebezpieczeństwa byłoby dowodem karygodnej nierozwagi. Czwororękie istoty tworzyły prawdziwą armię, zebraną wśród małpiego ludu kraju Ubangi. Niepodobna było się mylić co do znaczenia ich wystąpień, które wkrótce miały zmusić wędrowców do energicznej akcji obronnej.

Przewodnik z wyraźną trwogą obserwował hałaśliwe podniecenie panujące wśród małp. Jego surowa twarz płonęła gorączkowym rumieńcem, oczy rzucały niespokojne, przenikliwe spojrzenia spod nawisłych brwi, a czoło przecięły głębokie zmarszczki.

— Przygotujmy się do walki — powiedział. — Trzeba nabić karabiny i mieć pod ręką zapasowe naboje... Nie wiem doprawdy, czym to wszystko się skończy...

— Głupstwo! Jeden strzał rozproszy całą tę bandę! — rzeki Maks Huber podnosząc karabin.

— Niech pan nie strzela! — zawołał Chamis. — Nie wolno nam atakować ani prowokować nieprzyjaciela. Wystarczy, że będziemy musieli się bronić!

— Ależ małpy już rozpoczęły natarcie — zauważył John Cort.

— Odpowiemy na nie dopiero w ostateczności — oświadczył Chamis.

Napastnicy z każdą chwilą stawali się bardziej agresywni. Z brzegów rzeki leciały kamienie i ułamane gałęzie, ciskane przez małpy; osobniki należące do wielkich gatunków tych zwierząt obdarzone są, jak wiadomo, kolosalną siłą. Padały również pociski o wiele mniej niebezpieczne, między innymi zerwane z drzew owoce.

Przewodnik starał się utrzymywać tratwę na środku rzeki, w jednakowej odległości od prawego i lewego brzegu, gdzie ciosy, mniej pewne ze znacznej odległości, nie zagrażały tak bardzo podróżnym. Na nieszczęście nie było sposobu, żeby się jakoś przed nimi osłonić. W dodatku liczba napastników powiększała się stale i wreszcie kilka pocisków dosięgło pasażerów tratwy, nie robiąc im, co prawda, zbyt wielkiej krzywdy.

— Dosyć tego dobrego! — r zawołał w końcu Maks Huber. Wziął na muszkę goryla, który miotał się wśród gałęzi, i położył go trupem na miejscu.

Na huk wystrzału odpowiedziały ogłuszające wrzaski. Natarcie przybrało jeszcze na sile. Stado ani myślało uciekać. W gruncie rzeczy, gdyby podróżni chcieli wybić wszystkie małpy po kolei, nie starczyłoby im na to amunicji. Licząc nawet po jednej kuli na sztukę, zapas naboju wyczerpałby się bardzo szybko. Co by wówczas zrobili myśliwi mając do dyspozycji puste ładownice?

— Nie strzelajmy więcej — zdecydował John Cort. — Na nic się to nie przyda, rozdrażnimy tylko te przekłete bestie. Mam nadzieję, że wykręcimy się z opresji za cenę kilku nieszkodliwych siniaków...

— Dziękuję ci uprzejmie! — oburzył się Huber, którego w tej samej chwili kamień trzepnął w nogę.

Tratwa płynęła więc dalej, eskortowana z dwu stron przez małpy tłoczące się na brzegach Rzeki Johansena, bardzo krętej na tym odcinku i w niektórych miejscach zwężającej się tak znacznie, że jej łożysko wynosiło dwie trzecie dawnej szerokości. Tratwa przyspieszała wówczas bieg dzięki bardziej wartkiemu prądowi.

Podróżni przypuszczali, że kiedy zapadnie noc, skończą się działania wojenne, a napastnicy rozproszą się wreszcie po lesie. W każdym razie, jeśliby zaszła potrzeba, Chamis projektował nie zatrzymać się na wieczorny postój i zaryzykować całonocną żeglugę.



Niestety, była zaledwie czwarta po południu, a więc do siódmej niepokojąca sytuacja miała trwać bez zmian.

Pogarszał ją jeszcze fakt, że napastnicy mogli z łatwością zawładnąć tratwą. Wprawdzie małpy, podobnie jak koty, nie lubią wody, toteż nie zachodziła obawa, że rzucą się do ataku wpław, ale układ gałęzi zwieszających się nad rzeką pozwalał im przedostać się przez pomosty konarów i lian, a następnie spaść na głowy wędrowców. Taki wyczyn byłby fraszką dla zwierząt równie zwinnych jak złośliwych.

Istotnie, około godziny piątej, kilka wielkich goryli spróbowało dokonać takiego wypadu na zakręcie, gdzie łączyły się w górze gałęzie drzew bawelnianych. Zwierzęta zaczęły się w dole rzeki, o jakieś pięćdziesiąt kroków od tratwy, i czekały, aż podróżni znajdą się pod nimi. John Cort pokazał małpy towarzyszom — nie ulegało wątpliwości, jakiego rodzaju podstęp uknuły.

Spadną nam na kark! — zawołał Maks Huber. — Jeśli natychmiast nie zmusimy tej bandy do ucieczki... Ognia! — zakomenderował przewodnik.

Rozległa się potrójna detonacja i trzy małpy, śmiertelnie ranne, runęły w wodę, czepiając się po drodze gałęzi drzew.

Z przeraźliwszym jeszcze wrzaskiem około dwudziestu czwororękich stworzeń zaczęło się wspinać po lianach, chcąc na nowo zaatakować z góry pasażerów tratwy.

Należało błyskawicznie nabić z powrotem broń i prażyć z niej, nie tracąc ani chwili. Nastąpiła gwałtowna strzelanina. Zanim tratwa podплыnęła pod wiszący most, zraniono dziesięć czy dwanaście małp, a reszta napastników uciekła w popłochu na brzegi.

Mimo woli nasuwała się myśl, że gdyby profesor Garner osiedlił się w tych ostępach olbrzymiej puszczy, nie uniknąłby zapewne losu doktora Johansena. Jeżeli ten ostatni doznał ze strony leśnego ludu takiego samego przyjęcia jak Chamis, John Cort i Huber, jego zniknięcie dawało się bez trudu wytłumaczyć. Tyle tylko, że gdyby napaści istotnie dokonały małpy, podróżnicy powinni byli znaleźć oczywiste tego dowody. Instynkty niszczycielskie czwororękich stworzeń z całą pewnością nie oszczędziłyby klatki — w jej wnętrzu pozostałyby wyłącznie trudne do rozpoznania strzępy.

W tej chwili jednak najpilniejsze zadanie nie polegało na zajmowaniu się losem niemieckiego doktora. Chodziło o to, jak uratować tratwę. Szerokość rzeki znowu zaczęła się zmniejszać. O sto kroków dalej, z prawej strony, obok wysuniętego cypla, woda burzyła się gwałtownie — w tym miejscu musiał nią szarpać potężny wir. Gdyby tratwa wpadła w obręb kipieli, gdyby przestała sunąć z prądem załamującym się tutaj na cyplu, rozbiłaby się bez wątpienia o wysoki brzeg. Chamis mógł wprawdzie za pomocą wiosła utrzymywać ją na środku nurtu, ale z wielkim trudem przyszyłoby mu wyminąć niebezpieczny, wir. Małpy z prawego brzegu rzuciłyby się wtedy hurmem na podróżnych: należało rozpędzić je zawczasu, toteż karabiny weszły do akcji, gdy tylko tratwa zaczęła się obracać wokół własnej osi.

Po chwili napastnicy ulotnili się bez śladu. Ale nie rozproszyły ich ani kule, ani huk wystrzałów, tylko burza, która już od godziny wędrowała ku szczytowi niebieskiej kopuły, okrytej teraz białawą oponą chmur. Przeworza zapłonęły pożarem błyskawic i z niesamowitą szybkością, właściwą przyrównikowym okolicom, rozpętała się walka żywiołów. Na odgłos pierwszych straszliwych grzmotów małpy odczuły instynktowną trwogę, którą budzą wśród wszystkich zwierząt wyładowania elektryczne. Wystraszone, umknęły w nieprzebyte gęstwiny, aby schronić się przed oślepiającym blaskiem, bijącym z szarpanych na strzępy chmur. W ciągu paru minut opustoszały brzegi rzeki, a z małpiej gromady pozostało jedynie około dwudziestu ofiar walki, rozciągniętych bez życia wśród nadwodnej trzciny.

## ROZDZIAŁ X NGORA!

Nazajutrz pogodne niebo — jak gdyby oczyszczone przez burzę gigantyczną miotełką z piór — wysklepiło się kopułą jaskrawego błękitu ponad wierzchołkami drzew. O wschodzie słońca znikły drobne kropelki rosy zawieszona na liściach i źdźbłach trawy. Grunt wysechł tak szybko, że można by od razu ruszyć na piechotę przez las. Nie było jednak mowy, aby w ten sposób wędrować na południowy zachód. Jeśli tylko Rzeka Johansena nie skręcała w inną stronę w swym dalszym biegu, podróżni powinni dotrzeć do doliny Ubangi w ciągu jakichś dwudziestu dni; Chamis nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Gwałtowna burza, szalejąca przy świetle niezliczonych błyskawic, wśród przeciągłego huku grzmotów i walenia piorunów, trwała aż do godziny trzeciej nad ranem. Ale tratwa, przedarłszy się przez wir, zdołała dobić do brzegu i tam podróżni znaleźli schronienie. W tym miejscu wznosił się olbrzymi baobab, którego pień spróchniał doszczętnie od środka — nie pozostało z niego nic prócz kory. Chamis i jego towarzysze, ścisnąwszy się nieco, mogli się jako tako pomieścić we wnętrzu dziupli. Przeniesiono do niej również ubogi dobytek wędrowców, naczynia, broń i amunicję, tak iż nic nie ucierpiało wskutek ulewy. Gdy nadeszła pora odjazdu załadowano wszystko z powrotem na tratwę.

— Słowo daję! Ta burza wiedziała; kiedy ma wybuchnąć! — rzekł John Cort do Maksa.

Chamis przygotowywał resztki zwierzyny na śniadanie, obaj zaś młodzi ludzie, rozmawiając ze sobą, czyścili karabiny, co było rzeczą konieczną po tak ożywionej jak wczoraj strzelaninie.

W tym czasie Llanga myszkował wśród trzciny i wysokiej trawy w poszukiwaniu gniazd ptasich i jaj.

— Masz rację, mój drogi, burza nadciągnęła w samą porę — odpowiedział Huber. — Oby tylko te szkaradne zwierzaki nie zechciały wystąpić na nowo teraz, kiedy rozproszyły się chmury. W każdym razie musimy ciągle mieć się na baczności.

Chamis obawiał się również, że z pierwszym brzaskiem dnia małpy powrócą nad rzekę. Ale wkrótce nabrał otuchy: żadne podejrzanego odgłosy nie dołatywały z zarośli, chociaż słońce przenikało powoli podszycie lasu.

— Przeszedłem jakieś sto kroków wzdłuż brzegu i nie zauważyłem ani jednej małpy — zapewnił towarzyszy John Cort.

— To dobry znak! — zawołał Huber. — Mam nadzieję, że naboje posłużą mi teraz do czegoś lepszego niż do obrony przed małpizsonami. Sądziłem już, że roztrwonimy całą amunicję w tej potyczce...

— A nie dałoby się przecież zdobyć nowego zapasu — wtrącił Cort. — Nie możemy liczyć na to, że natrafimy na drugą klatkę, gdzie zaopatrzymy się w kule, proch i ołów.

— Złość mnie bierze — wykrzyknął Maks — kiedy pomyślę, że poczciwy doktor chciał nawiązać przyjazne stosunki z taką hołotą! Śliczne towarzystwo! A jeśli chodzi o badanie formułek grzecznościowych, którymi się małpy zapraszają na obiady, witają lub żegnają, trzeba być na to doprawdy zwariowanym profesorem Garnerem, z gatunku trafiającego się czasem w Ameryce, albo jednym z duchowych braci doktora Johansena, jakich nie brakuje w Niemczech, a może nawet i we Francji...

— Jak to, Maksie? I we Francji?

— Ah, gdyby dobrze poszukać pomiędzy uczonymi z Instytutu albo z Sorbony, na pewno by się znalazło niejednego idio...

— Idiotę?! — zawołał ze zgrozaniem John Cort.

— Ależ nie! Idiomatologa\* — dokończył słowa Maks Huber. — Taki pan z rozkoszą osiadłby w puszczech Konga, aby podjąć doświadczenia profesora Garnera i doktora Johansena.

— W każdym razie, mój kochany, los pierwszego z tychuczonych nie budzi obaw, gdyż, jak się zdaje, zerwał on wszelkie stosunki z małpią społecznością. Natomiast jeśli chodzi o drugiego, lękam się, że...

— Że pawiany albo jakieś inne małpiszony połamały mu kości — przerwał Maks. — Biorąc pod uwagę przyjęcie, jakie nam wczoraj zgotowały, nie przypuszczam, aby to były istoty cywilizowane, i nie wierzę, aby siękiedykolwiek takimi stały.

— Hm, widzisz... To, jak się zdaje, nie ulega wątpliwości, że zwierzęta muszą pozostać zwierzętami...

— A ludzie nieuleczalnymi głupcami! — roześmiał się Maks Huber. — Mimo wszystko jednak przykro mi będzie powrócić do Libreville nie uzyskawszy żadnych wiadomości o losie doktora.

— Rozumiem cię, ale na razie chodzi przede wszystkim o to, żeby się wydostać z tej puszczy ciągnącej się bez końca.

— Wydostaniemy się na pewno.

— Oczywiście, ale wolałbym mieć to już poza sobą.

Perspektywy dalszej podróży przedstawiały się zresztą dość pomyślnie — wystarczyło przecież powierzyć tratwę prądowi, jeśli tylko gdzieś w dole nie przecinają rzeki bystrzyny, katarakty i wodospady. Tego właśnie najbardziej obawiał się przewodnik.

W tej chwili zawołał on towarzyszy na śniadanie. Llanga zjawił się prawie natychmiast, niosąc kilka jaj dzikiej kaczki, które odłożono na południowy posiłek. Podróżni mieli jeszcze w zapasie spory kawałek antylopy, nie potrzebowali zatem polować aż do następnego postoju.

— Zastanawiam się — powiedział Cort — czy nie moglibyśmy żywić się jakiś czas mięsem małp. Wystrzelone wczoraj naboje nie poszłyby w ten sposób na marne.

— Pfuj! — skrzywił się Maks Huber.

— Patrzcie go, jaki wybredny!

— Jak to, Johnie? Mam się zachwycać kotletami z goryla, pieczenią z szympansa i mandrylem w potrawce?

— To wcale niezłe — oświadczył Chamis. — Tubylcy nie gardzą nigdy tego rodzaju pieczystym.

— I ja bym się nim nie brzydził, gdyby zaszła potrzeba — dodał Cort.

— Ludożerca! — wykrzyknął Huber. — Więc masz apetyt na swoich bliźnich?

— Dziękuję za komplement, Maksie! — roześmiał się John.

Koniec końców, pozostawiono ptakom drapieżnym zabite w czasie potyczki małpy. Puszcza Ubangi obfitowała w dostateczną ilość przeżuwaczy oraz ptactwa i podróżni nie potrzebowali zaspokajać głodu przedstawicielami małpiego plemienia.

Chamis miał poważne trudności z przeciągnięciem tratwy przez wodny wir i okrążeniem cypla. Wszyscy przyłożyli rękę do prac trwających blisko godzinę. Trzeba było ściąć młode, samotnie rosnące drzewka, oczyścić je z gałęzi i zrobić z nich drągi, którymi odepchnięto się od brzegu. Jeśliby gromady małp nadbiegły w tym czasie, kiedy wir przypierał tratwę do lądu, nie dałoby się uniknąć napadu, puszczając statek z prądem rzeki. Przewodnik i jego towarzysze nie wyszliby zapewne cało z tak nierównej walki.

Ostatecznie, dzięki niezliczonym wysiłkom, tratwa minęła cypel i zaczęła spływać na nowo w dół Rzeki Johansena.

Zapowiadała się przepiękna pogoda. Najmniejsza chmurka na horyzoncie nie wróżyła burzy czy deszczu. Przeciwnie, ulewa promieni słonecznych padała prostopadle z góry i upał

---

\* Idiomatolog — językoznawca zajmujący się idiomatyką, tj. nauką badającą wyrazy i zwroty właściwe tylko danemu językowi, nie dające się dosłownie przełożyć na inny język.

byłby nieznośny, gdyby od północy nie wiała dość silna bryza, której tratwa nie mogła niestety wykorzystać z powodu braku żagla.

Rzeka rozszerzała się stopniowo, w miarę jak wody jej toczyły się coraz dalej na południowy zachód. Altany listowia nie osłaniały już tutaj łożyska, splątane gałęzie nie przerzucały mostów od brzegu do brzegu. W tych warunkach powtórne ukazanie się po obu stronach rzeki czwororękich napastników nie przedstawiałyby się tak groźnie jak wczoraj. Żadna z małp zresztą nie wysunęła nosa z zarośli.

Mimo to wybrzeża nie były bynajmniej opustoszałe. Ożywiało je wrzawą i trzepotem skrzydeł mnóstwo ptaków wodnych, jak dzikie kaczki, pelikany, zimorodki wodne i rozliczne gatunki czaplowatych.

John Cort ustrzelił sporo ptactwa, które wraz z jajkami znalezionymi przez Llangę zapewniło południowy posiłek, przy czym, aby nadrobić stracony czas, nie zatrzymano się na zwykły postój. Pierwsza połowa dnia upłynęła zupełnie spokojnie i dopiero po południu zdarzył się wypadek, który nie bez racji zaalarmował mocno podróżnych.

Była mniej więcej czwarta, kiedy Chamis poprosił Corta, aby go zastąpił przy wiosle, którym sterował siedząc na tyle tratwy, przeszedł ku przodowi i stanął tam nieruchomo. Maks Huber podniósł się również, przeszukał wzrokiem prawy i lewy brzeg, a nie znalazłszy nic, co by zagrażało ich bezpieczeństwu, zwrócił się do przewodnika:

— Cóż tam wypatrzył, Chamisie?

— Proszę spojrzeć — rzekł Murzyn wskazując w dole rzeki dość gwałtownie kotłującą się wodę.

— Jeszcze jeden wir :— powiedział Maks — albo raczej rodzaj rzeczno Maelstromu. Trzeba uważać, Chamisie, żeby nie wpakować się w sam środek...

— To nie jest wir — oświadczył przewodnik.

— Nie? A więc cóż to takiego?

Jakby w odpowiedzi na pytanie Maksa znad powierzchni rzeki trysnęła struga wody na jakieś trzy metry wysoko.

— Czyżby przypadkiem w rzekach Środkowej Afryki żyły wieloryby?

— Nie... Tylko hipopotamy — odparł Chamis.

Nagle dało się słyszeć głośnie sapanie i w tej samej chwili wynurzył się z wody kolosalny łeb o rozwartych szczękach, zbrojnych w potężne kły. "Wnętrze paszczy — pozwolimy sobie zacytować tu dziwaczne, choć obrazowe porównanie — przypominało wystawę surowego mięsa u rzeźnika, a oczy wyglądały jak okienka na dachu krytej strzechą, holenderskiej chaty". W ten sposób wyrazili się w swojej relacji pewni podróżnicy, obdarzeni wyjątkowo bujną wyobraźnią.

Hipopotamy spotyka się począwszy od Przylądka Dobrej Nadziei aż do dwudziestego trzeciego stopnia szerokości północnej. Zamieszkują większość rzek, bagien i jezior tej rozległej krainy. Jednakże, zgodnie z dawno już uczynionym spostrzeżeniem, gdyby jakimś dziwnym trafem Rzeka Johansena wpadała do Morza Śródziemnego, nie trzeba by się było obawiać ataków tych ziemnowodnych zwierząt. W rzekach płynących na północ nie pojawiają się one nigdy, z wyjątkiem wód górnego Nilu.

Chociaż hipopotam nie odznacza się wojowniczym usposobieniem, spotkanie z nim może mieć groźne następstwa. Jeśli z tego czy innego powodu zwierzę jest rozdrażnione, jeśli wpadnie w szal pod wpływem bólu, gdy harpun utkwi w jego ciele — rzuca się z furią na myśliwych, goni ich wzdłuż brzegów, rusza do ataku na łodzie, które przewraca z łatwością dzięki swym rozmiarom, a dzięki niesamowitej sile miażdży szczękami, dostatecznie mocnymi, aby odciąć człowiekowi ramię lub nogę.

Ani jeden z pasażerów tratwy — nie wyłączając zwariowanego na punkcie myśliwskich wyczynów Maksa — nie myślał oczywiście o zaczepianiu ziemnowodnego potwora. Inna rzecz, że zwierzę mógł sam przystąpić do ataku, a gdyby dosięgnął tratwy, potrafił ją, zwałił

się na deski całym ciężarem swego cielska, którego waga przewyższa niekiedy dwa tysiące kilogramów, gdyby nadział ją na swoje straszliwe kły — cóż by się stało z nieszczęsnymi wędrowcami!

Prąd rwał w tym miejscu dość ostro i podróżni uznali, że lepiej trzymać się go nadal niż przybijać do jednego z brzegów, dokąd hipopotam mógłby podążyć w ślad za tratwą. Co prawda na łądzie łatwiej dałoby się uniknąć jego natarcia, ponieważ krótkonogie zwierzę, obciążone olbrzymim brzuszyskiem, nie umie szybko się poruszać; przypomina raczej utuczonego wieprza niż dzika. Natomiast płynąca rzeką tratwa była zdana na jego łaskę i niełaskę. Mógł ją rozszarpać na strzępy i nawet gdyby pasażerowie dotarli wpław do brzegu, jakąż katastrofą dla nich byłaby konieczność wybudowania nowego statku!

— Spróbujmy przemknąć niepostrzeżenie —: doradził Chamis. — Połóżmy się na płask, nie róbnmy hałasu i przygotujmy się na wskoczenie w razie potrzeby do wody...

— Ja będę czuwał nad Llangą — powiedział Maks Huber. Zastosowano się do rady przewodnika i wszyscy położyli się na tratwie, którą prąd znosił dość szybko w dół rzeki. W tej pozycji hipopotam nie powinien ich chyba zauważyć.

Po krótkiej chwili, kiedy tratwę zaczęły podrzucać fale rozkołysane ruchami olbrzymiego zwierza, czterej wędrowcy usłyszeli potężne sapanie i odgłosy podobne do świńskich pochrząkiwań. Przez kilka sekund ostry niepokój trzymał ich w napięciu. Czy potwór nie palnie łbem w spód tratwy, czy nie zwali się na nią całym ciężarem?

Chamis, John Cort i Maks Huber odetchnęli swobodnie dopiero wtedy, gdy wygładziły się wzburzone wody i ucichło sapanie hipopotama, którego oddech musnął ich w przelocie falą gorącą. Podnieśli się i rozejrzeli wokoło, nie spostrzegli jednak ani śladu ziemnowodnego zwierza — zapewne skrył się już na dnie rzeki.

Co prawda myśliwi, zaprawieni do walk ze stadami słoni, przebywszy niebezpieczną kampanię wraz z karawaną Urdaxa, nie powinni byli przerazić się tak bardzo hipopotama. Kilka razy atakowali nawet te zwierzęta wśród bagien górnego biegu rzeki Szari. Ale działo się to w o wiele bardziej sprzyjających warunkach. Teraz, na tym mizernym pomoście zbitym z kilku desek, którego utrata stanowiłaby zresztą prawdziwą katastrofę, ich obawy były najzupełniej zrozumiałe i szczęśliwie się złożyło, że uniknęli zetknięcia ze straszliwą bestią.

Wieczorem Chamis zatrzymał tratwę u lewego brzegu rzeki, w miejscu gdzie wpadał do niej niewielki strumień. Nocleg zapowiadał się znakomicie, pod kępą bananowców, których szerokie liście tworzyły doskonałą osłonę.

Na wybrzeżu leżało mnóstwo jadalnych mięczaków, które zebrano natychmiast i, zależnie od gatunku, zjedzono na surowo lub upieczono. Co do bananów, to ich osobliwy smak pozostawiał wiele do życzenia. Jedynie sok tych owoców, zmieszany z, wodą ze strumyczka, dostarczył dość orzeźwiającego napoju.

— Wszystko przedstawiałoby się świetnie — powiedział Maks Huber — gdybyśmy mieli pewność, że uda nam się spać w spokoju. Na nieszczęście, krążą już te przekłete owady, które robią, co tylko w ich mocy, aby nam się dobrać do skóry. Nie mamy przecież zasłon chroniących od moskitów i obudzimy się jutro pokłuci raz, koło razu!

Istotnie, tak by się na pewno stało, gdyby Llanga nie znalazł sposobu na przepędzenie miliardów moskitów, zbitych w brzęczące chmary.

Chłopiec ruszył ścieżką wzdłuż strumyka i po chwili jego wołanie dobiegło z niewielkiej odległości do reszty towarzyszy. Chamis udał się natychmiast w tę stronę i zobaczył, że Llanga znalazł tuż nad brzegiem stos zeschniętych odchodów zwierzęcych, pozostawionych przez antylopy i bawoły, które przychodziły tu do wodopoju.

Otóż gdy się dorzucą po trochu takiego nawozu do płonącego ogniska, daje ono gęsty dym o specyficznym, cierpkim zapachu, co stanowi najlepszy, a może nawet jedyny sposób na rozpędzenie moskitów; tubylcy, w miarę możliwości, posługują się zawsze tym wybiegiem.

Po chwili wielki stos nawozu wznosił się już u stóp bananowców. Podsycono ogień za pomocą chrustu i przewodnik wrzucił weń kilka zeschniętych brył. Buchnęły kłęby dymu i natychmiast rozmiotły na wszystkie strony chmury dokuczliwych owadów.

John Cort, Maks Huber i Chamis czuwali kolejno i przez całą noc płonęło podsycane nieustannie ognisko. Dzięki temu, gdy nadszedł ranek, doskonale wyspani wędrowcy mogli rozpocząć już o świcie dalszą żeglugę z prądem Rzeki Johansena.

Nie nie zmienia się tak szybko, jak pogoda pod niebem Środkowej Afryki. Wczorajszy promienny błękit zastąpiły szarawe opary, wróżące deszczowy dzień. Chmury nie wznosiły się co prawda wysoko ponad horyzont, tak że siąpił tylko drobniutki kapuśniaczek, ale i ten przenikliwy wodny pył nie należał bynajmniej do przyjemności.

Na szczęście Chamisowi przyszedł do głowy doskonały pomysł. Przecież liście bananowców są chyba największe ze wszystkich, jakie produkuje świat roślinny! Murzyni używają ich często na strzechy do swoich chat. Z dwunastu takich liści można by z łatwością zrobić coś w rodzaju namiotu nad środkową częścią tratwy, powiązawszy ich końce lianami. Taki właśnie daszek zmajstrował przewodnik przed wyruszeniem w drogę. Podróźni mieli się zatem gdzie schronić przed uporczywym deszczkiem, którego krople ześlizgiwały się po liściach bananowca.

Przed południem, na prawym brzegu, ukazały się znowu małpy, w liczbie około dwudziestu sztuk; jak się zdaje, miały ogromną ochotę podjąć zaniechane przedwczoraj kroki wojenne.: Najrozsądniej było unikać wszelkiego z nimi kontaktu; udało się to dzięki utrzymaniu tratwy w pobliżu lewego brzegu, nie, nawiedzanego dziś prawie wcale przez bandy czwororękich nieprzyjaciół.

John Cort zauważył słusznie, że plemiona małp zamieszkujące' przeciwległe brzegi musiały rzadko stykać się z sobą, skoro połączenia stanowiły wyłącznie mosty z gałęzi i lian, dość trudne do przebycia nawet dla tak zwinnych stworzeń.

Nie zatrzymano się na postój południowy, a w późniejszych godzinach raz tylko przerwano żeglugę, aby zabrać na tratwę ustrzeloną przez Corta antylopę. Zwierzę wychyliło się niespodziewanie zza kępy trzcin przy zakręcie rzeki.

W tym miejscu Rzeką Johansena niemal pod kątem prostym zmieniała swój dotychczasowy kierunek, podążając na południowy wschód. Zaniepokoiło to mocno Chamisa: w ten sposób mogli zostać odrzuceni w głąb dziewiczych lasów, gdy cel podróży leżał z przeciwnej strony, na atlantyckim wybrzeżu.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż rzeka ta była dopływem Ubangi. Ale jeśli jej ujście znajdowało się o setki kilometrów stąd, w sercu niepodległego Konga, jakież olbrzymie okrażenie wypadnie zrobić wędrowcom! Na szczęście, po godzinie żeglugi, przewodnik wyczuł instynktownie — gdyż słońce ani na chwilę nie wyjrzało zza chmur — że bieg wody przybiera pierwotny kierunek. Podróźni mogli się zatem spodziewać, że prąd zanieśie tratwę do granicy Francuskiego Konga, skąd dotrą z łatwością do Libreville.

O wpół do siódmej Chamis przybił do lewego brzegu rzeki jednym mocnym ruchem sterowego wiosła. Była tam wąska zatoczka ocieniona szerokim listowiem wielkiego drzewa, należącego do tego samego gatunku, co mahonie z lasów Senegalu.

Deszcz przestał wprawdzie padać, ale niebo nadal zakrywały chmury; słońce nie mogło się przedrzeć przez ich grubą zasłonę. Nie należy wyciągać z tego wniosku, że po takim dniu nastąpiła bardzo chłodna noc. Gdyby podróźni mieli do dyspozycji termometr, wykazałby on nie mniej niż dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć stopni Celsjusza powyżej zera. Toteż ogień, który zapłonął wkrótce na kamienistym wybrzeżu, posłużył wyłącznie do celów kulinarnych, mianowicie do upieczenia ćwiartki antylopy.

Tym razem Llanga na próżno szukałby tutaj jadalnych mięczaków dla urozmaicenia jadłospisu czy też bananów do zaprawienia ich sokiem wody zaczerpniętej z Rzeki Johansena.

Maks Huber zauważył, że ta woda, mimo pewnego podobieństwa nazwy, w niczym nie przypomina słynnego "Johannisbergu" z winnic księcia Merternicha\*.

Podróżni stwierdzili tylko z zadowoleniem, że można tu zastosować ten sam, co wczoraj, sposób na rozpędzenie moskitów.

O wpół do ósmej nie zapadły jeszcze kompletne ciemności. W nikłej poświacie lśniła gładka powierzchnia wody. Unosiły się na niej stopy trzciny i zielska, a także pnie nadbrzeżnych drzew, wyrwanych przez burzę.

Podczas gdy Cort, Huber i Chamis przygotowywali legowiska, znosząc pod drzewo naręcza suchej trawy, Llanga spacerował tam i z powrotem wzdłuż brzegu i przyglądał się z ciekawością spływającym z prądem szczątkom.

W tej chwili o jakieś pięćdziesiąt metrów w górze rzeki ukazał się niezbyt duży pień drzewa wraz z całą gęstwiną gałęzi.

W miejscu złamania, nieco poniżej pierwszego rozwidlenia konarów, widniało świeże rozdarcie. Gałęzie, których część wlokła się pod wodą, pokrywały dość gęste liście, trochę kwiatów i owoców, wszystkie płody drzewa, które przetrwały jego upadek.

Prawdopodobnie piorun uderzył w nie podczas ostatniej burzy. Od miejsca gdzie tkwiły jego korzenie, drzewo potoczyło się zapewne na brzeg, a potem ześliznęło się stopniowo, wypłatało z nadwodnych trzciny i porwane prądem płynęło na powierzchni rzeki wraz z mnóstwem innych roślinnych szczątków.

Nie wyobrażajmy sobie jednak, że Llanga snuł tego rodzaju refleksje. Nie przyszłyby mu nawet do głowy, gdyż na pewno nie zwróciłby większej uwagi na ów pień niż na inne poruszające się w ten sam sposób odpadki, gdyby drzewo nie zastane wiło go z innego zupełnie powodu.

Chłopcu zdawało się, że wśród gałęzi porusza się żywe stworzenie, które gestami wzywa go na ratunek. Nie zdołał rozróżnić w półmroku, co by to mogło być. Czyżby jakieś zwierzę? Nie wiedząc, co robić, chciał już wołać Maksa i Johna, gdy nagle zdarzył się nowy wypadek.

Pień znajdował się teraz w odległości mniej więcej czterdziestu metrów i skręcał w stronę zatoczki, gdzie stała tratwa.

W tej chwili rozległ się krzyk — osobliwy krzyk, a raczej pełne rozpaczki wołanie jak gdyby ludzkiej istoty błagającej o pomoc i opiekę. A kiedy pień mijał zatokę, jakiś drobny kształt rzucił się w nurty z wyraźnym zamiarem dotarcia do brzegu.

Llandze zdawało się, że rozpoznał dziecko, dużo mniejsze od siebie. Musiało znajdować się na drzewie, w chwili kiedy pień powaliła burza. Czy maleństwo umiało pływać? W każdym razie nie dość dobrze, aby dosięgnąć brzegu.

Siły opuszczały je najwyraźniej. Walczyło zażarcie, pogrążało się w wodzie i wypływało znowu. Od czasu do czasu dziwny bełkot wyrывał się z jego warg.

Wiedziony litością, bez chwili namysłu Llanga skoczył w nurty rzeki i dotarł do miejsca, w którym dziecko zapadło pod wodę po raz ostatni.

Po chwili John Cort i Maks Huber, którzy usłyszeli rozpaczliwy krzyk, przybiegli na brzeg zatoczki.

Widząc, że Llanga podtrzymuje coś na powierzchni rzeki, wyciągnęli do niego ręce i pomogli mu wydostać się na brzeg.

— No i co, Llanga?! — zawołał Maks Huber. — Cóż tam wyłowić?

— Dziecko, wujku Maksie, dziecko... O mało się nie utopiło...

— Dziecko? — zdumiał się Cort.

— Tak, wujku Johnie.

I Llanga ukląkł obok małej istotki, której z całą pewnością uratował życie.

Maks Huber pochylił się, aby obejrzeć ją z bliska.

---

\* Książę Metternich (1773–1859) — słynny austriacki mąż stanu i polityk; w jego rodzinnych dobrach Johannisberg produkowano doskonałe wina.

— Ależ to nie dziecko! — oświadczył stanowczo, podnosząc się.

— Cóż więc takiego? — zapytał Cort.

— Małpka... Godna latorośl tych obrzydliwych, strojących ałupie miny stworzeń, które niedawno na nas napadły! I po to, zęby uratować tę szkaradę; Llango, sam się narażałeś na utonięcie?

— Przecież to jest dziecko... na pewno dziecko... — powtarzał Llango.

— A ja ci mówię, że nie. I radzę ci zostawić tutaj małpiszona, niech sobie odszuka w lesie swoją rodzinę.

— Nie wiadomo, czy Llango uwierzył słowom opiekuna, czy nie, w każdym razie uparł się, by uważać za dziecko małą istotkę, którą wybawił od śmierci i która nie odzyskała jeszcze przytomności. Słyszeć nawet nie chciał o porzuceniu jej w lesie i wziął natychmiast na ręce bezwładne ciało. Ostatecznie można mu było pozwolić na ten kaprys. Zaniósłszy stworzonko do obozu, chłopiec upewnił się, że jeszcze oddycha, po czym natarł je, rozgrzał i ułożył na suchej trawie, oczekując niecierpliwie, kiedy wreszcie otworzy oczy.

Ustalono zwykłą kolejność wart i obaj przyjaciele zasnęli od razu, gdy tymczasem Chamis miał pełnić straż aż do północy. Llango jednakże nie mógł zmrużyć oka, śledząc w napięciu najlżejsze poruszenie swego pupila.

Wyciągnięty obok niego, trzymał jego rączki w swoich dłoniach, nasłuchiwał, czy spokojnie oddycha... I jakież było jego zdumienie, gdy około jedenastej usłyszał wymówione słabym głosem słowa: „Ngora... ngora!...”, jakby maleństwo wzywało rozpaczliwie matkę!



## ROZDZIAŁ XI

### CO ZDARZYŁO SIĘ DZIEWIĘTNASTEGO MARCA

Droga przebyta do obecnego miejsca postoju — częściowo pieszo, częściowo na tratwie — wynosiła przypuszczalnie około dwustu kilometrów. Czy identyczna odległość dzieliła jeszcze wędrowców od Ubangi? Zdaniem przewodnika tak nie było: mieli już za sobą większą część trasy, a poza tym następne etapy podróży powinni odbyć w szybkim tempie, pod warunkiem, że niespodziewane przeszkody nie utrudnią dalszej żeglugi.

Już o świcie zajęto miejsca na tratwie wraz z małym, nadliczbowym pasażerem, z którym Llanga za nic nie chciał się rozstać. Zaniósł go pod namiot z liści i został tam przy nim, mając nadzieję, że biedna istotka otrząśnie się wkrótce z odrętwienia.

Maks Huber i John Cort nie mieli najmniejszych wątpliwości, że chodzi tu o przedstawiciela rodziny czwororękich zamieszkujących kontynent afrykański, takich jak szympansy, goryle, mandryle, pawiany czy inne. Obydwu młodym myśliwym nie przyszło nawet do głowy, aby obejrzeć dokładnie stworzonko, zainteresować się nim bliżej. Nie zwracali na nie po prostu uwagi. Llanga je wyratował, a potem chciał sobie zatrzymać, tak jak przygarnia się z litości zabłąkanego psa? Doskonale! Chciał uczynić z małpki towarzyszkę podróży? Jeszcze lepiej! To dowodziło, że chłopiec ma dobre serce. Prawdopodobnie jednak, gdy nadarzy się okazja ucieczki do lasu, zwierzątko porzuci swego zbawcę, z niewdzięcznością, na którą nie tylko ludzie mają monopol.

Co prawda, gdyby Llanga przyszedł do Corta, Hubera lub nawet do Chamisa i powiedział: „Ta małpka mówi! Powtórzyła parę razy słowo »ngora«, być może zwróciłby ich uwagę na dziwne stworzenie, obudziłby ich ciekawość. Być może obejrzeliby je staranniej i odkryli w nim przedstawiciela nie znanego dotąd gatunku mówiących małp. Ale Llanga milczał; obawiał się, że to jakaś pomyłka, że się przesłyszał. Postanowił obserwować pilnie wychowanka i gdy tylko słowo „ngora” albo jakiegokolwiek inne wyrwie się z jego warg — natychmiast zawiadomić o tym obydwu „wujków”.

Między innymi i z tego powodu siedział nieustannie pod namiotem z liści. Ale przede wszystkim próbował nakarmić małą istotkę, wyczerpaną, jak się zdawało, długą głodówką. Oczywiście, nie było to łatwe zadanie. Małpy żywią się głównie owocami, a Llanga nie miał do dyspozycji takich przysmaków; mógł ofiarować małemu stworzeniu jedynie mięso antylopy, które na pewno nie przypadłoby mu do gustu. Zresztą nie chciało ono w ogóle jeść z powodu dość silnej gorączki, pogrążone nadal w zupełnym odrętwieniu.

— Jakże się miewa twoja małpka? — zapytał Maks Huber, kiedy Llanga ukazał się wreszcie, w godzinę po wyruszeniu z zatoki.

— Ciągle śpi, wujku Maksie.

— Czy nadal masz ochotę ją zatrzymać?

— O, tak! Jeśli wujek pozwoli...

— Nie mam nic przeciwko temu, mój mały. Uważaj tylko, zęby cię nie podrapała.

— Och, wujku Maksie!

— Nie można ufać tym zwierzątkom. Złośliwe to jak koty.

— Ale ten nie jest zły! Taki jeszcze malutki! Taką ma twarzyczkę!

— Ale, ale! Skoro chcesz się z nim bawić, musisz mu nadać imię.

— Imię? A jakie?

— No, Żoko, do licha! Każda małpa ma na imię Żoko.

Najwidoczniej nazwa ta nie zachwyciła Llangi. Nie odezwał się ani słowem i wrócił pod namiot z liści.

Przez całe rano żegluga odbywała się pomyślnie, a także upał nie dawał się zbyt widać. Chmury okrywały niebo tak grubą warstwą, że nie mogły ich przebić promienie słońca. Należało cieszyć się z tego, gdyż Rzeka Johansena przecinała teraz od czasu do czasu rozległe polany i niepodobna było znaleźć schronienia pod rosnącymi z rzadka, nadbrzeżnymi drzewami. Grunt stał się tu znowu bagnisty, a najbliższej gęstwiny trzeba by szukać co najmniej o pół kilometra na prawo lub na lewo od rzeki. Podróżni obawiali się, aby nie lunął deszcz, gwałtowny jak zwykle w tych stronach, ale niebo na razie zapowiadało tylko niepogodę. Ku wielkiemu niezadowoleniu Hubera nie pokazywały się tu wcale przeżuwacze — jedynie ptaki wodne przelatywały stadami nad bagnem. W ciągu poprzednich dni Maksowi znudziły się już dzikie kaczki czy dropie — wolałyby złożyć się do antylopy, kozła wodnego lub innego czworonoga. Toteż tkwił na przedzie tratwy, z karabinem gotowym do strzału jak myśliwy na stanowisku, i przeszukiwał wzrokiem brzeg, do którego podpływał Chamis zależnie od biegu kapryśnego nurtu.

Jednakże podczas południowego posiłku wędrowcy musieli się znowu zadowolić udkami i skrzydełkami ptaków. W gruncie rzeczy nie było w tym nic dziwnego, że niedobitkom karawany Urdaxa obrzydła ich codzienna strawa. Bez ustanku jedli pieczone, gotowane lub smażone mięso, pili tylko wodę, nie mogli się zaopatrzyć w owoce, nie mieli ani chleba, ani soli. Czasem trafiała się ryba, ale jakże nieodpowiednio przyrządzona! Pragnęli już jak najprędzej dotrzeć do nadgranicznych osiedli kraju Ubangi, gdzie można by zapomnieć o wszelkich przywacjach dzięki gościnności misjonarzy.

Tego dnia Chamis na próżno szukał odpowiedniego miejsca na postój. Brzegi, najeżone gigantycznymi trzciniami, wydawały się zupełnie niedostępne. Jak tu lądować na tak podmokłym terenie? Podróż zyskiwała zresztą na szybkości, kiedy tratwa nie przerywała w ciągu dnia swej wędrówki.

Żeglowano tak aż do piątej po południu. Przez ten czas John Cort i Maks Huber rozmawiali o wypadkach, jakie zaszły w trakcie tej niezwykłej wyprawy. Wspominali jej poszczególne epizody od chwili wyruszenia z Libreville, ciekawe i obfitujące w zdobycz łowy nad górnym biegiem rzeki Szari, rozgramianie wielkich stad słoń, wszystkie niebezpieczeństwa ekspedycji, z których wychodzili obronną ręką przez pełne dwa miesiące, a potem spokojny powrót aż do wzgórza porośniętego tamaryndowcami. Wspominali błędne ogniki na skraju lasu, ukazanie się strasznego stada gruboskórych bestii, atak na karawanę, ucieczkę tragarzy, śmierć dowódcy Urdaxa, zmiążdżonego po upadku drzewa, pogoń słoń, które zatrzymały się dopiero na granicy puszczy...

— Zły obrót wzięły sprawy w tej kampanii, tak szczęśliwie toczącej się na początku — stwierdził John Cort. — I kto wie, czy zakończenie nie przyniesie ostatecznej katastrofy?

— Możliwe, mój drogi. Ale nie sądzę, żeby się tak stało...

— No tak... Zapewne trochę przesadzam...

— Oczywiście. Ta puszcza nie kryje w sobie więcej tajemnic niż wasze lasy na Dalekim Zachodzie. Nie grozi nam tu nawet atak czerwonoskórych. Nie spotkamy ani koczowników, ani plemion osiadłych, ani Szylluków, ani Dinków, ani szczepu Wambutu... A ten szlak wodny, któremu nadaliśmy imię od nazwiska doktora Johansena (wiele bym dał, żeby odnaleźć jego ślady!), ta spokojna i stateczna rzeka zaprowadzi nas wygodnie aż tam, gdzie łączy się z Ubangi.

— Do Ubangi, kochany Maksie, mogliśmy byli dotrzeć okrążając puszcę, zgodnie z marszrutą naszego nieszczęsnego dowódcy, i to w luksusowym pojeździe, gdzie nie brakłoby nam niczego aż do kresu podróży.

— Masz rację, Johnie. I szkoda, że się tak nie stało. Z całą pewnością ta puszcza nie ma w sobie nic niezwykłego i nie warto było jej zwiedzać. To tylko las, wielki las, i nic więcej. A jednak na początku tak bardzo mnie zaciekawiał! Czy pamiętasz płomień migający na jego skraju, te pochodnie błyszczące wśród gałęzi drzew? A potem... ani żywego ducha! Gdzie, u

licha, mogli się podziąć tamci czarni? Czasami łapię się na tym, że szukam ich oczyma w gałęziach baobabów, drzew bawełnianych, tamaryndowców i innych leśnych olbrzymów. Ale nie widzę nikogo... ani śladu ludzkiej istoty...

— Słuchaj... — przerwał mu Cort.

— Co się stało? — zapytał Huber.

Popatrz no w tamtą stronę... W dole rzeki, na lewym brzegu...

— Czyżby jakiś tubylec?

— Tak, tubylec... ale czworonożny! Tam, tam, nad trzciniami widać wspaniałe rogi, wygięte w kablak.

Chamis również popatrzył w tym kierunku.

— To bawół — powiedział.

— Bawół?! — wykrzyknął Huber chwytając za karabin. — Oto porządne obiadowe danie, nie jakaś tam przystawka! I jeśli tylko wyjdzie mi na strzał...

Chamis potężnym pchnięciem wiosła wykręcił tratwę, która ukośnie zbliżyła się do brzegu. Po chwili dzieliło ją odeń nie więcej jak trzydzieści metrów.

— Ileż to befsztyków na nas czeka! — mruknął Huber opierając karabin na lewym kolanie.

— Pierwszy strzał należy do ciebie... a do mnie drugi, jeśli zajdzie potrzeba — powiedział Cort.

Bawół najwidoczniej nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca. Chociaż stał pod wiatr i głośno wciągał w nozdrza powietrze, nie przeczuwał wcale, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo. Niepodobna było celować w serce, należało więc mierzyć w głowę bawołu i tak też zrobił Maks Huber, gdy się upewnił, że może go wziąć na muszkę.

Huknął strzał, ogon zwierzęcia zawirował wśród trzciny, a powietrze przeszło żalosne myczenie. Nie był to głuchy ryk, jaki zwykle wydają bawoły, co dowodziło najlepiej, że kula zadała śmiertelną ranę.

— Dostał! — wykrzyknął z tryumfem Maks Huber. Istotnie, John Cort nie potrzebował już strzelać i zaoszczędzono w ten sposób jeden nabój. Zwierzę runęło między trzciny, a potem zsunęło się z brzegu; z rany tryskał strumień krwi, który barwił na czerwono przejrzystą wodę rzeki.

Aby nie stracić tak wspaniałej sztuki, myśliwi skierowali natychmiast tratwę tam, gdzie stoczył się wielki przeżuwacz; przewodnik zabrał się do oprawiania go na miejscu i oddzielania najlepszych części mięsa. Obaj przyjaciele oglądali z podziwem olbrzymi okaz dzikiego afrykańskiego byka. Kiedy te zwierzęta przebiegają równiny stadami złożonymi z dwustu albo trzystu sztuk, można sobie wyobrazić, jak wygląda ich szaleńczy galop, wśród obłoków kurzu, które wzniesają na swej drodze!

Zabity bawół był to byk-samotnik o wiele większy od swych europejskich krewniaków, o węższym czole, bardziej wydłużonym pysku i bliżej siebie ustawionych rogach. Ze skóry tych zwierząt wyrabia się niezwykle mocne pasy do żołnierskiego rynsztunku, ich rogi dostarczają surowca do fabrykacji tabakierki i grzebieni, a twardej sierści używa się do wypychania foteli i siodeł. Ale najcenniejsze jest ich mięso — polędwice i udźce — z których można przyrządzać smakowite i posilne potrawy; dotyczy to zarówno bawołów azjatyckich, jak afrykańskich oraz amerykańskich bizonów. Jednym słowem, Maksowi udało się polowanie. Szczęśliwie się też złożyło, że bawół padł od pierwszej kuli, gdyż staje się niezmiernie groźny, jeśli zdoła jeszcze natrzeć na myśliwego.

Chamis, posługując się nożem i siekierką, przystąpił do ćwiartowania mięsa, w czym towarzysze pomagali mu, jak umieli najlepiej. Nie należało obciążać zbyt mocno tratwy, toteż zabrali tylko około dwudziestu kilogramów apetycznego mięsiwa, które powinno dostarczyć żywności na kilka dni.

Tymczasem, kiedy myśliwi dokonywali tego wspaniałego wyczynu, Llanga, który zazwyczaj tak żywo interesował się wszystkim, co robili jego opiekunowie i przyjaciele, teraz nie ruszył się spod namiotu. Jakaż była tego przyczyna?

Na huk karabinowego wystrzału małe stworzonko ocknęło się ze snu. Jego ręce poruszyły się lekko, a choć oczy miało nadal zamknięte, z na wpół rozchylonych ust, spomiędzy bezkrwistych warg wyrwało mu się słowo, które Llanga już raz od niego usłyszał:

— Ngora! Ngora!

Tym razem chłopiec miał pewność, że się nie myli. Słowo zadźwięczało mu wyraźnie w uszach, chociaż zostało wymówione w sposób dziwaczny, gardłowy, ze zniekształconą literą “r”.

Wzruszony żalną skargą brzmiącą w głosie nieszczęsnego maleństwa, Llanga ujął rączkę, która płonęła trwającą od wczoraj gorączką. Napełnił kubek zimną wodą i próbował wlać kilka kropel w usta chorego, ale trzymał się na próżno — nie udało się rozewrzeć zaciśniętych szczęk o zębach olśniewającej białości. Wtedy Llanga umoczył w wodzie kępkę trawy i przetarł nią delikatnie wargi małej istotki, co zdawało się jej sprawiać pewną ulgę. Rozpalona rączka uściśnęła słabo dłoń chłopca i szept “Ngora” znowu doleciał do jego uszu.

Słowo to, jak pamiętamy, używane jest przez plemiona zamieszkujące Kongo i znaczy “matka”. Czyżby to stworzonko przyzywało swoją rodzicielkę?

Z sympatią, jaką Llanga odczuwał dla niego, łączyła się głęboka litość, zupełnie zrozumiała, skoro się pomyśli, że wymówione przed chwilą słowo dolatywało zapewne wraz z ostatnim tchnieniem ze spieczonych warg. Huber powiedział, że to małpa. Ale nie, to nieprawda! Dziecięcy umysł Llangi nie mógł jednak znaleźć uzasadnienia dla swego namiętnego sprzeciwu.

Chłopiec siedział tak całą godzinę, to gładząc po ręku maleństwo, to zwilżając mu usta wodą, dopóki nie zasnęło na nowo. Wówczas wyszedł z namiotu i przyłączył się do towarzyszy z zamiarem opowiedzenia im o wszystkim. Tratwa, odepchnięta od brzegu, zaczynała właśnie spływać na powrót z prądem.

— No i co? — zapytał Huber wesoło. — Czy wyzdrowiała już twoja małpka?

Llanga popatrzył na niego z wahaniem, po czym położył mu dłoń na ramieniu i odrzekł poważnie:

— To nie jest małpka...

— Jak to? — zdziwił się John Cort.

— Ależ to uparciuch, ten nasz Llanga! — wykrzyknął Maks. — No proszę! Wbiłeś więc sobie do głowy, że to dziecko, takie samo jak ty?

— Tak dziecko... Nie takie samo jak ja, ale dziecko...

— Posłuchaj, Llanga — wmieszał się Cort, podchodząc do sprawy poważniej od przyjaciela. — Dlaczego utrzymujesz, że to jest dziecko?

— Bo... bo ono mówi... Dziś w nocy...

— Powiedziało coś?

— Tak. I teraz, przed chwilą, znowu...

— A co też mówi ten mały geniusz? — zapytał Huber.

— Powiedział “ngora”.

— Co? Przecież ja już słyszałem to słowo! — zawołał John nie ukrywając zdumienia.

— Tak, “ngora” — stwierdził mały Murzynek. Nasuwały się dwa przypuszczenia: albo Llandze coś się przywidziało, albo nie był przy zdrowych zmysłach.

Trzeba to jednak sprawdzić — powiedział Cort. — Jeśli się okaże, że chłopak mówi prawdę, nasz kochany Maks zobaczy wreszcie coś istotnie niezwykłego!

Obydwaj weszli pod daszek z liści i zaczęli oglądać śpiące maleństwo.

Zapewne, na pierwszy rzut oka można by przysiąc, że stworzenie należy do rodziny małp. Ale Johna Corta uderzył natychmiast pewien szczegół: nie miał przed sobą istoty

czwororękiej, tylko dwuręką. Otóż według klasyfikacji Blumenbacha, jedynie człowieka, w przeciwieństwie do wszystkich zwierząt człekokształtnych charakteryzuje ta cecha. Osobliwa mała istotka miała dwie ręce, gdy tymczasem wszystkie bez wyjątku małpy są czwororękie. Nogi jej zdawały się przystosowane do chodzenia, nie były wcale chwytne jak kończyny przedstawicieli małpiego rodu.

John Cort na to przede wszystkim zwrócił uwagę Hubera. — To ciekawe... niezwykle ciekawe — szepnął Maks. Jeśli chodzi o wzrost tajemniczej istotki, nie przekraczał on siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Wydawało się zresztą prawdopodobne, że obserwatorzy mają przed sobą dziecko najwyżej pięcio- czy sześćioletnie. Skóry jego nie pokrywała sierść, lecz delikatny, rudawy meszek. Na czole, brodzie i policzkach nie było śladu włosów, które rosły bujnie tylko na piersiach i nogach. Uszy kończyły się miękkimi, zaokrąglonymi płatkami, których brak uszom człekokształtnych zwierząt. Ręce stworzonka nie odznaczały się też nadmierną długością i przyroda nie obdarzyła go ową „piątą kończyną”, pospolitą u wielu gatunków małp, to znaczy ogonem, który służy za organ dotyku i narząd chwytny. Głowa była okrągła, a choć kąt twarzowy liczył dużo mniej niż osiemdziesiąt stopni i szeroki nos wydawał się mocno spłaszczony, czoło nie robiło wrażenia zbytnio cofniętego. Skórę czaszki okrywała wełnista czupryna. Najwyraźniej tajemnicze stworzenie było bardziej zbliżone do człowieka niż do małpy swoją budową zewnętrzną, a prawdopodobnie i rozwojem umysłowym.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie zdumienie ogarnęło Maksa Hubera i Johna Corta, gdy nagle stanęli twarzą w twarz z istotą zupełnie nieznaną, której nigdy nie oglądał żaden antropolog i która, w gruncie rzeczy, zdawała się zajmować miejsce pośrednie pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.

A poza tym Llanga twierdził, że stworzonko mówi... Może jednak Murzynek wziął za artykułowane dźwięki coś, co było tylko krzykiem nie związanym z jakąkolwiek myślą, co było odruchem instynktu, a nie objawem inteligencji?

Dwaj przyjaciele stali w milczeniu, mając nadzieję, że usta maleństwa zechcą się jeszcze otworzyć; tymczasem Llanga nacierał mu delikatnie czoło i policzki. Chłopiec zauważył, że oddech chorego nie był już tak przyśpieszony, a skóra tak rozpalona jak przed chwilą — widocznie minęło nasilenie gorączki. Wreszcie wargi stworzonka rozchyliły się lekko.

— Ngora, ngora! — powtórzyło.

— Coś podobnego! — wykrzyknął Maks Huber. — To przechodzi wszelkie pojęcie!

Młodzi myśliwi nie wierzyli własnym uszom.

Jak to? Ta dziwna istota, która w każdym razie nie stała na najwyższym szczeblu rozwoju świata zwierzęcego, która z całą pewnością nie była człowiekiem, posiadała dar mowy? Jak dotąd wypowiedziała wprawdzie tylko jedno słowo używane w narzeczach Konga, ale czyż na tej podstawie nie należało przypuszczać, że zna też inne wyrazy i potrafi formułować zdania, aby przekazywać swe myśli?

Szkoda, że jej oczy nie otwarły się ani na chwilę, że nie można było w nich poszukać owego rozumnego spojrzenia, które tak wiele umie wyrazić! Niestety, powieki pozostawały ciągle spuszczone i nic nie wskazywało, by miały się unieść w niedługim czasie.

Mimo to John Cort, pochylony nad maleństwem, obserwował je bacznie, oczekując na nowe słowo lub okrzyk. Nie budząc go, podtrzymywał mu ostrożnie głowę, gdy nagle, z najwyższym zdumieniem spostrzegł jakiś sznurek, owinięty wokół jego szyjki. Przesunął lekko zrobioną z roślinnych włókien plecionkę, aby odszukać węzełek łączący jej końce, i prawie natychmiast zawołał:

— Medal!

— Medal? — powtórzył Maks Huber.

John Cort rozwiązał sznurek.

Tak był to duży, nikłowy medal z nazwiskiem wyrytym z jednej strony i profilem mężczyzny z drugiej.

Nazwisko brzmiało Johansen, a profil był wizerunkiem doktora.

— Znowu on! — wykrzyknął Maks Huber. — Ten malec został udekorowany odznaczeniem niemieckiego profesora, którego pustą klatkę znaleźliśmy niedawno.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby medale rozeszły się szeroko wśród tubylców Kamerunu i Konga. Ale żeby tego rodzaju odznaczenie znalazło się na szyi dziwaczego mieszkańca puszczy Ubangi...

— Fantastyczna historia! — oświadczył Huber. — Może te małpoludy wykradły po prostu medale ze skrzyni doktora?

— Chamis! — zawołał John Cort.

Chciał się podzielić z przewodnikiem niezwykłymi odkryciami i zapytać go, co o tym wszystkim sądzi.

Ale w tej samej chwili rozległ się głos Chamisa.

— Panie Maksie! Panie Johnie! — krzyczał.

Młodzi ludzie wybiegli spod namiotu i skoczyli do niego.

— Proszę posłuchać — rzekł Murzyn.

O jakieś pięćset metrów przed nimi rzeka rzucała się gwałtownie w prawo, tworząc zakręt, gdzie drzewa tłoczyły się znów zwartą gęstwiną. Gdy się nadstawiało ucha, dobiegało z tamtej strony nieustannie głucho buczenie, nie przypominające w niczym poryku przeżuwaczy ani wycia drapieżców. Był to dziwaczny hałas, który zyskiwał na sile, w miarę jak tratwa posuwała się w tamtym kierunku.

Bardzo podejrzane dźwięki — powiedział John Cort.

Nie mam pojęcia, co by to mogło być — dorzucił Maks Huber.

Jest tam pewnie jakiś wodospad albo silne wiry — podjął przewodnik. — Wiatr wieje z południa i czuję, że powietrze przesycą coraz większa wilgoć.

Chamis nie mylił się. Nad rzeką sunęły mokre opary — musiały je wywołać jakieś gwałtowne zaburzenia w głębi wód.

Czyżby bieg rzeki tamowała katarakta? Czy wypadnie przerwać żeglugę? Sytuacja przedstawiała się tak groźnie, że Hub i Cort zapomnieli w jednej chwili o Llandze i jego protegowanym.

Tratwa spływała dość szybko i za zakrętem powinni się przekonać, co powodowało ów rumor. Niestety, okazało się, że obawy przewodnika były w pełni usprawiedliwione.

O jakieś dwieście metrów przed nimi zwały czarniawych skał tworzyły zaporę ciągnącą się od brzegu do brzegu. Rozstępowały się jedynie pośrodku i tamtędy waliła zwieńczona pianą woda. Po obu stronach przejścia biła wściekle o naturalną tamę, przeskakując miejscami głazy, tak iż niezależnie od szalejącej na środku kipieli bokami sunęły dwa wodospady. Jeśli tratwa nie dobieje natychmiast do brzegu, jeśli nie uda się przycumować jej tam solidnie, zostanie porwana, roztrzaska się o skały lub pochłonie ją gwałtowny wir!

Wędrowcy zachowali jednak zimną krew. Nie było zresztą chwili do stracenia, gdyż szybkość nurtu zwiększyła się znacznie.

— Do brzegu! Do brzegu! — krzyknął Chamis.

Minęło właśnie wpół do siódmej i wskutek mglistej pogody żeglarze z trudem rozróżniali otaczające ich przedmioty w niepewnym świetle zmierzchu. Ta przeszkoda, w dodatku do tyłu innych, utrudniała jeszcze manewrowanie tratwą.

Na próżno Chamis usiłował skierować ją do brzegu — nie starczyło mu na to sił. Maks Huber pośpieszył przewodnikowi z pomocą i obaj próbowali oprzeć się prądowi niosącemu ich prosto na środek zapory. We dwóch uzyskali pewne wyniki i prawdopodobnie wydarliby się z rozszalałego nurtu, gdyby nie to, że pękło nagle służące za ster wiosło.

— Przygotujmy się do rzucenia tratwy na skały! Żeby tylko nie porwał jej wir! — zakomenderował Chamis.

— Nic innego nie da się zrobić — odparł John Cort. Usłyszawszy niespodziewane hałasy, Llanga wysunął się z namiotu. Rozejrzał się wokoło i zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo im zagraża. Nie myślał jednak o sobie — przede wszystkim zatrwożył się o tamto chore maleństwo. Wrócił do namiotu, wziął je w ramiona i ukląkł z nim na tyle tratwy.

Po chwili pomost mknął na nowo z prądem. A może nie zderzy się z zaporą i zdoła, nie tracąc równowagi, spłynąć na drugą stronę?

Jednakże zły los zwyciężył i kruchy stateczek runął w szalonym pędzie na jedną ze skał po lewej stronie. Na próżno Chamis i jego towarzysze próbowali ucześcić się głazów, na które przewodnik rzucił w ostatnim momencie pudło z nabojami, broń i trochę dobytku.

Wir porwał wszystkich w swoje skręty, w chwili gdy tratwa została ostatecznie zmiażdżona, a jej szczątki zniknęły w dole, wśród ryczącej wodnej kipieli.

## ROZDZIAŁ XII

### W MROKACH LEŚNEGO PODSZYCIA

Nazajutrz trzech ludzi leżało nieruchomo przy ognisku, w kto rym dogasały ostatnie węgielki. Zmożeni trudem, niezdolni zwalczyć odrętwienia, włożyli tylko wysuszone przy ogniu ubrania i znowu zapadli w sen.

Któraż to była godzina? Dzień czy noc? Nikt nie umiałby na to odpowiedzieć. Jednakże, obliczywszy z grubsza czas, który musiał upłynąć od wczoraj, zdawało się, że słońce powinno stać wysoko nad horyzontem. Ale gdzie się znajdowała wschodnia strona świata? I to pytanie pozostałoby na pewno bez odpowiedzi! Czyżby ci trzech ludzie leżeli w głębi jaskini, w miejscu dokąd nie przenika światło dnia?

Nic podobnego. Wokół nich tłoczyły się drzewa tak gęsto, że w odległości paru metrów tworzyły nieprzeniknioną dla wzroku zasłonę. Nawet gdyby ognisko płonęło pełnym blaskiem, oko nie zdołałoby wykryć najmniejszej ścieżki pomiędzy olbrzymimi pniami a kaskadą lian, które spletały je ze sobą. Najniższe gałęzie tworzyły pułap na wysokość zaledwie piętnastu metrów nad ziemią. Powyżej gęste listowie, okrywające drzewa aż do wierzchołków, nie przepuszczało ani światła gwiazd, ani promieni słonecznych. W żadnym więzieniu nie mogłyby panować głębsze ciemności, żadne mury nie stanowiłyby równie nieprzebytej zaporę; a przecież nasi znajomi znajdowali się jedynie wśród leśnego podszycia ogromnej puszczy. Gdyż trzech leżący przy ognisku ludzie byli to John Cort, Maks Huber i Chamis.

Jakież zbieg okoliczności zaprowadził ich w to miejsce? Nic mieli o tym pojęcia. Gdy tratwa rozbiła się na skalistej zaporze, nie zdołali uchwycić się głazów i porwał ich piekielny wir. Nie wiedzieli wcale, co nastąpiło po straszliwej katastrofie. Komu zawdzięczali ocalenie? Kto przeniósł ich w tę gęstwinę, zanim odzyskali przytomność?

Na nieszczęście, nie wszyscy wyszli cało z przygody. Brakowało jednego z wędrowców, wychowanka Johna Corta i Maksa Hubera, biednego Llangi, a także małej istotki, której chłopiec uratował poprzednio życie. Kto wie, czy Murzynek nie zginął właśnie dlatego, że po raz drugi usiłował ocalić nieszczęsne stworzonko?

Chamis i jego towarzysze nie mieli teraz ani broni, ani amunicji, ani żadnych narzędzi oprócz scyzoryków i siekierki, którą przewodnik nosił u pasa. Tratwa przepadła, a przy tym nie wiedzieli nawet, w którą stronę się obrócić, aby odszukać Rzekę Johansena.

I jak rozwiązać kwestię żywności? Nie mogli już przecież polować... Czyż mieli poprzestać na korzonkach i dzikich owocach, nader niedostatecznej strawie, której zdobycie stało zresztą pod wielkim znakiem zapytania? Czy nie należało przypuszczać, że w krótkim czasie zginą po prostu z głodu?

Na razie mieli co prawda żywność wystarczającą na jakieś dwa lub trzy dni. Resztę bawolego mięsa złożono bowiem przy nich w tym miejscu. Podzielili się kilkoma kawałkami, upieczonymi poprzednio, i znowu zapadli—w sen obok dogasającego ogniska. John Cort obudził się pierwszy, wśród ciemności głębszych niż mroki najczarniejszej nocy. Gdy jego oczy oswoiły się z nimi trochę, dostrzegł niewyraźne postacie Maksa i Chamisa, leżących u stóp drzew. Zanim ich obudził, podsycił ogień, zgarniając resztki główni tlejące pod warstwą popiołu. Następnie rzucił na nie naręczę chrustu i suchej trawy, tak iż wkrótce migotliwe płomienie załąły blaskiem obozowisko.

Zastanówmy się teraz — powiedział głośno Cort — jak wybrnąć z tej biedy.

Skwierczenie ognia obudziło po chwili Maksa i Chamisa, którzy zerwali się jednocześnie. Powróciła im świadomość sytuacji. Przystąpili natychmiast do jednej rzeczy, która pozostała do zrobienia, to znaczy zaczęli się naradzać.



Gdzie my jesteśmy? — zapytał Maks Huber.

— Tam, dokąd nas zaniecono :— odparł Cort. — Nie mamy przecież pojęcia, co zaszło od chwili katastrofy...

— Upłynęła być może cała doba od tego czasu — powiedział Huber. — Jak myślisz, Chamis? Czy orientujesz się choć trochę

Zamiast odpowiedzi przewodnik potrząsnął tylko głową. Niepodobna było określić, ile czasu upłynęło od rozbicia tratwy, ani ustalić, w jakich okolicznościach zostali wyratowani.

— A Llanga? —zapytał Cort. — Zginął bez wątpienia, skoro nie ma go tutaj z nami... Ci, którym zawdzięczamy ocalenie, nie mogli go zapewne wydobyć z kipieli...

— Biedne dziecko! — westchnął Huber. — Taki był do nas przywiązany! I myśmy go tak kochali, marzyliśmy o zapewnieniu mu szczęśliwej przyszłości... Doprawdy, wyrwać go z rąk Dinków, aby teraz utracić w ten sposób, jakież to okropne! Biedny, biedny malec! J

Obaj przyjaciele nie zawahaliby się poświęcić życia dla Llangi. Ale sami przecież o mało nie zginęli wśród wodnych wirów i nie wiedzieli, komu zawdzięczali ocalenie...

Nie trzeba chyba dodawać, że nie troszczyli się w tej sytuacji o dziwaczne stworzenie przygarnięte przez Murzynka, które zapewne utonęło z nim razem. Mnóstwo innych spraw absorbowало ich obecnie, spraw o wiele ważniejszych od antropologicznych dociekań związanych z na pół ludzką, na pół małpią istotą.

— Wysilam pamięć — podjął John Cort — ale ani rusz nie mogę sobie uświadomić, co nastąpiło po naszym zderzeniu się z zaporą skalną. Na chwilę przedtem zdawało mi się, że widzę jak Chamis rzuca na głazy naszą broń i przybory...

— Tak — powiedział Chamis. — Udało mi się nawet tak dobrze wycelować, że nic nie wpadło do rzeki. Następnie...

— Następnie — przerwał Huber — w momencie gdy mieliśmy się pogrążyć, wydało mi się, ależ tak, wydało mi się, że widzę jakichś ludzi...

— Tak, tak — wtrącił z ożywieniem John Cort. — Istotnie, byli tam tubylcy! Krzycząc coś i wymachując rękami, biegli w stronę katarakty...

— Widzieli panowie tubylców? — zapytał z najwyższym zdumieniem przewodnik.

— Mniej więcej dwunastu — stwierdził Maks Huber. — I to oni według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyciągnęli nas z rzeki...

— Potem — dorzucił Cort — zanim odzyskaliśmy przytomność, przenieśli nas tutaj wraz z resztą naszych zapasów. A na koniec, rozpaliwszy ognisko, zniknęli jak kamfora...

— Rzeczywiście, zniknęli bez śladu — powiedział Huber. — Niewiele im widać zależało na naszych podziękowaniach.

— Cierpliwości, mój drogi — odparł John. — Bardzo możliwe, że nasi wybawcy krążą wokół obozowiska. Trudno przypuszczać, że sprowadzili nas tutaj po to, aby następnie porzucić na łaskę losu.

— I w dodatku w takim niesamowitym miejscu — dodał Maks. — Nie do wiary, co za gęstwina kryją się w tej puszczy! Ciemno tu, choć oko wykol!

— Słusznie. Ale czy jesteś pewien, że to jeszcze dzień? — rzucił uwagę John Cort.

Wkrótce na to pytanie można było odpowiedzieć twierdząco. Mimo niezwyklej gęstwiny liści wędrowcom udało się dostrzec, ponad wierzchołkami drzew wysokich na trzydzieści–czterdzieści metrów, niewyraźnie przebłykujące niebo. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że słońce świeci w tej chwili nad horyzontem. Zegarki Corta i Hubera, po kąpieli w Rzece Johansena, nie mogły wskazać godziny. Należałoby zorientować się według słońca, ale na to jego promienie musiałyby przebić zwartą masę gałęzi.

Dwaj przyjaciele omawiali te wszystkie kwestie nie dochodząc zresztą do żadnych sensownych wniosków, a Chamis przysłuchiwał się im w milczeniu. Wstał i krążył po ciasnej przestrzeni pomiędzy drzewami, otoczonej wałem lian i kolczastych krzewów. Jednocześnie usiłował wysledzić skrawek nieba wśród płataniny gałęzi i odnaleźć w sobie ową wrodzoną

zdolność orientacji w terenie, która dzisiaj byłaby potrzebniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Chamis wędrował często przez lasy Konga i Kamerunu, ale nigdy jeszcze nie znalazł się w tak nieprzebytej gęstwinie. Ta część puszczy nie przypominała nawet okolic, które, wraz z towarzyszami przebył od skraju lasów do Rzeki Johansena. Stamtąd kierowali się prawie stale na południowy zachód. Ale gdzież on się teraz znajdował ten południowy chód? Czy instynkt Chamisa podszeptał mu coś na ten temat?! W chwili gdy John Cort, odgadując rozterkę przewodnika chciał go zapytać, o czym rozmyśla, Murzyn zwrócił się nagle do Maksa:

— Czy pan jest pewien, że widział pan tubylców obok katarakty?

— Ależ tak, Chamisie! W chwili gdy tratwa rozbijała się o skały.

— A z której strony się pokazali?

— Na lewym brzegu.

— Na pewno na lewym?

— Tak, z całą pewnością.

— Wobec tego jesteśmy teraz na wschód od rzeki.

— Prawdopodobnie — wtrącił John Cort. — Oznacza to z kolei, że trafiliśmy do najdzikszych okolic w samym sercu puszczy. Jaka też odległość może nas dzielić od rzeki?

— Zapewne niezbyt wielka — oświadczył Maks Huber. — Byłoby przesadą oceniać ją na kilka kilometrów. Nie przypuszczam, aby nasi wybawcy, kimkolwiek są, zdołali nas przenieść bardzo daleko.

— I ja tak myślę — przytaknął Chamis. — Rzeka płynie z pewnością gdzieś w pobliżu. Musimy dotrzeć do niej, a potem podjąć żeglugę poniżej zapory, gdy tylko zbudujemy nową tratwę.

— A co będziemy jedli przez ten czas? — zafrasował się Huber. — I potem, zanim dopłyniemy do Ubangi? Nie możemy przecież polować...

— Poza tym — wtrącił Cort — gdzie mamy szukać rzeki? Zgadzam się, że trafiliśmy na lewy brzeg... Ale jeśli niepodobna zorientować w stronach świata, czyż można twierdzić, że szlak wodny znajduje się właśnie z tej strony, a nie z przeciwnej?

— A przede wszystkim — dodał Huber — którądy szanowni panowie zamierzają wyjść z tej gęstwiny?

— Tędy — odpowiedział przewodnik.

I wskazał na szparę w zasłonie lian, przez którą wniesiono ich prawdopodobnie na polankę. Z drugiej strony widniała tonąca w mroku, kręta ścieżka, którą od biedy można by powędrować na piechotę.

Dokąd prowadziła ta drożyna? Czyżby nad Rzekę Johansena? Nie było co do tego cienia pewności. Czy przecinały ją inne ścieżki? Czy wędrowcy nie zabłądzą w tym labiryncie? W przeciągu dwu dni zjedzą resztki bawolego mięsa i co potem? Jeśli chodzi o wodę do picia, deszcze padały tutaj tak często, że pod tym przynajmniej względem nie należało żywić większych obaw.

— W każdym razie — zauważył John Cort — nie wybrniemy z biedy, tkwiąc na miejscu jak wrośnięci w ziemię. Trzeba czym prędzej stąd umykać!

— Najpierw coś zjedzmy — zaproponował Maks Huber. Podzielili na trzy części mniej więcej kilogram mięsa i każdy musiał się zadowolić tym niewyszukanym posiłkiem.

— Nie wiemy nawet — powiedział Maks — czy jemy śniadanie, czy obiad!

— Mniejsza z tym! — odparł John Cort. — Żołądka nie obchodzą takie subtelności.

— Słusznie, ale za to żołądek dopomina się o coś do picia. Odrobinę wody z Rzeki Johansena powitałby teraz z taką radością, jakby to było najlepsze francuskie wino!

Jedli dalej, nic już do siebie nie mówiąc. Ciemności napawały ich nieokreślonym uczuciem lęku i przygnębienia. Powietrze, przesycone wyziewami wilgotnego gruntu, przytłaczało pod gęstą kopułą listowia. W tym otoczeniu, gdzie ptaki nie mogłyby latać, nie słychać było ani ich szczebiotów, ani śpiewu, ani szumu skrzydeł. Czasami tylko dobiegał tu trzask łamiącej

się suchej gałęzi, ale odgłosy jej upadku tłumił gruby dywan gąbczastych mchów, rozciągnięty pomiędzy pniami. Chwilami także przecinał powietrze ostry gwizd, a potem szelest zeschniętych liści, wśród których przeciskały się małe, żyjące w zaroślach węże, długości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu centymetrów, na szczęście nie jadowite. Co do owadów, to brzęczały tu podobnie jak w innych częściach lasu i nie szczydziły rozbitkom bolesnych ukłuć.

Po skończonym posiłku trzej towarzysze wstali, Chamis zebrał resztki bawolego mięsa i skierował się w stronę przejścia między płataniną lian. W tej chwili Maks Huber zawołał kilkakrotnie i jak mógł najgłośniejszym głosem: — Llanga! Llanga! Llanga! Na próżno jednak. Nawet echo nie powtórzyło imienia chłopca.

— Chodźmy — powiedział przewodnik i ruszył przodem. Zaledwie jednak postawił stopę na wąskiej ścieżce, wykrzyknął zdumiony:

— Światło!

Maks Huber i John Cort podbiegli natychmiast do niego.

— Czyżby tubylcy? — zapytał Huber.

— Zaczekajmy — odrzekł Cort.

Światło — prawdopodobnie płonąca pochodnia — błyszczało z dala na ścieżce, o kilkaset kroków przed podróżnymi. Rozjaśniało głąb lasu w niewielkim promieniu, rzucając od spodu jaskrawe błyski na spleciony z gałęzi pułap.

Dokąd kierował się człowiek niosący pochodnię? Czy był sam jeden? Czy należało spodziewać się napaści, czy też przeciwnie, ktoś spieszył wędrowcom z pomocą?

Chamis i jego dwaj towarzysze wahali się, czy mają dalej zagłębić się w las. Upłynęły dwie czy trzy minuty. Pochodnia nie ruszyła się z miejsca.

Podróżni nie mogli przypuszczać, że mają do czynienia z błędnym ognikiem: przeczyło temu równomierne natężenie światła.

— Co robić? — zapytał John Cort.

— Iść w tamtym kierunku, skoro światło nie chce przybliżyć się do nas — odpowiedział Huber.

— Chodźmy — zdecydował Chamis.

Przewodnik ruszył naprzód, ale gdy uszedł ścieżką kilka kroków, pochodnia zaczęła się oddalać. Niosący ją człowiek zauważył widocznie, że trzej obcy przybysze podjęli marsz. Czy chciał im poświecić w mrokach lasu, zaprowadzić ich nad Rzekę Johansena albo nad jakiś inny szlak wodny biegnący w stronę Ubangi? Nie było czasu na roztrząsanie tych wątpliwości. Należało iść na razie drogą wskazywaną przez tajemnicze światło, a potem dopiero rozpocząć wędrówkę na południowy zachód.

Szli więc dalej wążutką dróżką, po wydeptanych od dawna trawach, pomiędzy poroździeranymi lianami i krzakami wyłamanymi przez ludzi lub zwierzęta.

John Cort, Maks Huber i Chamis maszerowali tak blisko trzy godziny, a gdy zatrzymali się po tym pierwszym etapie, światło znieruchomiało również w jednej chwili.

— Oczywiście, to gwiazda przewodnia — oświadczył Huber.

I w dodatku okazuje wyjątkową uprzejmość! Dobrze jednak byłoby wiedzieć, dokąd nas prowadzi!

— Niech nas tylko wydobędzie z tego labiryntu — powiedział

John Cort. — O nic więcej nie proszę. No i co, Maksie? Przyznasz chyba, że to wszystko jest dostatecznie niezwykle!

— Istotnie, dość niezwykle...

— Oby tylko nie stało się zbyt fantastyczne, mój kochany — zakończył rozmowę Cort.

Przez długie godziny kręta ścieżka prowadziła ciągle pod gęstwiną gałęzi i liści, które przepuszczały coraz mniej światła. Chamis szedł na przedzie, za nim postępowali gęsiego jego dwaj towarzysze, gdyż tylko jedna osoba mogła się zmieścić na dróżce. Jeśli

przyspieszali kroku, chcąc się zbliżyć do tajemniczego przewodnika, tamten również zaczynał iść prędzej i odległość między nim a grupą wędrowców była ciągle jednakowa. Przebyli tak mniej więcej sześć do siedmiu kilometrów od chwili opuszczenia polanki, ale Chamis miał zamiar maszerować dalej pomimo zmęczenia, w ślad za światłem. Chciał właśnie ruszyć naprzód po chwilowym postoju, gdy nagle pochodnia zgasła.

— Zatrzymajmy się — powiedział John Cort. — Ktoś widocznie udziela nam w ten sposób wskazówek.

— A raczej wydaje rozkaz — zauważył Huber.

— Uśluhajmy go zatem — zdecydował przewodnik — i ułożmy się na spoczynek w tym miejscu. Widocznie zapadła już noc.

— Ale czy jutro — zapytał Cort — światło ukaże się znowu? Trudno było na to odpowiedzieć. Wszyscy trzej rozciągnęli się na ziemi u stóp drzewa. Podzielili się znowu kawałkiem mięsa, przy czym tak się szczęśliwie złożyło, że mogli też ugasić pragnienie — wśród traw sączyła się wąska strużka wody. Chociaż deszcze nawiedzały często te lesiste okolice, od dwu dni nie spadła z nieba ani jedna kropelka.

Kto wie, czy nasz nieznaną przewodnik — powiedział John Cort — nie wybrał rozmyślnie tego miejsca na postój, abyśmy mogli napić się do syta.

Subtelny dowód uprzejmości — przyznał Maks Huber, nabierając nieco świeżej, chłodnej wody za pomocą liścia zwiniętego w trąbkę.

Choć sytuacja przedstawiała się nadal niepokojąco, zmęczenie przewyciężyło wszelkie obawy i podróżni wkrótce zapadli w sen. Jednakże John i Maks, przed zaśnięciem, rozmawiali jeszcze przez chwilę o Llandze. Biedny chłopiec! Czyżby utonął w wodnej kipieli? A jeżeli go wyratowano, dlaczego się nie pokazał? Dlaczego rozłączono go z przyjaciółmi?

Kiedy wędrowcy zbudzili się ze snu, nikła poświata sącząca się poprzez dach gałęzi wskazywała, że nastał dzień. Chamis uważał za rzecz najzupełniej pewną, że posuwają się w kierunku wschodnim. Niestety, nie był to kierunek właściwy! Ale nie mieli wyjścia — trzeba było podjąć na nowo wędrówkę.

Żadna przygoda nie wydarzyła się tego dnia, to znaczy dwudziestego drugiego marca. Płonąca pochodnia prowadziła dalej grupkę wędrowców, ciągle w kierunku wschodnim.

Gęstwina z obu stron ścieżki wydawała się niemożliwa do przebycia. Pnie stały jedne przy drugich wśród płataniny chaszcy. Chamis i jego towarzysze posuwali się jak gdyby niezmiernie długim, zielonym tunelem.

Nie zauważyli ani jednego przeżuwacza, bo i jakim sposobem duże zwierzęta mogłyby dotrzeć aż tutaj! Nie dostrzegli również ani śladu wydeptanych w gąszczu przejść, z których przewodnik korzystał tyle razy, zanim doszli do brzegu Rzeki Johansena. Gdyby nawet obaj myśliwi mieli swoje strzelby, nie przydałyby im się na nic, skoro ani jedna sztuka zwierzyny nie wychodziła na strzał.

Toteż John Cort, Maks Huber i przewodnik ze zrozumiałym niepokojem spostrzegli pod wieczór, że resztki żywności stopniały niemal doszczętnie.

Następnego dnia Cort pierwszy ocknął się ze snu i natychmiast zbudził towarzyszy wołając:

— Ktoś był tutaj w nocy, kiedyśmy spali!

Istotnie, jakaś tajemnicza ręka rozpałała ognisko, a potem zgarnęła na kupkę rozżarzone węgle; w pobliżu, na gałęzi akacji rosnącej nad strumykiem, wisiał kawał mięsa antylopy.

Tym razem nawet Maks Huber nie wyrażał głośno zdumienia, jak to było jego zwyczajem. Ani on, ani towarzysze nie miał ochoty rozwodzić się nad przedziwną sytuacją, rozprawiać o znanym i wiodącym ich w nieznaną przewodnikowi, opiekuńczym duchu olbrzymiej puszczy, za którym od dwu dni szli posłusznie trop w trop...

Ponieważ głód doskwierał im porządnie, Chamis upiekł na węglach kawałek mięsa antylopy, który powinien im także wystarczyć na południowy i wieczorny posiłek. W tym momencie pochodnia dała znowu hasło do wymarszu. Ruszyli naprzód i wędrówka odbywała się początkowo w tych samych, co wczoraj, warunkach. Ale po południu można już było zauważyć, że gęstwina stopniowo się przerzedza. Coraz więcej światła sączyło się z góry, rozjaśniając na razie tylko wierzchołki drzew. Tutaj, na dole, nikt nie potrafiłby jeszcze powiedzieć, kim była krocząca na przedzie osoba. Tak jak poprzedniego dnia, podróżni przebyli około siedmiu kilometrów. Od Rzeki Johansena musiało ich już dzielić jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

Tego wieczoru Chamis, John Cort i Huber zatrzymali się jak zwykle, gdy zgasła pochodnia. Musiała być właśnie późna noc, gdyż głębokie ciemności spowijały otaczającą ich grupę drzew. Wyczerpani długim marszem, zjedli szybko resztę antylopiej pieczeni, napili się wody ze strumyka, ułożyli u stóp drzewa i zasnęli natychmiast. Ale do uszu Maksa — we śnie najwidoczniej — docierały fale niewyraźnych dźwięków. Zdawało mu się, że tuż nad jego głową jakiś instrument wygrywa walca z “Wolnego strzelca” Webera...

## ROZDZIAŁ XIII

### NAPOWIETRZNA WIOSKA

Kiedy Chamis i jego towarzysze obudzili się nazajutrz, stwierdzili nie bez zdumienia, że w tej części lasu panowały znowu nieprzeniknione ciemności, jeszcze głębsze niż na początku podróży. Czy słońce już wzeszło? Nie mieli o tym pojęcia. W każdym razie światło, które ich wiodło od tylu godzin, nie ukazało wcale. Musieli czekać z podjęciem wędrówki, aż znowu zabłyśnie w mroku. John Cort podzielił się z przyjaciółmi uwagą, która im dała wiele do myślenia.

— To ciekawe — powiedział. — Nikt nam dzisiaj nie rozpałił ogniska i nikt nie przyniósł w nocy naszych racji żywnościowych.

— Okoliczność jest tym przykrzejsza — dorzucił Maks — że z wczorajszych zapasów nie zostało ani odrobiny.

— Może oznacza to — wtrącił przewodnik — że doszliśmy wreszcie...

— Dokąd? — zapytał Cort.

— Tam, dokąd nas prowadzono, mój drogi — roześmiał Huber.

Odpowiedź niczego nie wyjaśniała, ale czyż można było udzielić w tym wypadku dokładnych informacji?

Nasuwało się też inne spostrzeżenie: w lesie panował wprawdzie głęboki mrok, ale opuściła go poprzednia niezmacona cisza. Sponad gałęzi drzew dolatywało coś w rodzaju brzęczenia i jakiś dziwny hałas o nierównomiernym nasileniu. Gdy Chamis, John, Cort i Maks Huber wyteżali wzrok, dostrzegali w górze jak gdyby rozległy pułap, zawieszony jakieś trzydzieści metrów nad ziemią.

Nie ulegało wątpliwości, że znajdowało się tam niesamowite kłębowisko gałęzi, bez najmniejszej szparki, przez którą mógłby się przesączyć blask słoneczny. Z pewnością żadna strzecha nie tamowałaby skuteczniej dopływu światła. Tłumaczyło to ciemności panujące pod drzewami.

W tym miejscu gdzie trzej wędrowcy spędzili ostatnią noc, podszycie zmieniło zupełnie swój dawny charakter. Ani śladu splecionych cierni i kolczastych zielsk, które tłoczyły się dotychczas po obu stronach ścieżki. Grunt okrywała trawa tak niska, iż żaden z przeżuwaczy nie zdołałby zagarnąć z niej językiem ani kępkę. Wyobraźcie sobie łąkę nie zroszoną nigdy deszczem czy wodą strumieni. Drzewa rosły w odległości sześciu do dziesięciu metrów od siebie i przypominały niskie filary podtrzymujące kolosalną kryptę; ich konary musiały zapewne osłaniać przestrzeń liczącą kilka tysięcy metrów kwadratowych.

Zgromadziły się tu olbrzymie sykomory afrykańskie, których pień składa się z mnóstwa zrosniętych ze sobą odnóg; drzewa bawełniane o symetrycznej koronie i potwornych korzeniach, znacznie większe od swoich krewniaków z innych okolic puszczy; baobaby o charakterystycznej sylwetce, wydęte u dołu na kształt dyni, mające w obwodzie dwadzieścia do trzydziestu metrów i ozdobione u góry ogromną wiechą zwisających, gałęzi; różne gatunki palm, rozwidlone lub kabłąkowato wygięte; inne rodzaje drzew bawełnianych o pustych pniach składających się z szeregów dziupli, dość dużych, aby człowiek mógł się w nich ukryć; mahonie dostarczające tramów o średnicy półtora metra, w których drąży się piętnasto- lub osiemnastometrowe łodzie, wyporności od trzech do czterech ton.

Minęła mniej więcej godzina. Chamis nie przestawał wpatrywać się w ciemność, wyglądając przewodnika z pochodnią. Nie zamierzał zrezygnować z jego wskazówek, chociaż głos instynktu oraz pewne obserwacje, poczynione w drodze, kazały mu przypuszczać, że idą ciągle na wschód. A przecież nie w tej stronie płynęła rzeka Ubangi, nie tędy biegła trasa powrotnej drogi! Dokąd właściwie zaciągnęło rozbitków tajemnicze światło?

Ale skoro nie pojawiło się dzisiaj, co należy przedsięwziąć? Czy opuścić to miejsce? Nie wiadomo przecież, w którą stronę się obrócić. A jeśli pozostaną, co będzie z żywnością? Głód i pragnienie dokuczały im już porządnie...

— Mimo wszystko — powiedział John Cort — musimy stąd się ruszyć. Czy nie lepiej wobec tego wymaszerować od razu?

— Ale w którą stronę? — zagadnął Huber.

Oto był zasadniczy problem! Nie mieli jednak żadnych danych mogących ułatwić jego rozwiązanie.

— Koniec końców — zawołał niecierpliwie Cort — mamy przecież zdrowe nogi, o ile mi wiadomo! Nic nie tamuje przejścia pomiędzy drzewami, a ciemności nie są znów tak głębokie, aby uniemożliwiały posuwanie się naprzód.

— Chodźmy! — zakomenderował Chamis.

Wszyscy trzej ruszyli na rekonensans i przeszli mniej więcej pół kilometra. Pod ich stopami rozciągał się nadal grunt pozbawiony krzaków, nagi, pokryty jedynie dywanem suchej trawy, jak gdyby osłaniający go dach nie przepuszczał nigdy ani deszczu, ani promieni słońca. Wszędzie rosły te same drzewa, z których tylko najniższe gałęzie dawały się dostrzec w mroku. Ciągłe też do uszu wędrowców dolatywały nieokreślone hałasy zdawały się płynąć z góry, ale pochodzenia ich nie mogli sobie wytłumaczyć. Czyżby podszycie było kompletną pustynią? Chyba nie. Chamisowi wydało się kilka razy, że widzi jakieś cienie przemykające się pomiędzy drzewami. Ale może paść ofiarą złudzenia? Sam nie wiedział, co o tym myśleć. Wreszcie po godzinnym, bezowocnym błędzeniu trzej towarzysze usiedli pod pnem wysmukłej bauhinii.

Oczy ich zaczynały przywykać do panujących wokół ciemności, które zresztą przejaśniły się nieco. Widocznie słońce wbiło się wyżej i odrobina światła przenikała przez pułap listowia. Można już było rozróżnić zarysy przedmiotów w odległości mniej więcej dwudziestu kroków. I nagle przewodnik powiedział półgłosem:

— Coś się porusza, o tam...

— Zwierzę czy człowiek? — zapytał John Cort patrząc we wskazanym kierunku.

— Chyba raczej dziecko — odrzekł Chamis. — Jest zupełnie małe.

— Małpa! Słowo daję! — szepnął Maks Huber.

Zamilkli i siedzieli nieruchomo, aby nie sponżyć czwororękiego stworzenia. Gdyby się dało je schwytać, można by, mimo obrzydzenia, jakie budziło w Huberze małpie mięso... Co prawda nie mieli ognia, jakże więc zdołają je upiec?

Tymczasem stworzenie zbliżało się, nie okazując najmniejszego zdziwienia. Szło na tylnych łapach i zatrzymało się o kilka kroków przed grupką podróżnych. Jakież było osłupienie Corta i Hubera, gdy rozpoznali w nim dziwną istotę, którą Llanga wyratował i przyniósł na tratwę! Zamienili szeptem kilka słów:

— To on, to on!

— Tak, na pewno!

— W takim razie, skoro tu się znalazł, może i Llanga jest gdzieś w pobliżu!

— Czy się panowie aby nie mylą? — zapytał przewodnik.

— Nic podobnego! — zaprotestował Cort. — A zresztą przekonamy się zaraz!

Wyciągnął z kieszeni medal zdjęty z szyi dziwnego stworzenia i kołysał go przez chwilę na sznurku przed oczami przybysza, starając się przyciągnąć jego uwagę.

Zaledwie malec zauważył medal, przyskoczył doń jednym susem. Z jego choroby nie pozostało już ani śladu. W ciągu ostatnich trzech dni odzyskał całkowicie zdrowie, a wraz z nim wrodzoną zwinność. Toteż rzucił się na Corta z wyraźnym zamiarem odebrania swojej własności. Chamis schwycił go w biegu, a wtedy z ust malca wyrwał się okrzyk, Nie było to słowo "ngora", ale inne, dobitnie wymówione wyrazy:

— Li-Mai! Ngala! Ngala!

Chamis i jego towarzysze nie mieli czasu zastanowić się, co oznaczały te słowa, które nawet Murzynowi nie przypominały żadnego z afrykańskich narzeczy. W jednej chwili bowiem otoczyła ich gromada osobników tego samego, co malec, gatunku, tyle tylko że wyższych — mieli nieco ponad półtora metra wzrostu. Chamis, John Cort i Maks Huber nie mogli się zorientować, czy mają do czynienia z ludźmi, czy z wielkimi, człekokształtymi zwierzętami. Na nic by się nie zdało stawiać opór tym dziwnym mieszkańcom lasu, którzy w liczbie mniej więcej tuzina osaczyli wędrowców. Trzej mężczyźni zostali pochwyteni za ramiona, wepchnięci między drzewa, zmuszeni do posuwania się naprzód. Otoczeni gromadą napastników, przeszli tak jakieś pięćset czy sześćset metrów.

Pochód zatrzymał się u stóp dwu pochyłych drzew, rosnących tak blisko siebie, że można było ułożyć pomiędzy nimi poprzeczne stopnie, zrobione z mocno przytwierdzonych gałęzi. Jeżeli urządzenie nie zasługiwało w pełni na miano schodów, było w każdym razie czymś o wiele lepszym od drabiny. Pięć czy sześć dziwnych stworzeń ruszyło przodem, a reszta zmusiła podróżnych, nie popychając ich zresztą brutalnie, do pójścia tą samą drogą.

W miarę jak wspinali się po stopniach, światło coraz obficiej przenikało festony liści. Szparami sączyły się promienie słońca, których Chamis i jego towarzysze nie oglądali od chwili opuszczenia Rzeki Johansena.

Maks Huber okazałby, zaiste, wiele złej woli, gdyby nie chciał przyznać, że to, co ich teraz spotkało, należy do kategorii naprawdę niezwykłych przygód!

Kiedy dotarli do szczytu schodów, na wysokości około trzydziestu metrów nad ziemią, ogarnęło ich bezgraniczne zdumienie. Ciągnęła się tam rozległa platforma, zalana promieniami słońca. Ponad nią chyliły się zielone wierzchołki drzew, osłaniając ustawione wzdłuż uliczek chaty, zbudowane z żółtej gliny i liści. Całość tworzyła wioskę zawieszoną na znacznej wysokości i tak dużą, że nie można było dostrzec jej krańca.

Pomiędzy chatami kręcił się tłum istot, zupełnie podobnych do przygarniętego przez Llangę małeństwa. Ich postawa, nie różniąca się niczym od postawy człowieka, wskazywała, że chodzili stale wyprostowani i wskutek tego mieli prawo do przymiotnika *erectus*<sup>\*</sup>, którym doktor Eugeniusz Dubois, wojskowy lekarz holeuderski, uzupełnił nazwę *Pithecanthropus* znalazłszy szczątki tej istoty w lasach dziewiczych Jawy. Uczony uważał wyprostowaną postawę za najważniejszą cechę charakteryzującą pośrednie ogniwo między człowiekiem a małpą, zgodnie zresztą z przewidywaniami Darwina.

Jednakże Chamis, Maks Huber i John Cort musieli odłożyć na później wszelkie uwagi na ten temat. Dziwne istoty, niezależnie od tego, czy łączyły, czy też nie łączyły świata ludzkiego ze zwierzęcym, stanowiły na razie surową eskortę, która wydając niezrozumiałe okrzyki popychała wędrowców w stronę jednej z chat, pośród tłumu patrzącego na nich bez zbytniego zdziwienia. Zamknięto za nimi drzwi chaty i oto trzech przyjaciół znaleźli się jak najformalniej uwięzieni.

— Znakomicie, nie ma co! — oświadczył Maks Huber. — A najbardziej zdumiewa mnie fakt, że te cudaki nie zdawały się zwracać na nas uwagi. Czyżby już spotykały się z ludźmi?

— Bardzo możliwe — odpowiedział Cort. — Ale przede wszystkim rad bym wiedzieć, czy mają zwyczaj karmić swoich więźniów.

— Czy też, przeciwnie, karmić się nimi? — dorzucił Maks.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że te człekokształtne istoty były gatunkiem stojącym na wyższym szczeblu rozwoju niż orangutany z Borneo, szympansy z Gwinei i goryle z Gabonu, gatunkiem zbliżonym wyraźnie do ludzi. Umiały przecież rozniecać ogień i używać go do różnych celów; świadczyły o tym ogniska rozpalane podczas marszu do wioski i pochodnia, z którą kroczył tajemniczy przewodnik poprzez mroczne pustkowia. Podróżnym przyszło nagle do głowy, że ruchome światła, które widzieli swego czasu na skraju

---

\* *Erectus* (łac.) — wyprostowany.



puszczy, mogły być również zapalone przez dziwnych mieszkańców jej najgłębszych ostępów. Należało też podkreślić, że nieznanne istoty miały ludzką postawę i ludzki sposób chodzenia. One właśnie, a nie jeden z gatunków czwororękich zwierząt, powinny otrzymać miano “orangutan”, które po malajsku znaczy dosłownie “leśny człowiek”.

— A poza tym te stworzenia mówią — dodał John Cort, kiedy wymienili przytoczone wyżej uwagi na temat mieszkańców napowietrznej wioski.

— No więc, skoro mówią — wykrzyknął Huber — muszą dysponować słowami, aby wyrażać swe pragnienia! Wiele bym dał za to, żeby się dowiedzieć, jak brzmi w ich języku: “Umieram z głodu!” albo “Kiedy siądziemy do stołu?”

Niektórzy więźniowie przyjmują swój los z rezygnacją, ale innym trudno się zdobyć na taką postawę. John Cort, Chamis, a przede wszystkim niecierpliwy Maks Huber należeli właśnie do tej drugiej kategorii. Drażniło ich nie tylko nader nieprzyjemne zamknięcie w tej budzie, ale także niemożność wyjrzenia na świat przez jej grube ściany, obawa o przyszłe losy, niepewność, jak skończy się cała przygoda. A przy tym dręczył ich; głód — od ostatniego posiłku upłynęło już przecież około piętnastu godzin. Jedna tylko okoliczność napawała ich serca odrobiną otuchy: mieszkał tutaj, w swojej ojczystej wiosce zapewne, protegowany Llangi i jego rodzina, jeśli instytucja rodziny istniała wśród “leśnych ludzi” z puszczy Ubangi.

— Otóż — powiedział John Cort — skoro wyratowano malca z wirów rzecznych, można przypuszczać, że i Llanga również ocalał. Prawdopodobnie nie rozłączono ich i jeśli chłopak się dowie, że przyprowadzono do wioski trzech ludzi, domyśli się od razu, że chodzi tu o nas. W gruncie rzeczy nie uczyniono i nam jak dotąd nic złego, a więc i Llanga mógł wyjść z opresji obronną ręką.

— Protegowany Llangi jest rzeczywiście zdrow i cały — wtrącił Maks. — Ale czy sam Llanga ocalał? Nic nie świadczy o tym, że nie zginął w nurtach rzeki.

Istotnie, nic o tym nie świadczyło. Ale oto drzwi chatki, których pilnowało od zewnątrz dwu tęgich drabów, otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich drobna postać Murzynka.

— Llanga! Llanga! — zawołali chórem więźniowie.

— Wujku Maksie! Wujku Johnie! — wykrzyknął Llanga padając w objęcia opiekunów.

— Odkąd tu jesteś? — zapytał przewodnik.

— Od wczorajszego ranka.

— A jakim sposobem dostałeś się do wioski?

— Przeniesiono mnie przez las.

— Ci, którzy cię nieśli, musieli iść o wiele prędzej niż my!

— O, tak! Szli bardzo szybko.

— A kto cię niósł?

— Jeden z tych, którzy mnie wyratowali... I mnie, i was wszystkich także.

— Czy to byli ludzie?

— Tak, ludzie... nie małpy... Na pewno ludzie!

Chłopak, jak widać, upierał się nadal przy swoim twierdzeniu. W każdym razie byli to przedstawiciele jakiejś nieznannej rasy, opatrzonej znakiem “minus” w porównaniu do ludzi prawdziwych, być może rasy pośredniej prymitywnych małpoludów, brakującego ogniwa w łańcuchu form zwierzęcych.

Llanga opowiedział pokrótce, co przeżył w ciągu ostatnich dni; ale zanim zaczął mówić, uściskał kilkakrotnie opiekunów, wyratowanych cudem, tak jak i on, w chwili gdy porwał ich wir — biedny chłopiec myślał, że nie zobaczy ich już nigdy.

Kiedy tratwa wpała na skały, obaj znaleźli się w kipieli: i on, Li-Mai...

— Jaki znów Li-Mai? — zdumiał się Huber.

— No, ten malutki... Li-Mai to jego imię... Kilka razy pokazywał na siebie i powtarzał: „Li-Mai, Li-Mai”...

— A więc ma nawet imię... — powiedział Cort.

— Oczywiście, Johnnie! Jeśli ktoś mówi, jest rzeczą zupełnie naturalną, że przede wszystkim siebie określa jakimś słowem.

— A czy ten szczep albo może lud, jak wolicie, ma także swoją nazwę? — zapytał młody Amerykanin.

— A jakże! To są Wagdysi. Słyszałem, jak Li-Mai tak ich nazywał.

Słowo to nie pochodziło z narzeczy używanych w Kongo. Mniejsza zresztą o nazwę dziwnego plemienia! W każdym razie jego przedstawiciele znajdowali się na lewym brzegu rzeki, w chwili gdy nastąpiła katastrofa. Wbiegli na skały tworzące zaporę i rzucili się w nurty. Jedni pospieszyli na pomoc Chamisowi, Cortowi i Huberowi, drudzy ratowali Llangę i Li-Mai. Murzynek stracił przytomność i nie wiedział, co się potem zdarzyło — był przekonany, że jego przyjaciele utonęli w zdradzieckim wirze.

Kiedy Llanga przyszedł do siebie, znajdował się w ramionach rosnącego Wagdysa (jak się później okazało, ojca Li-Mai), malec zaś spoczywał w objęciach „ngory” — swojej matki! Przypuszczalnie zablądził on w lesie na kilka dni przed spotkaniem z Llangą i rodzice, wraz z grupą współplemieńców, wyruszyli na poszukiwanie dziecka. Jak wiadomo, Murzynek wyratował maleństwo z topieli — gdyby nie on, zginęłoby bez ratunku w nurtach rzeki.

Llangę zaniecono aż do wioski Wagdysów, okazując mu po drodze wiele serdeczności i dbając o niego troskliwie. Li-Mai odzyskał wkrótce siły — jego choroba wynikała przecież tylko z głodu i wyczerpania. Teraz on roztoczył opiekę nad dotychczasowym protektorem, a jego rodzice starali się jak mogli okazać Murzynkowi swą wdzięczność. Uczucie to spotykamy nawet u zwierząt, które odpłacają nim za doznane dobrodziejstwa, dlatego więc nie miałyby ożywiać istot stojących na wyższym szczeblu rozwoju.

Na koniec, dzisiejszego ranka, Li-Mai zaprowadził Llangę przed tę właśnie chatę. Murzynek nie wiedział na razie, o co chodzi, i dopiero po chwili, nadstawiając ucha, rozróżnił głosy Johna Corta i Maksa Hubera...

Oto, co się wydarzyło od momentu ich rozłąki przy zaporze skalnej na Rzece Johansena.

— Doskonale, Llanga — powiedział Maks — ale my tu umieramy z głodu. Czy nie mógłbyś, zanim opowiesz nam resztę, skorzystać ze swoich wysokich protekcji i...”

Llanga wyskoczył z chaty i wkrótce powrócił obładowany prowiantem: wielkim kawałem bawolego mięsa, upieczonym na węglach i posolonym do smaku, owocami zwanymi „małpim chlebem” i świeżymi bananami: W naczyniu zrobionym z tykwy przyniósł źródlanej wody, zaprawionej mlecznym sokiem, który wydziela pewien gatunek lian.

Łatwo zrozumieć, że rozmowa urwała się natychmiast. John Cort, Maks Huber i Chamis, wygłodzeni jak wilki, nie zastanawiali się nawet, jaki smak ma przyniesione jadlo, i wkrótce z mięsa i owoców pozostały tylko kości i łupiny. John zapytał wtedy Murzynka, czy szczep Wagdysów jest bardzo liczny.

— O, tak! — odpowiedział Llanga. — Widziałem ich wielu na uliczkach i w chatach.

— Tylu, co w wioskach kraju Burnu lub Bagirrai?

— Tak.

— A czy nie schodzą stąd nigdy?

— Owszem. Schodzą, żeby polować, zbierać owoce i korzonki i czerpać wodę ze źródeł.

— I rzeczywiście mówią?

— Tak, ale nic z tego nie można zrozumieć. Czasem tył rozpoznaję jakieś słowo... kiedy mówi Li-Mai.

— A rodzice tego malca?

— Och, bardzo są dla mnie dobrzy... To oni dali mi dla was jedzenie.

— Przekaż im ode mnie wyrazy głębokiej wdzięczności — oświadczył Maks. — A jak się nazywa ta wioska w gałęziach drzew?

— Ngala.

— Czy ma jakiegoś naczelnika?

— Tak.

— Widziałeś go?

— Nie, ale słyszałem, że go nazywają Mselo–Tala–Tala.

— Znam te słowa! — zawołał Chamis.

— A cóż one znaczą?

— “Ojczulek Lusterko” — odparł przewodnik.

W ten sposób mieszkańcy Konga określają człowieka, który nosi okulary.

## ROZDZIAŁ XIV

### WAGDYSI

Jego królewska mość Mselo–Tala–Tala, władca szczepu Wagdysów, rządzący w okularach na nosie napowietrzną wioską oto co mogło chyba zaspokoić najśmielsze marzenia Maksa Hubera! W swej żywej, iście francuskiej wyobraźni widział już przecież w mrocznych ostępach tajemniczej puszczy nieznanne plemiona, dziwaczne osiedla, cały niezwykły świat, którego istnienia nikt nie domyślał się nawet. Spełniły się więc w pełni jego życzenia. Nie czekając na słowa uznania towarzyszy, sam zaczął wychwalać własną przenikliwość, dopóki potoków jego wymowy nie przerwał słuszną uwagą John Cort:

— Nie ma co do tego dwóch zdań, mój drogi: masz zdolności jasnowidza i przeczułeś to, co innym nigdy na myśl by nie przyszło.

— Tak jest, kochany Johnie, ale chociaż to na wpół ludzkie plemię jest rzeczywiście niezwykle, nie mam zamiaru dokonać żywota w jego stolicy.

— No, w każdym razie musimy tu posiedzieć dosyć długo, aby przestudiować nową rasę z punktu widzenia etnologii i antropologii, a potem wydać grube tomisko, które dokona przewrotu wśród uczonych całego świata.

— Doskonale — odparł Huber. — Będziemy obserwować, porównywać, roztrząsać wszystkie teorie związane z budową człowieka, ale pod dwoma warunkami...

— Jakież jest pierwsze?

— Że otrzymamy pozwolenie, na co liczę bezwzględnie, swobodnego poruszania się po całej wiosce...

— A drugi warunek?

— Że napatrzysz się do syta, będziemy mogli odejść, kiedy uznamy za stosowne.

Czy Maks Huber nie łudził się licząc, że uda im się zwiedzać do woli wioskę, a potem opuścić ją bez przeszkód? Jeśli podróżni nie zjawią się w oznaczonym czasie w faktorii, komu? przyjdzie na myśl szukać ich w wiosce Ngala, w sercu olbrzymiej puszczy? Kiedy nie powróci nikt z uczestników wyprawy, wszyscy będą pewni, że cała karawana musiała zginąć w okolicach górnego biegu rzeki Szari.

Sprawa dalszego przetrzymywania wędrowców we wnętrzu chaty wyjaśniła się jednak prawie natychmiast. Przymocowane lianami drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich Li–Mai.

Przede wszystkim malec podszedł prosto do Llangi i obsypał go piśszczotami, na które Murzynek odpowiedział równie serdecznie. John Cort miał więc znowu sposobność przyjrzeć się dokładnie tajemniczej istocie. Ale ponieważ drzwi pozostały otwarte, Maks zaproponował, aby wyjść i pospacerować trochę wśród tłumu mieszkańców napowietrznej wioski.

Wyszli więc, prowadzeni przez małe stworzonko, które uczepiło się ręki swego przyjaciela Llangi. Znaleźli się na czymś w rodzaju skrzyżowania dróg, gdzie Wagdysi, zajęci swoimi sprawami, krążyli nieustannie tam i z powrotem.

Placyk był ocieniony wierzchołkami drzew, których potężne pnie podtrzymywały napowietrzną platformę, spoczywającą, o trzydzieści metrów od ziemi, na konarach kolosalnych bauhinii, drzew bawełnianych i baobabów. Poziome gałęzie, umocnione kołkami i lianami, pokrywała polepa z ubitej gliny, a ponieważ podpory były bardzo solidne i gęsto rozmieszczone, sztuczny grunt nie chwiał się wcale pod stopami mieszkańców. Grupa obcych przybyszów posuwała się wolno naprzód, a Wagdysi — mężczyźni, kobiety i dzieci — przyglądali się im, nie okazując bynajmniej zdziwienia. Zamieniali między sobą jakieś uwagi, rzucając chrapliwym głosem krótkie, zupełnie niezrozumiałe zdania, wymawiane z niezwykłą szybkością. Chamisowi zdawało się jednak, że pochwycił parę słów z narzecza używanego w

Kongu, co nie powinno dziwić, skoro także Li-Mai posłużył się kiedyś wyrazem „ngora”. Sprawy tej wędrowcy nie umieli sobie jednak wytłumaczyć. Jeszcze bardziej tajemnicze wydało się spostrzeżenie uczynione przez Corta: doleciały go dwa czy trzy słowa jak gdyby wzięte z niemieckiego, między innym wyraz „Vater” — ojciec. Podzielił się zaraz z towarzyszami niezwykłą obserwacją, a Maks Huber powiedział:

— Cóż chcesz, mój drogi! Wszystkiego się tu można spodziewać i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jedno z tych stworzeń poklepało mnie, nagle po brzuchu i spytało po francusku: “Co słyhać u ciebie, stary koniu?”

Od czasu do czasu Li-Mai puszczał rękę Llangi i podbiegał do któregoś z jego towarzyszy, jak to robią żywe i pełne radości dzieci. Zdawał się bardzo dumny, że może oprowadzać przybyszów po ulicach wioski. Widać było, że nie spaceruje bez celu, ale dokądś ich prowadzi. Nie pozostawało im nic innego, jak iść posłusznie za malutkim przewodnikiem.

“Ludzie pierwotni” — jak nazwał ich John Cort — nie byli zupełnie nadzy. Mężczyźni i kobiety okrywali swe ciała, porośnięte rudawym włosem, czymś w rodzaju spódniczek zrobionych z roślinnej plecionki, podobnej nieco do tkanin z włókien akacji używanych w okolicach Porto Novo w Dahomeju, chociaż wykonanych bardziej prymitywnie. Corta zastanawiały zwłaszcza ich głowy — zaokrąglone, o małych wymiarach czaszki, o kącie twarzowym zbliżonym do ludzkiego, bez przesadnego prognatyzmu\*. Ponadto łuki nad oczodołami nie wystawały tak, jak to się dzieje u wszystkich gatunków małp. Czupryny mieli krótkie i wełniste, a zarost u mężczyzn wydawał się bardzo nikły,

— I nogi ich nie są chwytnie — zauważył John Cort.

— I nie mają ogonów — dodał Maks. — Ani śladu najmniejszego ogonka!

— To jedna z oznak przynależności do zwierząt wyższych. Co prawda małpy człekokształtne także nie mają ani ogona, ani kieszeni policzkowych, ani narośli na pośladkach i chodzą dowolnie, w pozycji wyprostowanej albo na czworakach. Zauważono jednak, że kiedy czwororękie stworzenia stoją na tylnych łapach, nie opierają się na podszwie stopy, ale na zewnętrznej stronie podgiętych palców. Otóż w wypadku Wagdysów sprawa przedstawia się inaczej i ich sposób chodzenia jest zupełnie taki sarn jak u ludzi. Trzeba to wyraźnie podkreślić.

Była to słuszna uwaga. Nie ulegało wątpliwości, że podróżni mają do czynienia z jakąś nieznaną dotychczas rasą. Zresztą, jeśli chodzi o budowę nogi, niektórzy antropolodzy uważają, iż nie istnieje żadna różnica między stopą małpy i człowieka, który miałby nawet przeciwny duży palec, gdyby stałe używanie obuwia nie zdeformowało jego nog.

Istnieją także podobieństwa psychiczne między człekokształtnymi małpami i ludźmi. Czwororękie stworzenia, które mogą przybierać wyprostowaną pozycję, są najmniej ruchliwe, najmniej skłonne do strojenia min, jednym słowem, najbardziej stateczne i poważne z całego rzędu małp. Otóż właśnie niezwykła powaga cechowała zarówno postawę, jak i ruchy mieszkańców Ngali. Kiedy później John Cort zbadał ich dokładnie, okazało się, że ich użębienie nie różni się niczym od ludzkiego.

Podobieństwa między człowiekiem a małpą mogły między innymi wpłynąć na powstanie teorii głoszonej przez Darwina o zmienności gatunków, o ewolucji tworzącej coraz wyższe formy. Uważano je nawet za argumenty decydujące, gdy porównano przedstawicieli najwyższej rozwiniętych małp z pierwotnym człowiekiem z odległych epok, “jaskiniowcem”, o którym wspominał w swoim czasie Linneusz. (Określenia “jaskiniowiec” nie można by w każdym razie zastosować do Wagdysów żyjących na wierzchołkach drzew). Inny uczoney, Vogt, utrzymywał, że od trzech gatunków wielkich małp pochodzą trzy rasy ludzkie. Orangutan — długogłowy, o długim, brunatnym owłosieniu — byłby według niego przodkiem rasy

---

\* P r o g n a t y z m — silne wysunięcie ku przodowi obu szczęk przed płaszczyznę górnej części twarzy.

negryckiej<sup>\*</sup>; krótkogłowy szympanś o mniej masywnych szczękach — przodkiem Murzynów; wreszcie od goryla — którego cechuje specjalny rozwój Matki piersiowej, kształt stopy i właściwy mu chód oraz szczególna budowa kości kręgosłupa i kończyn — pochodziłby człowiek biały. Podobieństwom towarzyszy jednak tyle zasadniczych różnic, że tego rodzaju teoria nie mogła się ostać.

Jeśli weźmiemy pod uwagę cechy charakterystyczne tych trzech gatunków małp, możemy stwierdzić, że należą one do najwyżej rozwiniętych przedstawicieli królestwa zwierząt, wynika z tego jednak, że człowiek jest udoskonaloną małpą albo że małpa jest zwyrodniałym gatunkiem człowieka.

Czy należało przypuszczać, że Wagdysi są właśnie tymi istotami o mniejszej niż człowiek pojemności czaszki, w których uczeni widzą pośredni szczebel między ludzkością a światem zwierzęcym, że są gatunkiem na próżno dotąd przepowiadany i poszukiwanym przez antropologów, sławnym “brakującym ogniwem”? Czyż dziwne przygody, które spotkały w podróży młodych myśliwych, nie doprowadziły ich przypadkowo do progu sensacyjnego odkrycia? Jeśli to niezwykle plemię wydawało się zbliżone do ludzi pod względem fizycznym, należało jeszcze zbadać, czy znane mu były właściwe człowiekowi pojęcia moralne i religijne, nie mówiąc już o posługiwaniu się pojęciami abstrakcyjnymi, o zdolności do tworzenia uogólnień i możliwościach rozwoju w dziedzinie sztuki i literatury.

Na razie jeden fakt nie ulegał wątpliwości: tajemnicze istoty mówiły. Widocznie nie kierowały się tylko instynktem, ale również myślały; wskazywało na to używanie słów, które w połączeniu tworzyły ich język. Nie były to jedynie okrzyki poparte wyrazem oczu i gestami, ale artykułowana mowa, zbudowana z określonych dźwięków i umownych form. Ta właśnie zdolność, wymagająca współdziałania pamięci, najbardziej uderzyła Johna Corta.

Obserwując wygląd i obyczaje „leśnych ludzi”, podróżnicy posuwali się jednocześnie ulicami wioski. Jaki był obszar napowietrznego osiedla? Przypuszczalnie jego obwód musiał liczyć nie mniej jak pięć kilometrów.

— Jeśli wioska jest gniazdem — powiedział Maks Huber — to w każdym razie trzeba przyznać, że zbudowano je z rozmachem!

Większość chat — schludnych, otoczonych zielenią, mających kształt wielkich uli — otwierała się szeroko na zewnątrz. Widać było kobiety krzątające się pilnie w swym bardzo prymitywnym gospodarstwie. Wszędzie kręciło się mnóstwo dzieci, matki karmiły piersią niemowlęta. Co do mężczyzn, to jedni zbierali owoce, inni schodzili po schodach spiesząc do swych codziennych zajęć. Gdy wracali, nieśli na plecach ubitą zwierzynę albo dźwigali naczynia pełne wody, zaczerpniętej z rzeki.

— Jaka szkoda — zawołał Maks Huber — że nie znamy tutejszego języka!

Ponieważ jednak w mowie Wagdysów, jak to zaobserwowano u Li-Mai, występowały słowa wzięte z narzecza Murzynów Konga, Chamis spróbował zagadnąć malca, używając kilku najbardziej potocznych wyrazów.

Li-Mai, jak się zdawało, nic z tego nie zrozumiał. A przecież John Cort i Maks Huber słyszeli na własne uszy, że wymówił kilka razy słowo “ngora”, leżąc pod namiotem na tratwie. Llanga zapewniał też, że dowiedział się od ojca małego stworzenia, iż wieś nazywa się Ngala, a wódz — Mselo-Tala-Tala.

Na koniec, po godzinnej przechadzce, Chamis i jego towarzysze dotarli do krańca wioski, gdzie wznosiła się wyjątkowo okazała chata. Umieszczono ją wśród gałęzi olbrzymiego bawełnianego drzewa; przednią ścianę tworzyła plecionka, a dach ginął w gęstwinie liści.

Czy mieli przed sobą pałac królewski, przybytek czarowników, czy zamieszkaną przez opiekuńcze duchy świątynię, w rodzaju tych, które buduje większość prymitywnych szczepów w; Afryce, Australii i na wyspach Pacyfiku? Nadarzała się sposobność, aby

---

<sup>\*</sup> Ne g r y c i — niskorosłe ludy zamieszkujące płd.-wsch. Azję (Wyspy Filipińskie, Wyspy Andamańskie, Półwysep Malajski) oiaz Melanezyjczycy zamieszkujący Nową Gwineę.

wyciągnąć od Li–Mai kilka dokładniejszych informacji. John Cort ujął go za ramiona, obrócił w stronę chaty i spytał:

— Mseio–Tala–Tala?

W odpowiedzi otrzymał potwierdzające kiwnięcie głową.

A więc tutaj mieszkał król Ngali, miłościwie panujący nad Wagdysami władca!

Maks Huber, bez dalszych ceregieli, skierował się rezolutnie w stronę okazałej chaty. Ale w tej samej chwili zachowanie małego przewodnika zmieniło się do niepoznania: z oznakami najwyższego przerażenia zaczął powstrzymywać Maksa, a gdy ten upierał się przy swoim i powtarzając “Mselo–Tala–Tala” zbliżył się do chaty, malec zastąpił mu drogę i nie dał uczynić ani kroku dalej.

Czyżby istniał zakaz zbliżania się do królewskiej siedziby. Prawdopodobnie, gdyż jak spod ziemi wyrosli nagle dwaj wartownicy i potrząsając bronią — rodzajem siekier z żelaznego drzewa i długich dziurytów — odpędzili obcych od wejścia.

W kilka minut później zwiedzający przybyli do bardziej zacienionej części wioski, gdzie wierzchołki drzew spletały się ze sobą, tworząc gęste altany.

Li–Mai zatrzymał się przed czystsutką lepianką, której dach okrywały szerokie liście bananowca z gatunku rozpowszechnionego w całej puszczy Ubangi. Z tych właśnie liści Chamis zmajstrował w swoim czasie namiot nad tratwą. Ściany chatki były zrobione z ubitej gliny, a wchodziło się do niej przez drzwi, szeroko w tej chwili otwarte. Malec wskazał chałupkę Llandze, który poznał ją natychmiast.

— To tutaj — powiedział.

Wewnątrz znajdowała się jedna izba. W głębi widać było legowisko wysłane suchą, łatwą do zmieniania trawą. W kącie kilka kamieni tworzyło palenisko, na którym tliło się trochę głowni. Jedyne sprzęty stanowiły dwa czy trzy naczynia z wydrążonych tykw, gliniany dzban pełen wody i dwa takie same garnki. “Leśni ludzie” nie znali oczywiście łyżek ani widelców i jedli po prostu palcami. Tu i tam, na wbitych w ściany kawałkach drzewa, leżały owoce, korzonki, pieczone mięsiwo, z pół tuzina ptaków oskubanych na najbliższy posiłek, a z wystających z gliny mocnych kolców zwieszały się długie kawałki plecionki, zrobionej z pasemek kory albo włókien roślinnych.

Dwoje Wagdysów powstało na powitanie Chamisa i jego towarzyszy, wchodzących do lepianki.

— Ngora, ngoro! La–Mai! Lo–Mai! — powiedział malec i dodał zaraz, jakby w nadziei, że zostanie lepiej zrozumiany: — Vater, Vater!

Dziwnie zabrzmiało słowo “ojciec”, wymówione po niemiecku, niezbyt zresztą poprawnie. Jakże zdumiewał ten język w ustach tajemniczego leśnego stworzenia!

Gdy tylko weszli do chaty, Llanga podbiegł do kobiety wagdyjskiej, która objęła go ramionami, tuliła i głaskała, jakby chcąc znowu wyrazić najgłębszą wdzięczność wybawcy swojego dziecka.

John Cort ze szczególną uwagą obserwował ojca Li–Mai. Był on wysoki, dobrze zbudowany, o wyglądzie siłacza. Ręce miał dłuższe od ludzkich, szerokie, mocne dłonie i z lekka pałakowate nogi. Przy chodzeniu jego stopy opierały się całą podeszwą na ziemi.

Kolor jego skóry wydawał się dość jasny, podobny do barwy ciała Pigmejów żyjących w głębinach puszczy. Policzki i brodę porastał mu krótki, rzadki zarost, a czaszkę — wełnista czupryna. Coś w rodzaju miękkiego runa pokrywało całe jego ciało. Nieduża głowa, niezbyt wystające szczęki i żywe, mocno błyszczące oczy charakteryzowały ponadto “leśnego człowieka”.

Matka, ze swą miłą, łagodną twarzą, odznaczała się nawet pewnym wdziękiem; jej spojrzenie świadczyło o żywej grze uczuć, zęby miała równe i olśniewającej białości, a właściwa płci słabej kokieteria objawiała się w kwiatkach wpiętych we włosy i paciorkach ze szkła i kości słoniowej; pochodzenia tych ozdób niepodobna było zresztą wytłumaczyć.

Młoda Wagdyska przypominała w typie Kafrów z Południowej Afryki dzięki swym krągłym, jakby toczonym ramionom, delikatnym wiązaniom i małym stopom, których niejedna Europejka mogłaby jej pozazdrościć. Ciało, porośnięte wełnistym meszkiem, okrywała tkanina z kory, przewiązana w pasie. Na jej szyi wisiał medal doktora Johansena, podobny do tego, który nosił Li-Mai.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Johna Gorta nie można było w żaden sposób rozmówić się z Lo-Mai i La-Mai. Najwyraźniej jednak te pierwotne istoty starały się na swój sposób ugościć przybyszów. Ojciec poczęstował ich owocami pewnej liany, zwanymi przez Murzynów „matofe”, o znakomitym smaku. Goście przyjęli dar i zjedli kilka owoców, co rodzina Wagdysów przyjęła z ogromnym zadowoleniem.

W języku „leśnych ludzi” pytania i odpowiedzi były niezmiernie krótkie, złożone z dwóch albo trzech wyrazów, zaczynających się przeważnie od spółgłosek „ng” „mg”, jak w niektórych narzeczach Murzynów Konga. Matka zdawała się bardziej milcząca niż ojciec. Najwidoczniej język jej nie zdołałby wykonać owych dwunastu tysięcy obrotów na minutę, które stanowią normę dla kobiet na całym świecie. Należy również podkreślić fakt, wywołujący coraz większe zdumienie Johna Corta, że w mowie tych pierwotnych istot rzeczywiście powtarzały się niektóre słowa murzyńskie i niemieckie zniekształcone zresztą prawie zupełnie wskutek wadliwej wymowy.

Spędziwszy jakieś piętnaście minut w lepiance Wagdysów, Chamis, Maks Huber, John Cort i Llanga opuścili ją w towarzystwie Lo-Mai i jego synka. Wrócili do chaty, w której zamknięto ich po przybyciu do wioski i gdzie mieli przebywać nie wiadomo jeszcze jak długo. Dręczyła ich ta sprawa, bo orientowali się, że nie tylko od ich woli będzie zależało, kiedy skończy się niezwykła przygoda.

Przed chatą pożegnali się z nowymi przyjaciółmi. Lo-Mai przytulił raz jeszcze do siebie małego Murzynka i w sposób najzupełniej ludzki wyciągnął obie ręce do jego towarzyszy. Cort i Huber ze szczerą serdecznością, a Chamis z pewną rezerwą uścisnęli dłoń „leśnego człowieka”.



## ROZDZIAŁ XV

### TRZYTYGODNIOWE OBSERWACJE

Wędrowcy zastanawiali się, ile czasu przyjdzie im jeszcze spędzić w napowietrznej wiosce. Czy jakiś niespodziewany wypadek zdoła odmienić sytuację, ogromnie niepokojącą w gruncie rzeczy? Czuli, że dziwni gospodarze pilnują ich bacznie, że niepodobna będzie stąd umknąć. A zresztą, gdyby nawet odzyskali wolność, w jaki sposób zdołają przedrzeć się z tych ostępów do granicy puszczy albo odszukać Rzekę Johansena? Maks Huber, który tak gorąco pragnął niezwykłej przygody, uważał teraz, że straci ona cały swój urok, jeśli się zacznie nadmiernie przeciągać. Toteż okazywał większą niż towarzysze niecierpliwość — pilno mu już było wyruszyć ku dolinie Ubangi, powrócić do factorii w Libreville, skąd obecnie ani on, ani John Cort nie mogli spodziewać się pomocy.

Przewodnik, ze swej strony, wściekał się na zły los, który ich oddał w łapy (jego zdaniem były to niewątpliwie łapy) tych istot pośledniego gatunku. Nie krył głębokiej pogardy, jaką budziło w nim dziwaczne plemię, i równie gorąco jak Huber pragnął co prędzej opuścić Ngagę. W tym celu gotów był zrobić wszystko, co leżało w jego mocy.

John Cort natomiast wykazywał o wiele mniejszą niecierpliwość. Przystudiowanie życia prymitywnych mieszkańców puszczy wydawało mu się rzeczą niezmiernie interesującą. Ale i on sądził, że wystarczy kilka tygodni, aby zgłębić ich obyczaje, szczegóły ich egzystencji, wartość pojęć moralnych i przekonać się, w jakim stopniu należeli jeszcze do świata zwierzęcego. Tymczasem któż mógł przewidzieć, czy pobyt wśród Wagdysów nie przeciągnie się o wiele dłużej, czy nie potrwa całych miesięcy lub nawet lat? I jak się zakończy ta zdumiewająca przygoda? Na razie wyglądało na to, że Chamisowi i jego towarzyszom nie grozi złe traktowanie ze strony “leśnych ludzi”, którzy niewątpliwie zdawali sobie sprawę z wyższości umysłowej przybyszów. Ponadto — rzecz osobliwa i zupełnie niepojęta — nie dziwiło ich, rzekłbyś, zetknięcie z przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Gdyby jednak wędrowcy próbowali wyrwać się z wioski siłą, na pewno spotkaliby się z aktami brutalnej przemocy, których oczywiście należało unikać za wszelką cenę.

— Trzeba koniecznie — powiedział Maks Huber — rozpocząć układy z “Tatą Lusterkiem”, władcą noszącym okulary, i postarać się, aby nam zwrócił wolność.

Uzyskanie audiencji u jego królewskiej mości nie wydawało się ostatecznie rzeczą wykluczoną, chyba że cudzoziemcom, nie wolno podnosić oczu na tak dostojną osobę. Lecz jeśli nawet staną przed obliczem władcy, w jaki sposób zdołają się z nim porozumieć? Nawet murzyńskich narzeczy z obszarów Konga nie będzie można zastosować! A poza tym, co wyniknie z posłuchania? Czyż w interesie Wagdysów nie leżało zatrzymanie na zawsze cudzoziemców, aby nie mogli zdradzić tajemnicy plemienia bytującego w puszczy Ubangi?

Mimo wszystko John Cort uważał, iż uwięzienie w napowietrznej wiosce ma swoje dobre strony, skoro może przynieść tyle korzyści antropologii, skoro poruszy umysły uczonych dzięki odkryciu zupełnie nowych istot. Jeśli zaś chodzi o zakończenie ich przygody...

— Diabli wiedzą, co z tego wyniknie — powtarzał Maks Huber, który nie nadawał się bynajmniej do roli profesora Garnera czy doktora Johansena.

Kiedy trzech mężczyzn i Llanga wrócili do swojej chaty, zauważyli z zadowoleniem, że wprowadzono rozmaite zmiany w jej urządzeniu. Przede wszystkim jakiś Wagdys sprzątał dokładnie “mieszkanie”. John Cort już przedtem zauważył, że prymitywne istoty cechuje zamiłowanie do czystości i porządku, właściwość nie znana większości zwierząt.

Ponadto wniesiono do lepianki różne przedmioty i złożono na ziemi, ponieważ umeblowanie nie zawierało ani stołów, ani krzeseł. Znalazło się tu teraz trochę prymitywnych przyborów gospodarczych, jak garnki i dzbany wyrabiane przez Wagdysów; nie opodal leżały

rozmaite owoce i ćwiartka pieczonego passana. Tylko zwierzęta zadowolają się surowym mięsem. Ludzie, nawet stojący na najniższym szczeblu kultury, rzadko kiedy spożywają je w tej formie.

— Każdy, kto potrafi rozniecić ogień — oświadczył John Cort — posługuje się nim do przyrządzania pokarmów. Nie dziwi mnie zatem, że Wagdysi odżywiają się pieczonym mięsem.

Chatę wyposażono również, w palenisko przykryte płaskim kamieniem. Uchodzący stąd dym ginął wśród gałęzi wielkiego drzewa, osłaniającego strzechę.

Kiedy czterej przybysze stanęli w drzwiach, Wagdys przerwał robotę. Był to młody, może dwudziestoletni chłopiec, o zręcznych ruchach i rozumnej twarzy. Wskazał ręką przedmioty przyniesione tutaj przed chwilą. Maks Huber, John Cort i Chamis z ogromną radością ujrzeni wśród nich swoje karabiny, trochę wprawdzie zardzewiałe, ale które z łatwością będzie można doprowadzić do właściwego stanu.

— Do licha! — zawołał Huber. — Zjawiły się w samą porę i przy okazji...

— Posłużylibyśmy się nimi — przerwał Cort — gdyby nam także oddano pudło z nabojami...

— Oto ono — odpowiedział przewodnik.

I pokazał towarzyszom metalowe pudło, ustawione na lewo od wejścia, tuż koło drzwi. Czytelnicy pamiętają zapewne, że w czasie katastrofy Chamis, z niezwykłą przytomnością umysłu, rzucił broń i amunicję na skały tworzące zaporę, w chwili gdy tratwa zderzyła się z nią gwałtownie. Wagdysi odnaleźli wszystko i przynieśli do wioski.

— Oddali nam karabiny — powiedział Huber — ale zastanawiam się, czy wiedzą, do czego służy broń palna.

— Nie mam pojęcia — odrzekł Cort. — W każdym razie wiedzą, że nie należy przywłaszczać sobie cudzego mienia, co dobrze świadczy o ich zasadach moralnych.

Mimo wszystko sprawa poruszona przez Hubera była zagadnieniem niezmiernie doniosłym. W tej chwili jednak coś innego zwróciło uwagę podróżnych. Młody Wagdys wymówił kilka razy głośno i dobitnie słowo „Kollo”, jednocześnie wskazywał dłonią na swoje ciało i przytykał ją do piersi, jakby chciał powiedzieć: „Kollo to ja!”

John Cort wywnioskował, że tak brzmi imię ich nowego służącego. Powtórzył je z kolei kilka razy, na co Kollo, rozradowany, odpowiedział długim, serdecznym wybuchem śmiechu. Prymitywne istoty bowiem śmiały się i przy badaniu ich psychiki należało zastanowić ale poważnie nad tym faktem.

Wagdysi wydawali się poza tym łagodni z natury, nieskłonnici do bójek i — co trzeba raz jeszcze podkreślić — pozbawieni owej dziecięcej ciekawości, jaką objawiają w stosunku do obcych zaginione w rozwoju plemiona z najdzikszych zakątków Afryki i Australii. Widok dwóch białych i dwóch Murzynów z dalekich okolic Konga nie wywołał wśród nich takiego zdumienia, w jakie wprawiliby zapewne żyjące w głębi puszczy szczepy afrykańskich tubylców. Zachowywali się obojętnie wobec przybyszów, nie narzucali im się natrętnie. Nie wykazywali żadnych cech właściwych wielkowiejskim gapiom i snobom. Za to w dziedzinie akrobacji nie znaleźliby nigdzie godnych siebie partnerów. Jeśli idzie o wdrapywanie się na drzewa, przeskakiwanie z gałęzi na gałąź, zbieganie pędem po schodach prowadzących do wioski — mogliby niejednego nauczyć największych mistrzów areny, zdobywających rekordy w zakresie sztuk cyrkowych.

Wykazując tak niezwykłą sprawność fizyczną, Wagdysi dawali jednocześnie dowody wyjątkowo pewnego oka. Kiedy polowali na ptaki, ich maleńkie strzały trafiały zawsze upatrzone sztuki. Z równym powodzeniem ścigali zapewne antylopy, bawoły i nosorożce w pobliskich gęstwinach. Maks Huber miał wielką ochotę wziąć kiedyś udział w takiej wyprawie — zarówno po to, by podziwiać myśliwskie wyczyny swoich gospodarzy, jak i po te, by spróbować wymknąć się im spod opieki.

Ucieka! Więźniowie rozmyślali o niej bez ustanku. Ale wydostać się na wolność mogli wyłącznie poprzez jedyne prowadzące do wioski schody, tymczasem są górnej platformie stało zawsze na straży kilku wojowników i z trudem przyszłoby zapewne zmylić ich czujność.

Kilka razy Maks Huber doznawał pokusy, by zapolować na ptaki rojące się w konarach drzew, lelki, pantarki, dudki i inne, spożywane w wielkich ilościach przez "leśnych ludzi". Ale więźniom dostarczano stale zwierzyny, zwłaszcza mięsa różnych gatunków antylop, jak passany, "pala" i kozły wodne, zamieszkujące licznie puszcze Ubangi. Służący Kollo dbał o to, by Chamisowi i jego towarzyszą na niczym nie zbywało; codziennie uzupełniał też zapas potrzebnej w gospodarstwie świeżej wody i zapas drzewa do podsycania ogniska. Poza tym Maks zdawał sobie sprawę, że gdyby użył karabinu do polowania, "leśni ludzie" dowiedzieliby się zupełnie niepotrzebnie, jaką potęgę przedstawia broń palna. Lepiej było zachować co do tego tajemnicę i w razie potrzeby użyć karabinów jako broni zaczepnej lub odpornej.

Wagdysi dlatego tak obficie zaopatrywali w mięso swoich gości, że sami Cywili się nim stale, niekiedy pieczonym na węglach, niekiedy gotowanym w glinianych garnkach własnego wyrobu. Kollo pitrasił dla przybyszów takie właśnie potrawy, wspomagany przez Llangę, gdyż Chamis uważał, że zajmowanie się czymkolwiek wspólnie z dziwnym małpoludem uwłaczałoby jego godności.

Johna Corta interesowała szczególnie sprawa rozniecana ognia. W jaki sposób brało się do tego prymitywne plemię? Czy tarli kawałkiem twardego drewna o kawałek miękkiego wedle recepty dzikich Ludów? Okazało się, że nie używali tego sposobu, lecz wydobywali iskry z krzemienia, które wystarczały do zapalenia puchu na pewnych owocach, nader pospolitych w lasach Afryki, posiadających wszelkie właściwości hubki.

Pod wsią Ngala migotał potok, obfitujący w ryby tych samych gatunków, które Chamis i jego towarzysze łowili w Rzece Johansena. Ale czy był on spławny i czy Wagdysi umieli wyrabiać Jodie i posługiwać się nimi? Informacje na ten temat przydałyby się bardzo planującym ucieczkę jeńcom.

Rzeczkę widać było doskonale z krańca wioski, leżącego po przeciwnej stronie niż ta, gdzie zbudowano siedzibę króla. Gdy ktoś stanął pod najdalszymi drzewami, mógł dostrzec jej niezbyt szerokie koryto. Dalej gubiła się w ciżbie leśnych olbrzymów, wśród drzew bawełnianych o pięciocłonowych pniach, wśród splotów węzlastych gałęzi, wśród niebotycznych konarów oplecionych kolosalnymi lianami niby kłębowiskiem węzłów.

A jednak, na szczęście, Wagdysi umieli budować łodzie! Sztukę tę, jak wiemy, znają najbardziej nawet pierwotni tubylcy Oceanii. Tutejsze statki nie przypominały ani tratwy, ani pirogi — były to zwykłe pnie drzewne, wydrążone za pomocą ognia. Miały wiosła w kształcie płaskich łopatek, a jeśli wiatr wiał w pożądanym kierunku, rozpinano także na dwóch drągach żagiel zrobiony z kory, którą tak długo tłuczono stęporami z niezwykle twardego, żelaznego drzewa, aż stawała się dostatecznie giętka i elastyczna. John Gort zauważył jednak, że mimo przemyślności w wielu dziedzinach Wagdysi nie używali wcale jarzyn czy zbóż. Nie umieli uprawiać ani sorga, ani prosa, ani ryżu, ani manioku, nie znali żadnych prac rolniczych, grających tak wielką rolę w życiu ludów Środkowej Afryki.

Gdy John Cort poczynił wszystkie te obserwacje, przystąpił do badań nad moralnością i uczuciami religijnymi Wagdysów.

Pewnego dnia Maks Huber zapytał go, czy doszedł już do jakichś wniosków na ten temat.

— Mają na pewno swoistą moralność, pewien rodzaj uczciwości — odrzekł John. — Bez wątplenia rozróżniają dobre i złe uczynki. Nieobce jest im również pojęcie własności — wiedzą, według mnie, że istnieje „moje” i „twoje”. Zauważyłem to, gdy przyłapano jednego z Wagdysów, który zakradł się do cudzej chaty i zwędził kilka owoców. Poza tym trzeba dodać, że te pierwotne istoty znają podstawową instytucję społeczeństwa ludzkiego...

— Jaką mianowicie?

— Rodzinę, która występuje u nich powszechnie. Ojciec i matka żyją we wspólnocie, opiekują się dziećmi, a między pokoleniami istnieje silna więź uczuciowa. Czyż nie widzieliśmy lego w lepiance Lo–Mai? Ponadto Wagdysi wykazują wrażliwość właściwą tytko rodzajowi ludzkiemu. Przypatrz się naszemu Kolio. Czy nie zauważyłeś, że czerwieni się on nieraz pod wpływem bodźców natury duchowej? Czy to będzie wstydlivosć, czy nieśmiałość, skromność czy zmieszanie, te cztery możliwości oblewające rumieńcem twarz człowieka niewątpliwie wywołują u niego takie same skutki Stąd wniosek, że posiada on życie uczuciowe, a więc i duszę.

— Wobec tego — wtrącił Maks Huber — skoro owi Wagdysi mają tyle cech ludzkich, dlaczego nie zaliczyć ich do rodziny człowieka?

— Bo wydaje mi się, że brak im pewnych pojęć spotykanych u wszystkich ludów, mój drogi.

— Co przez to rozumiesz?

— Że brak im pojęć religijnych, istniejących wśród najpierwotniejszych szczepów. Nie zauważyłem, aby oddawali cześć jakimkolwiek bóstwom. Nie znają ani fetyszów, ani kapłanów...

— Chyba — przerwał Maks — że ich bóstwem jest właśnie król Mselo–Tala–Tala, tak pilnie strzeżony, iż nawet koniuszka jego nosa nie mogliśmy dotąd zobaczyć.

Chamis ze swej strony na próżno usiłował kilka razy wymknąć się z wioski. Wojownicy pilnujący schodów sprzeciwili się temu gwałtownie. Kiedyś nawet zostałby poważnie poturbowany, gdyby nie to, że Lo–Mai, zwabiony hałasem, pośpieszył mu na pomoc.

Poczciwy Wagdys musiał się zresztą wyklócić o niego porządnie z tęgim zuchem, którego zwano Raggi, dowódcą wojowników, na co wskazywały zdobiące go futra, broń u pasa i pióra zatknięte w czuprynę. Poza tym jego srogi wygląd, władcze gesty i brutalność świadczyły, że nawykł do rozkazywania.

Dwaj przyjaciele spodziewali się, że na skutek ich nieudanych prób zostaną odstawieni przed oblicze jego królewskiej mości i zobaczą nareszcie władcę, którego poddani ukrywali tak zazdrośnie w jego rezydencji. Ale ich nadzieje spełzły na niczym. Być może Raggi sprawował pod tym względem najwyższą władzę i nie należało go drażnić powtórными próbami ucieczki. Szansę odzyskania wolności przedstawiały się zatem nader mizernie. A może Wagdysi, po jakimś nieudanym ataku na swych sąsiadów, sami z kolei zostaną napadnięci? Wtedy, wśród zamieszania wywołanego najazdem, trafiłaby się może okazja opuszczenia Ngali... Ale co potem?

Zresztą, w czasie pierwszych tygodni, wioska raz tylko znalazła się w niebezpieczeństwie. Napastnikami okazały się zwierzęta, których Chamis i jego towarzysze nigdy dotąd nie spotkali w puszczy Ubangi.

Wagdysi pędzili wprawdzie życie w napowietrznej wiosce, a z krótkich wypadów zawsze wracali do niej przed nocą, mimo to jednak postawili sobie nad rzeką kilka szałasów; tworzyły one jak gdyby miniaturowy port strzegący zgromadzonych w tym miejscu łodzi przeciwko napaściom hipopotamów, manatów czy krokodyli, od których roi się w afrykańskich rzekach.

Pewnego dnia (dokładnie dziewiątego kwietnia) wybuchło w wiosce niesamowite zamieszanie. Przerażliwe wrzaski niosły się od strony rzekł. Czyżby Wagdysów zaatakowały podobne do nich istoty? Oczywiście, położenie osiedla utrudniało napastnikom zadanie. Ale gdyby im przyszło do głowy podpalić drzewa dźwigające platformę, w ciągu kilku godzin obróciliby Ngale w perzynę. Chamis i jego towarzysze przypuszczali, że Wagdysi mogli używać tego sposobu w walkach z sąsiadami, nie było zatem wykluczone że teraz spotka ich podobny odwet.

Gdy tylko dały się słyszeć pierwsze okrzyki, Raggi i trzydziestu mniej więcej wojowników rzuciło się w stronę schodów. Zbiegli po nich błyskawicznie z prawdziwie małąpią

zręcznością. John Cott, Maks Huber i Chamiś, prowadzeni przez Lo—Mai, udali się na kraniec wioski, skąd widać było rzekę.

Cel ataku stanowiły wybudowani tutaj szałas. Szarżowało na nie stado osobliwych zwierząt: nie hipopotamów, ale dzikich świń, żyjących nad rzekami. Wypadały właśnie z gęstwiny i gnały przed siebie, trując wszystko, co się znalazło na ich drodze.

Poprzez gałęzie drzew osłaniające skraj wioski podróżni obserwowali przebieg walki. Trwała ona krótko, ale wydawała się dość niebezpieczna. Wojownicy dawali dowody ogromnej odwagi. Posługując się raczej oszczepami i toporkami niż łukami, natarli z zapałem nie ustępującym furii przeciwników. Zwierali się z nimi, walili po łbach siekierami, przesywali dziurkami boki zwierząt. Po godzinnym boju, kiedy woda w rzece poczerwieniała od krwi, stado rzuciło się do ucieczki.

W pewnej chwili Maks Huber miał wielką ochotę włączyć się do walki. Z łatwością można by przecież skoczyć .po karabiny, palnąć z góry w środek stada, zasypać gradem kuł zwierzęta i wprawić w osłupienie Wagdysów— Ale rozważny John Cort, przy wydatnym poparciu Chamisa, uspokoił natychmiast rozgorączkowanego przyjaciela.

— Nie myśl nawet o tym — powiedział. — Zachowajmy taką interwencję na jakiś naprawdę decydujący moment. Kiedy się ma do dyspozycji pioruny...

— Masz rację, mój drogi — zgodził się Maks. — Piorunów trzeba używać we właściwej chwili. A ponieważ pora burzy jeszcze nie nadeszła, niechaj gromy spoczywają spokojnie w arsenale.

## ROZDZIAŁ XVI

### JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ MSELO–TALA–TALA

Pewnego popołudnia, piętnastego kwietnia, w zachowaniu Wagdysów, zwykle tak spokojnych i zrównoważonych, nastąpiła wyraźna zmiana.

W ciągu trzech ubiegłych tygodni uwięzieni w Ngali wędrowcy ani razu nie mieli okazji, by wymknąć się do puszczy i podjąć na nowo marsz w kierunku rzeki Ubangi. Pilnie strzeżeni, zamknięci w trudnych do przekroczenia granicach napowietrznej wioski, nawet marzyć nie mogli o ucieczce. Oczywiście, mieli dogodne warunki — co wykorzystywał przede wszystkim John Cort — do studiowania obyczajów tych dziwnych stworzeń stojących pomiędzy najbardziej udoskonalonym człękoksztalnym zwierzęciem a człowiekiem. Mogli obserwować bez przeszkód, jakie formy instynktu łączyły te istoty ze światem zwierzęcym, jaka zaś doza inteligencji zbliżała je do ludzi. Gromadzili istne skarby spostrzeżeń mogących wzbogacić dyskusje na temat teorii darwinowskich. Ale po to, by uczeni odnieśli korzyść z niezwykłego odkrycia, należało wyruszyć wreszcie w kierunku Francuskiego Konga, powrócić do Libreville...

Pogoda była wspaniała, słońce zalewało żarem i blaskiem wierzchołki drzew, ocieniających napowietrzną wioskę. W południe dosięgło niemal zenitu, a teraz, chociaż minęła już godzina trzecia i promienie jego zaczęły padać ukośnie, upał nie zmniejszył się wcale.

Stosunki obu młodych myśliwych z rodziną Mai pozostały nadal przyjazne i ożywione. Nie było dnia bez wzajemnych odwiedzin, istnej wymiany grzecznościowych wizyt, przy których brakowało tylko wizytowych biletów! Malec na krok nie odstępował Llangi i widać było, że pokochał gorąco Murzynka.

Na nieszczęście ani Cort, ani Huber nie mogli w dalszym ciągu zrozumieć języka tych pierwotnych istot, złożonego z niewielkiej ilości słów odpowiadających skąpemu zakresowi ich pojęć. John pochwyił wprawdzie znaczenie niektórych wyrazów, nie pozwalało mu to jednak rozmawiać z mieszkańcami Ngali. Nadal nie mógł sobie wytłumaczyć, skąd wzięły się w języku Wagdysów słowa z narzeczy murzyńskich, w liczbie około dwunastu. Czy nie świadczyło to czasem, że “leśnych ludzi” łączyły jakieś stosunki z plemionami osiadłymi nad Ubangi? A może dotarł do wioski pojedynczy mieszkaniec Konga, który nie wrócił już potem w rodzinne strony? Hipoteza ta, trzeba przyznać, wydawała się dość prawdopodobna. Poza tym, jak wiemy, z ust Lo–Mai padały niekiedy słowa niemieckie, tak zniekształcone, że trudno je było rozpoznać; Cort uważał, że tego faktu w ogóle niepodobna wytłumaczyć.

Istotnie, jeśli można było przyjąć, że Wagdysi spotykali się czasem z Murzynami, rzeczą zupełnie fantastyczną wydawały się ich stosunki z Niemcami z Kamerunu. W tym wypadku Francuz i Amerykanin nie byłiby oczywiście odkrywcami tajemniczego plemienia.

John Cort mówił wprawdzie dość biegle po niemiecku, ale na nic mu się to nie przydawało, ponieważ Lo–Mai znał z tego języka zaledwie dwa czy trzy słowa.

Najczęściej używanym wyrażeniem, zapożyczonym z narzecza murzyńskiego, było w Ngali imię tutejszego władcy — Mselo–Tala–Tala. Jak wiemy, obaj przyjaciele pragnęli gorąco otrzymać posłuchanie u niewidzialnego dostojnika. Kiedy wymawiali jego imię, Lo–Mai pochylał wprawdzie głowę z wyrazem głębokiego szacunku, ale gdy w czasie codziennych spacerów stawali przed królewską chatą i objawiali ochotę wejścia do środka, Wagdys zatrzymywał ich gwałtownie, popychał w inną stronę, odciągał w prawo lub w lewo. Usiłował przekonać ich po swojemu, że nikt nie ma prawa przestąpić progów uświęconego domostwa.

Otóż tego właśnie popołudnia, na krótko przed godziną trzecią, “ngoro”, “ngota” i ich mały synek zjawili się u Cbamisa i jego towarzyszy.

Przed wszystkim rzuciło się w oczy, że cała rodzina przywdziała swe najparadniejsze stroje. Ojciec miał pióra na głowie, a jego postać okrywał płaszcz z kory. Matka włożyła spódnice utkana z włókien roślinnych, w jej włosach tkwiły świeże liście, a szyję zdobiły szklane paciorki i kawałeczki metalu. Synkowi zawiązano lekką przepaskę — jako “niedzielny przyodziewek”, jak to określa Maks Huber.

Widząc całą trójkę tak wystrojoną, zawołał:

— Co to ma znaczyć! Czy wybrali się do nas z oficjalną wizytą?

— Prawdopodobnie obchodzą jakąś uroczystość — odrzekł Cort. — Czyżby ta chodziło o oddawanie czci jakiemuś bóstwu? To bardzo interesujące: może dowiemy się wreszcie czegoś o ich uczuciach religijnych.

Zanim dokończył zdania, Lo–Mai odezwał się, jakby w odpowiedzi:

— Mselo–Tala–Tala.

— Ojczulek w okularach! — przełożył Maks Huber.

I wybiegł przed chałę, przekonany, że władca kroczy w tej chwili ulicami wioski.

Rozczarował się jednak bardzo szybko. Nie dostrzegł nigdzie ani śladu jego królewskiej mości! Należało jednak przyznać, że w Ngali panowało niezwykle ożywienie. Ze wszystkich stron napływały tłumy, równie radosne i pięknie przystrojone jak rodzina Mai. W tym wielkim zbiegowisku jedni kroczyli uroczyste ulicami, kierując się na zachodni kraniec osiedla, inni brali się za ręce jak podochocona młodzież na wiejskiej zabawie, jeszcze inni skakali małpim obyczajem z drzewa na drzewo.

— To coś zupełnie nowego — oświadczył John Cort, stając w drzwiach chaty.

— Zobaczymy, co z tego wyniknie — powiedział Huber. — Mselo–Tala–Tala? — rzucił pytającym tonem, zwracając się do Lo–Mai.

— Mselo–Tala–Tala — odrzekł Wagdys krzyżując ręce na piersiach i pochylając głowę.

Młodzi myśliwi wywnioskowali, że mieszkańcy Ngali mają oddawać cześć władcy w okularach, który ukaże się za chwilę w całym swym majestacie.

Ani Cort, ani Huber nie mogli przywdziać na uroczystość paradnych szat. Mieli tylko swoje myśliwskie ubrania, zniszczone i wybrudzone do ostatecznych granic, oraz bieliznę, którą usiłowali utrzymać w jakiejś takiej czystości. W rezultacie nie potrzebowali tracić czasu na toaletowe zabiegi dla uczczenia jego królewskiej mości i ponieważ rodzina Mai opuściła chatę, wyszli w ślad za Wagdysami wraz z Llangą. Co do Chamisa, to nie miał ochoty mieszać się z tłumem tych podrzędnych istot i pozostał w domowych pieleszach. Zajął się robieniem porządków, nadzorowaniem kuchni i czyszczeniem karabinów. Czyż nie należało przygotować się do mogących nastąpić zmian? Kto wie, czy nie nadchodziła właśnie godzina, kiedy trzeba będzie posłużyć tą bronią?

John Cort i Maks Huber pozwolili się zatem prowadzić Lo–Mai poprzez pełną ożywienia wioską. Nie było tu ulic w ścisłym znaczeniu tego słowa. Lepianki, rozmieszczone zgodnie z fantazją poszczególnych właścicieli, skupiały się w pobliżu osłaniających je drzew, a raczej ich wierzchołków.

Zwarty tłum, liczący co najmniej około tysiąca Wagdysów, kierował się teraz ku tej części napowietrznej wioski, gdzie stała królewska chata.

— Wyglądają zupełnie jak ciżba ludzka — zauważył John Cort. — Mają takie same ruchy, w identyczny sposób objawiają radość okrzykami, gestami...

— Ale i wykrzywiają się potwornie — wtrącił Huber — co upodabnia te dziwaczne istoty do czwororękich zwierząt.

Istotnie, Wagdysi — zwykle ogromnie poważni, opanowani, powściągliwi — nigdy nie okazywali takiego podniecenia, nie stroili tak uciesznych min. Nie pozbyli się tylko zdumiewającej obojętności w stosunku do obcych przybyszów, na których, zda się, nie

zwracali na najmniejszej uwagi; nie objawiali owego natrętnego wścibstwa, właściwego szczepom Wambuti i innym mieszkańcom Afryki. Pod tym względem Wagdysi byli najzupełniej “nieludczy”.

Pokręciwszy się dłuższy czas wśród tłumu, Maks Huber i John Cort przybyli na plac otoczony wierzchołkami ostatnich drzew rosnących na zachodnim krańcu wioski, które zwieszały festony zieleni wokół królewskiego pałacu. Na samym przodzie stały tu szeregi wojowników, uzbrojonych po zęby, odzianych w skóry antylop szczipione cienkimi lianami. Na głowy nasadzili sobie łby kozłów wodnych; sterczące rogi nadawały im wygląd stada na pastwisku. “Pułkownik” Raggi paradował przed frontem swej armii w hełmie z czaszki bawolej, z łukiem na ramieniu, toporkiem u pasa i oszczepem w ręce.

— Zapewne władca będzie przyjmował defiladę — powiedział John.

— Jeśli się teraz nie ukáže — dodał Maks — będzie to znaczyło, że jego wierni poddani nie oglądają go nigdy. Ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy, jaki nimb otacza niewidzialnego monarchę. Być może, że król Wagdysów to zrozumiał.

Huber zwrócił się do Lo-Mai i pomagając sobie gestami, zapytał, czy Mselo-Tala-Tala wyjdzie z chaty.

Wagdys skinął potakująco głową, dając przyjaciółom do zrozumienia, że nastąpi to nieco później.

— Mniejsza z tym! — zawołał Maks. — Byleśmy wreszcie ujrzeli jego czcigodne oblicze!

— Tymczasem — wtrącił Cort — starajmy się nie uronić ani jednego szczegółu widowiska.

Dzięki uprzejmości Lo-Mai i jego rodziny John Cort, Maks Huber i Llanga mogli stanąć tak, że wszystko widzieli doskonale.

Kiedy tłum rozstał się nieco i środek placu pozostał wolny, natychmiast młodzi chłopcy i dziewczęta puścili się w tany, gdy tymczasem starsi zabrali się do picia jak wieśniacy na holenderskim odpuscie.

“Leśni ludzie” pochłaniali sfermentowany i przyprawiony korzeniami napój ze strąków tamaryndowców. Musiał on zawierać spory procent alkoholu, bo wkrótce zakurzyło się z czupryn i nogi biesiadników zaczęły się plątać w niepokojący sposób.

Taniec polegał raczej na strojeniu min i fikaniu koziołków niż na rytmicznym przeginaniu ciała, toteż popisy choreograficzne miały więcej cech małpich niż ludzkich. Należy przy tym podkreślić, że nie nasuwały myśli o małpie wyuczonyj jarmarcznych sztuczek — nic podobnego! — ale o małpie zachowującej się zgodnie z naturalnymi popędami. Tańcom nie towarzyszyły okrzyki tłumu. Odbywały się przy akompaniamencie prymitywnych instrumentów, tykw obciążniętych skórą, dudniących pod gradem uderzeń, pustych wewnątrz łądyg przyciętych na kształt piszczałek, w które dmuchało całą siłą płuc ze dwunastu muzykantów. Uszu białych ludzi nigdy nie rozdzierała równie ogłuszająca kocia muzyka.

— Wygląda na to — powiedział John Cort — że nie mają wcale poczucia rytmu.

— Ani poczucia harmonii — dodał Maks Huber.

— No, ale w każdym razie są wrażliwi na muzykę.

— Zwierzęta, mój drogi, są również na nią wrażliwe, przynajmniej niektóre z nich. Moim zdaniem muzyka jest sztuką niższego rzędu, przemawiającą do bardziej pierwotnych uczuć. Natomiast zwierzęta nie reagują nigdy na malarstwo, rzeźbę czy literaturę. Nikt nie widział, aby najinteligentniejsze nawet wzruszały się na widok obrazu albo słuchając poetyckiej tyrady.

Mimo wszystko Wagdysi i w tym wypadku zbliżali się raczej do ludzi: nie tylko przecież odczuwali urok muzyki, ale potrafili także ją wytwarzać.

Minęły w ten sposób dwie godziny, wystawiając na ciężką próbę cierpliwość Maksa Hubera, który wściekał się, że Mselo-Tala-Tala nie raczy się pofatygować, aby przyjąć wyrazy hołdu od swoich poddanych.



Uroczystość ciągnęła się dalej, wśród coraz głośniejszych krzyków i coraz bardziej ochoczych tańców. Gdzieś tam wybuchły już pijackie bójki i podróżni zadawali sobie z niepokojem pytanie, jakie jeszcze sceny mogą się tutaj rozegrać. Raptem tumult ucichł jak nożem uciął. Wszyscy uspokoili się i przykucnąwszy na ziemi, trwali w bezruchu. Po hałaśliwym rozgardiaszu, ogłuszającym dudnieniu tam-tamów, przeraźliwych gwizdach piszczałek — zapadła nagle kompletna cisza.

W tej chwili otwały się drzwi królewskiej siedziby, a wojownicy ustawili się szpalerem przy wejściu. — No, nareszcie! — powiedział Maks. — Zobaczymy w końcu króla “leśnych ludzi”!

Ale z chaty nie wyszedł wcale oczekiwany władca. Wyniesiono z niej i ustawiono na środku placu dziwny mebel, nakryty uplecioną z liści zasłoną. Jakież było zdumienie obu przyjaciół, kiedy rozpoznali w nim najzwyczajszą, ordynarną katarynkę! Prawdopodobnie ten cenny instrument występował tylko w czasie największych, uroczystych świąt obchodzonych przez mieszkańców Ngali, którzy, dzięki świeżości swych uczuć, z rozkoszą wysłuchiwali jego mniej lub więcej urozmaiconych melodii.

— Ależ to katarynka doktora Johansena! — powiedział Cort,

— Cóż za przedpotopowa machina! — zawołał Huber, — Teraz już rozumiem, dlaczego tej nocy, kiedy przybyliśmy do Ngali, miałem wrażenie, że rozbrzmiewają gdzieś nad moją głową dźwięki oklepanego walca z “Wolnego strzelca”!

— Jak to, Maksie! I nawet nam o tym nie wspomniałeś?

— Byłem pewien, że mi się to śniło,

— Z pewnością Wagdysi przynieśli sobie katarynkę z klatki doktora — powiedział Cort.

— Wyprawiwszy najpierw biedaka na tamten świat — dorzucił Huber. .

Rosły Wagdys — prawdopodobnie dyrygent miejscowej kapeli — podszedł do instrumentu i zaczął kręcić jego korba. Natychmiast, ku wielkiej ucieście całego zgromadzenia, popłynęły tony wspomnianego przez Maksa walca, w którym od czasu do czasu brakowało kilku nut. Po tańcach nastąpiła widocznie część koncertowa. Zebrani słuchali w skupieniu, kiwając głowami, co prawda nie w takt. Zdawało się, że Wagdysi nie odczuwają wrażenia wirowego ruchu, jakie narzuca walc ludzioro cywilizowanym w Europie i Ameryce.

Z głęboką powagą, przejęty doniosłością spełnianej funkcji, Wagdys wprawiał nadal w ruch grające pudło. John Cort ciekaw był, czy mieszkańcy Ngali wiedzą, że katarynka zawiera inne jeszcze melodie. Nie wydawało się zresztą prawdopodobne, by pierwotne plemię mogło odkryć nawet przypadkiem, że za pociśnięciem guzika walc Webera zastępuje nowy “kawałek”.

Aż tu nagle, po upływie pół godziny poświęconej “Wolnemu strzelcowi”, wykonawca przesunął poprzeczną sprężynkę ze zręcznością ulicznego grajka, znającego na wylot swój zawieszony na szelkach instrument.

— Coś podobnego! To już doprawdy przechodzi wszelkie pojęcie! — wykrzyknął Maks Huber.

Istotnie, rzecz wydawała się niepojęta — chyba że ktoś wyjawiał “leśnym ludziom” tajemnicę mechanizmu, nauczył ich, w jaki sposób wydobywać z dziwnego pudła wszystkie zawarte w nim melodie! Korba zaczęła się znowu obracać i po niemieckim walcu nastąpiła rzewna francuska piosenka, niezmiernie w swoim czasie popularna — “Z Bogiem, lube dziecię”.

Ktokolwiek zna to “arcydzieło”, wie, że strofki liczące po szesnaście taktów zostały skomponowane w tonacji *a mol*, po czym melodia refrenu przechodzi w tonację *a dur*, zgodnie z przepisami obowiązującymi dawnych kompozytorów.

— Ach, łotr! Ach, nędznik! — wrzasnął nagle Maks Huber, nie bacząc, że jego okrzyki wywołują w zgromadzeniu pełen oburzenia szmer.

— Kto jest tym łotrem? — zapytał John Cort. — Ten, co kręci korbą katarynki?

— Nie! Ten, co ją zmajstrował! Przez oszczędność nie wsadził do swego pudła półtonów. I oto refren, który powinien brzmieć w *a dur*, został najfatalniej sfalszowany!

— Istotnie, to okropna zbrodnia! — roześmiał się John Cort.

— A te dzikusy nawet nie zauważyły oszustwa! I nie wyskakują ze skóry, jak to powinna robić każda istota obdarzona ludzkimi uszami!

Rzeczywiście, Wagdysów nie raziła wcale ta straszliwa kakofonia! Przyjmowali ją jako rzecz naturalną. Nie bili wprawdzie brawa, chociaż ich wielkie ręce zdawały się stworzone do oklasków, niemniej jednak zachowanie tłumu wyrażało najwyższe upojenie.

— Już przez to samo zasługują, by ich zaliczyć do zwierząt — powiedział Maks Huber.

Prawdopodobnie repertuar katarynki ograniczał się do niemieckiego walca i francuskiej pieśni. Przez pół godziny powtarzały się na przemian, bez chwili przerwy. Inne melodie popsły się zapewne od dawna. Na szczęście w walcu katarynka nie fałszowała tak haniebnie i nie doprowadzała Maksa do mdłości, które wywoływał u niego refren piosenki.

Kiedy skończył się koncert, Wagdysi z większym jeszcze zapalem puścili się w płasy, a trunki obfitą strugą popłynęły do gardzieli. Słońce skryło się już za wierzchołkami drzew osłaniających wioskę od zachodu; tu i ówdzie wśród gałęzi błyskały pochodnie rzucając smugi światła na plac, który po krótkotrwałym zmierzchu miał się za chwilę pogрузić w głębokich ciemnościach.

John Cort i Maks Huber mieli już dosyć widowiska i zamierzali wrócić do siebie, kiedy Lo-Mai wymówił imię władcy.

Czy jego królewska mość wystąpi wreszcie i przyjmie hołdy swego ludu? Czy niewidzialne bóstwo raczy się ukazać oczom śmiertelników? John i Maks porzucili natychmiast myśli o powrocie do domu.

Istotnie, jakiś ruch wszczął się w pobliżu królewskiej chaty, a tłumy zebranych przebiegł głuchy szmer. Otwarto drzwi, po czym uformował się oddział wojowników z Raggim na czele.

Prawie jednocześnie ukazał się tron królewski — stary tapczan udrapowany kawałkami tkanin i festonami z liści, niesiony przez czterech silnych Wagdysów, na którym rozpiął się najjaśniejszy pan.

Był to osobnik mniej więcej sześćdziesięcioletni, w zielonym wieńcu na głowie, o siwej czuprynie i brodzie, potężnej tuszy, tak iż musiał ciężyc porządnie mocnym barom niosących go sług.

Pochód ruszył w drogę i zaczął okrążyć plac. Tłum chylił się w pokłonach aż do ziemi, ucichły nagle, zahipnotyzowany, rzekłbyś, dostojną obecnością władcy. Wydawałoby się zresztą, że Mselo-Tala-Tala z najwyższą obojętnością przyjmuje wyrazy należnej czci, które z pewnością spowszedniały mu już od dawna. Raczył zaledwie kiwnąć niekiedy głową na znak zadowolenia. Nie wykonał ani jednego gestu, tylko dwa czy trzy razy podrapał się po nosie, długim nosie ozdobionym okularami o grubych szklach, od których pochodziło jego przezwisko "Ojczulek Lusterko".

Dwaj przyjaciele wpatrywali się w niego bacznie, kiedy lektyka przesuwala się przed nimi.

— Ależ to... człowiek! — stwierdził nagle John Cort.

— Człowiek?! — wykrzyknął ze zdumieniem Maks Huber.

— Tak jest, człowiek... a w dodatku biały...

— Biały!

Rzeczywiście, istota, którą obnoszono na tronie, z pewnością nie należała do plemienia Wagdysów, nad którym sprawowała władzę. Nie pochodziła również z żadnego tubylczego szczepu osiadłego nad górnym biegiem Ubangi. Nie, John się nie mylił: mieli przed sobą człowieka białego, niewątpliwego przedstawiciela tej właśnie rasy.

— Nasza obecność nie robi na nim najmniejszego wrażenia — powiedział Maks. — Zdaje się nie dostrzegać nas wcale. A przecież, do diabła, nie jesteśmy chyba podobni do tutejszych małpoludów i chociaż żyjemy wśród nich od trzech tygodni, nie przypuszczam, byśmy zatracili kompletnie ludzki wygląd!

Już miał zawołać: “Hej tam! Panie kochany! Popatrz pan w tę stronę!”, kiedy John Cort chwycił go nagle za ramię i wykrztusił głosem, w którym brzmiało szczytowe osłupienie:

— Poznaję go...

— Poznajesz?

— Tak! To jest doktor Johansen!

## ROZDZIAŁ XVII

### ODNALEZIONY

John Cort spotykał się niegdyś z doktorem Johansenem w Libreville. Nie mógł się zatem mylić: nikt inny, tylko właśnie uczony Niemiec panował nad plemieniem Wagdysów. Łatwo było teraz odtworzyć nie tylko początkowe przygody, ale i całą jego historię. Fakty tworzyły nieprzerwany łańcuch, ciągnący się od ukrytej w lesie klatki aż do napowietrznej wioski.

Jak wiemy, przed trzema blisko laty doktor zapragnął poprowadzić dalej mało poważne, a w każdym razie zakończone fiaskiem próby profesora Garnera. Opuścił Malinbę w towarzystwie tubylczego sługi, zabierając materiały, amunicję i żywność w ilości wystarczającej na dłuższy czas. Projekty doktora nie były dla nikogo tajemnicą. Powziął dziwaczną myśl osiedlenia się wśród małp i studiowania ich mowy. Nie zwierzył się jednak nikomu, dokąd postanowił się udać. Był to oryginał, okropny dziwak, z porządnym, jak się to mówi “fiołem”.

Odkrycia dokonane przez podróżnych w czasie powrotnej wędrówki dowodziły niezbiecie, że doktor dotarł w puszczy do miejsca, gdzie płynęła rzeka ochrzczona przez Maksa jego nazwiskiem. Wybudował tam tratwę i odesławszy murzyńską eskortę wsiadł na statek wraz ze swym służącym. Popłynęli w dół rzeki aż do moczarów na jej prawym brzegu, gdzie u krańca polany postawili w cieniu drzew okratowaną chatkę. Tam urywały się ślady, mogące dostarczyć danych o przygodach doktora Johansena. Ale teraz domysły na temat jego dalszych losów zamieniły się w pewność.

Czytelnicy pamiętają może, iż Maks Huber, przeszukując pustą klatkę, znalazł miedziane pudełeczko zawierające notes. Zapiski ograniczały się do niewielu nakreślonych ołówkiem linijek, noszących daty od dwudziestego dziewiątego lipca do dwudziestego piątego sierpnia 1896 roku,

Nie ulegało zatem wątpliwości, że doktor wylądował na polanie dziewiątego sierpnia, osiedlił się na dobre w swojej klatce trzynastego tegoż miesiąca i przebywał w niej pełnych trzynaście dni.

Dlaczego opuścił wybrany posterunek? Czy z własnej woli? Oczywiście, że nie. Chamis, John Cort i Maks Huber wiedzieli teraz na pewno, że Wagdysi docierali niekiedy aż do brzegów Rzeki Johansena. A ponadto te ognie oświetlające skraj puszczy w dniu przybycia karawany Urdaxa! Czyż to nie „leśni ludzie” krążyli z pochodniami wśród gałęzi drzew? Pierwotne istoty mogły odkryć chatynkę doktora, porwać go razem z urządzeniem klatki i zaciągnąć do napowietrznej wioski. Co do służącego Murzyna, to uciekł zapewne, rzuciwszy się w gęstwinę lasu. Gdyby go przyprowadzono do osiedla, podróżni nieraz by się z nim zetknęli — nie był przecież królem uwięzionym w swojej rezydencji. Brałby zresztą udział w dzisiejszych uroczystościach u boku swego pana, jako wysoki dygnitarz dworski, a może nawet premier!

Tak więc Wagdysi nie obeszlą się gorzej z doktorem Johansenem niż z gromadką wędrowców. Jego wyższość umysłowa zrobiła na nich widocznie silne wrażenie i postanowili uczynić zeń swego władcę. Zaszczyt ten byłby zapewne spotkał jednego z naszych przyjaciół, gdyby nie to, że posada została już dawniej obsadzona. Od prawie trzech lat doktor Johansen, „Ojczulek Lusterko” (on sam prawdopodobnie nauczył swych poddanych tego określenia), panował tedy miłościwie Wagdysom pod imieniem Mselo–Tala–Tala.

Wyjaśniło to wiele spraw zupełnie dotychczas niezrozumiałych, na przykład, w jaki sposób do języka “leśnych ludzi” przedostało się kilka słów z narzeczy używanych w Kongu, a także dwa czy trzy słowa niemieckie, dlaczego umieli obchodzić się z katarynką, dlaczego potrafili wyrabiać dość skomplikowane narzędzia i przedmioty, dlaczego tak znaczny postęp

objął obyczaje istot, stojących na najniższym szczeblu ludzkiej drabiny. John Cort i Maks Huber w ten sposób ujęli całą kwestię, gdy tylko, wróciwszy do siebie, mogli spokojnie porozmawiać. Oczywiście, podzielili się natychmiast z Chamisem ostatnimi wiadomościami.

— Nie mogę tylko zrozumieć — rzucił Maks — dlaczego doktor Johansen nie zwrócił uwagi na obecność obcych w swojej stolicy. Jak to się stało, że nie kazał nas przyprowadzić przed swoje oblicze? A w czasie uroczystości nie spostrzegł, jak się zdaje, że nie jesteśmy wcale, ale to wcale podobni do jego poddanych...

— Masz rację, Maksie — odrzekł Cort. — Ja także nie mogę się nadziwić, dlaczego Mselo–Tala–Tala nie wezwał nas jeszcze do swego pałacu.

— Może nic nie wie, że Wagdysi wzięli kogoś do niewoli w tej części puszczy — wtrącił przewodnik.

— Możliwe, ale wygląda to co najmniej dziwnie — oświadczył John Cort. — Muszą tu wchodzić w grę jakieś zagadkowe sprawy, które trzeba będzie wyświetlić.

— W jaki sposób? — zapytał Maks Huber.

— Jeśli dobrze poszukamy, trafimy w końcu na właściwe rozwiązanie — odrzekł Cort.

W rezultacie doktor Johansen, który przybył do puszczy Ubangi, aby żyć pośród małp, wpadł w ręce istot stojących wyżej niż człekokształtne zwierzęta, istot nikomu dotychczas nie znanych. Nie musiał się trudzić, aby nauczyć je mówić, skoro już przedtem posługiwały się mową. Poprzestał więc na przekazaniu im paru słów murzyńskich i niemieckich. Być może, jako lekarz pielęgnował w chorobie „leśnych ludzi” i tym właśnie zyskał sobie popularność, która wyniosła go na tron...

Co należało teraz przedsięwziąć? Czyż stanowisko zajmowane w Ngali przez doktora Johansena nie powinno mieć wpływu na sytuację jeńców? Chyba ten władca niemieckiego pochodzenia nie zawaha się zwrócić im wolności, jeśli staną przed nim i poproszą o odesłanie ich do Konga...

— Jestem tego zupełnie pewien — rzekł Huber — i nie mam żadnych wątpliwości, jak powinniśmy postąpić. Bardzo możliwe, że zatajono naszą obecność tutaj przed miłościwym doktorem.

Zgadzam się również, że w czasie uroczystości mógł nie zauważyć nas w tłumie, chociaż wydaje się to niezbyt prawdopodobne... Otóż wszystko przemawia za tym, że musimy za wszelką cenę wtargnąć do królewskiej siedziby...

— Kiedy? — zapytał John Cort.

— Zaraz, dzisiejszego wieczoru. Skoro lud uwielbia swojego władcę, posłucha go z pewnością i odprowadzi uwolnionych jeńców aż do granicy, z honorami należnymi pobratymcom najjaśniejszego pana.

— A jeśli doktor się nie zgodzi?

— Dlaczego miałby się nie zgodzić?

— Nigdy nic nie wiadomo, mój drogi! — roześmiał się Cort. — Może ze względów dyplomatycznych?

— Jeśli się nie zgodzi — wykrzyknął Maks — powiem mu w oczy, że nadaje się co najwyżej na króla małp i do pięt nie dorasta najgłupszemu ze swoich poddanych!

Koniec końców, propozycja Maksa, z pominięciem fantazyjnych dodatków, zasługiwała w pełni na uwagę. Okoliczności zdawały się zresztą sprzyjać przedsięwzięciu. Jeśli nawet noc położy kres uroczystości, z pewnością nie ustąpi tak szybko stan zamroczenia, w jakim pijaństwo pogrążyło mieszkańców wioski. Czyż nie należało wykorzystać okazji, która, być może, nieprędko się powtórzy? Jedni z podpitych Wagdysów zasną głęboko w swoich lepiankach, inni rozproszą się po lesie... Nawet wojownicy nie lękali się “zbezczścić munduru”, pijąc do nieprzytomności. Królewska siedziba będzie więc mniej pilnie strzeżona i dotarcie do komnaty władcy nie powinno nastęrczać specjalnych trudności.

Gdy projekt otrzymał aprobatę Chamisa, z którego zdaniem obaj przyjaciele liczyli się zawsze poważnie, postanowiono trochę jeszcze poczekać, dopóki nie zapadną kompletne ciemności, a trunek nie zwali z nóg mieszkańców wioski. Nie trzeba dodawać, że Kollo brał żywy udział w zabawie i dotąd jeszcze nie wrócił.

Około dziewiątej Maks Huber, John Cort, Chamis i Llanga opuścili swoją chatę. Ngale okrywał głęboki mrok — pogasły właśnie ostatnie smolne pochodnie umieszczone wśród drzew. Z daleka, jak gdyby spod platformy wioski, dobiegały jakieś niewyraźne hałasy, z przeciwnej strony niż ta, gdzie mieszkał doktor Johansen.

Podróżni, przewidując, iż tego wieczoru tak czy owak uda im się ulotnić niezależnie od pozwolenia jego królewskiej mości, zaopatrzyli się w karabiny, a wyjętymi z pudła nabojami wypchali kieszenie. Gdyby ich przyłapano, musiałyby przemówić broń palna, językiem, którego Wagdysi prawdopodobnie nigdy nie słyszeli. Wszyscy czterej przesuwali się ostrożnie między pustymi na ogół lepiankami. Gdy dotarli do pogrążonego w ciemnościach placu, okazało się, że nie ma na nim żywej duszy. Jedyne od strony królewskiej chaty sączyło się nieco światła.

— Nie ma nikogo — szepnął John Cort.

Istotnie, nawet przed siedzibą władcy nie stał ani jeden wartownik. Raggi, wraz ze swymi zuchami, opuścił tej nocy posterunek i osoba monarchy została pozbawiona wszelkiej opieki.

Mogło się jednak zdarzyć, że u boku jego królewskiej mości tkwią „dyżurni szambelani” i że niełatwo przyjdzie zmylić ich czujność.

Mimo wszystko Chamis i jego towarzysze uznali, że nadarzająca się okazja jest zbyt nęcąca. Szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił im dotrzeć niepostrzeżenie aż pod sam pałac, postanowili zatem wtargnąć czym prędzej do środka.

Pełzając ostrożnie, Llanga przysunął się do drzwi i stwierdził, że wystarczy lekko je pchnąć, aby dostać się do wnętrza chaty. Chamis, John Cort i Maks Huber znaleźli się przy nim po chwili. Nasłuchiwali bacznie jakiś czas, gotowi w razie potrzeby rzucić się do ucieczki.

Żaden dźwięk nie doleciał do nich jednak ani z placu, ani ze środka domostwa i Maks Huber pierwszy przekroczył próg. Towarzysze poszli w jego ślady, po czym ostatni zamknął za sobą drzwi.

Chata zawierała dwa przylegające do siebie pokoje, które tworzyły całość królewskich apartamentów. W pierwszym, zupełnie ciemnym, nie było nikogo.

Chamis przyłożył oko do szpary w drzwiach, wiodących do następnej izby; przez niedbale zbite deski sączyło się trochę światła.

Doktor Johansen znajdował się tutaj, w pół leżąc na niskim tapczanie. Mebel ten, zarówno jak kilka innych, zdobiących izbę sprzętów, stanowił najwidoczniej część urządzenia klatki i został przeniesiony do Ngali jednocześnie ze swym właścicielem.

— Wejdzmy — powiedział Maks Huber.

Gdy skrzypnęły otwierane drzwi, doktor Johansen obrócił głowę w stronę przybyszów i usiadł wyprostowany na tapczanie. Może wyrwali go właśnie z głębokiego snu? W każdym razie wydawało się, że obecność gości nie robi na nim żadnego wrażenia.

— Panie doktorze — powiedział po niemiecku John Cort — przyszedłem wraz z towarzyszami złożyć panu uszanowanie.

Doktor nie odezwał się ani słowem. Czyżby zapomniał ojczystego języka po blisko trzyletnim pobycie wśród Wagdysów?

— Czy pan mnie słyszy? — podjął Cort. — Jesteśmy cudzoziemcami sprowadzonymi siłą do wioski Ngala...

Doktor nie odpowiadał. Monarcha zdawał się patrzeć na intruzów, nie widząc ich, słuchać przemowy Corta, nie rozumiejąc ani słowa. Nie poruszył się przy tym, nie wykonał najmniejszego gestu, jak gdyby pogrążony w kompletnym oglupieniu.

Maks Huber podszedł do władcy, po czym, niewiele sobie robiąc z majestatu afrykańskiego dostojnika, ujął go za ramiona i mocno nim potrząsnął.

Najjaśniejszy pan wykrzywił się tak szkaradnie, że żaden mandryl w puszczy Ubangi lepiej by tego nie zrobił.

Maks potrząsnął nim powtórnie. Jego królewska mość pokazał mu język.

— Czyżby oszalał? — zapytał John Cort.

— Tak jest, niestety — odparł Huber. — To zupełny wariat. Istotnie, doktor Johansen nie był przy zdrowych zmysłach!

Mocno niezrównoważony już w momencie wyjazdu z Kamerunu, musiał do reszty stracić rozum w czasie pobytu w Ngali. Kto wie nawet, czy właśnie jego szaleństwo nie skłoniło Wagdysów do obrania go królem?

Nie ulegało wątpliwości, że władze umysłowe odmówiły biednemu doktorowi posłuszeństwa. Oto dlaczego nie zwrócił uwagi na obecność czterech cudzoziemców w napowietrznej wiosce, dlaczego nie rozpoznał w nich pokrewnych sobie istot, tak różnych od jego poddanych.

— Jedno tylko pozostaje teraz do zrobienia — rzekł Chamis. — Nie ma co liczyć, że wstawiennictwo tego nieszczęśnika pomoże nam odzyskać wolność...

— Oczywiście, że nie — wtrącił Cort.

— A Wagdysi nigdy nie pozwolą nam odejść — dorzucił Huber. — Toteż, skoro nadarza się okazja, uciekajmy...

— I to natychmiast — powiedział Chamis. — Korzystajmy z nocnych ciemności.

— I z pijackiego zamroczenia małpoludów — uzupełnił Maks.

— Chodźmy — rzekł przewodnik cofając się do pierwszej izby. — Spróbujemy przebyć schody, a potem rzucimy się w las...

— Zgoda — odparł Huber. — Ale co będzie z doktorem?

— Z doktorem? — zdumiał się Chamis.

— No tak! Nie możemy go tutaj zostawić. Naszym obowiązkiem jest zabrać go z sobą!

— Słusznie, mój drogi — zgodził się John Cort — ale ten nieszczęśnik nie rozumuje przecież normalnie. A nuż zacznie się opierać? Nie zechce pójść z nami?

— Spróbujmy w każdym razie — odparł Maks podchodząc do doktora.

Można sobie łatwo wyobrazić, że ruszenie z miejsca tak tęgiego mężczyzny nie byłoby fraszką; jeśli się na to dobrowolnie nie zgodzi, w jaki sposób wyciągnąć go z chaty?

Chamis i John Cort pośpieszyli na pomoc Huberowi i chwycili doktora pod ręce. Ale ten, bardzo jeszcze krzepki, odepchnął ich gwałtownie i padł jak długi na tapczan, wymachując rękami i nogami niby przewrócony na grzbiet krab.

— Doktorze Johansen! — zawołał po raz ostatni John Cort. Za całą odpowiedź jego królewska mość podrapał się w sposób najzupełniej małpi.

— Nie ma co — zakonkludował Maks Huber — nie damy sobie z nim rady. Biedaczysko mniej przypomina teraz człowieka niż jego poddani.

Należało jak najszybciej opuścić królewską siedzibę. Na nieszczęście władca zaczął wydawać nagle głośne okrzyki. Jeśli Wagdysi znajdowali się w pobliżu, musieli je z pewnością usłyszeć.

Nie było ani chwili do stracenia. Tak dogodne do ucieczki warunki mogły się już nigdy nie powtórzyć. Czyż Raggi ze swym oddziałem nie nadbiegnie tu lada moment? Gdyby przyłapano obcych w domostwie króla, ich sytuacja pogorszyłaby się znacznie i musieliby zrezygnować z wszelkiej nadziei odzyskania wolności. Chamis i jego towarzysze dali więc spokój doktorowi i otwarli drzwi, wypadli przed chatą.

## ROZDZIAŁ XVIII

### ZAKOŃCZENIE PRZYGODY

Szczęście zdawało się sprzyjać uciekinierom. Hałasy wewnątrz królewskiej siedziby nie zwabiły nikogo, plac i wybiegające nań ulice ziały pustką. Trudność polegała jedynie na tym, jak rozeznaczyć się w tym ciemnym labiryncie, jak przedrzeć się przez gałęzie i dopaść najkrótszą drogą do schodów łączących Ngalę z położoną niżej puszcza.

Nagle przed Chamisem i jego towarzyszami stanął Lo-Mai, trzymając za rękę swego synka. Malec, który biegł za nimi trop w trop aż do chaty króla, zawrócił potem i uprzedził o wszystkim ojca. Wagdys, obawiając się, że jego przyjaciele napytają sobie biedy, pospieszył do nich, aby w razie czego udzielić im pomocy. Teraz zorientował się od razu, że jeńcy próbują ucieczki, i postanowił służyć im za przewodnika. Była to niezwykle szczęśliwa okoliczność, gdyż żaden z nich nie zdołałby odszukać po nocy drogi wiodącej do schodów. Ale jakież ogarnęło ich przerażenie, gdy po przybyciu na miejsce zobaczyli, że Raggi z dwunastoma wojownikami pilnuje jak zwykle przejścia! Czy należy przebić się tędy we czterech, czy rokuje to jakiegokolwiek nadzieje powodzenia?

Maks Huber uznał, że nadszedł odpowiedni moment, aby zrobić użytek z karabinu. Raggi i dwóch innych Wagdysów biegnęli właśnie w jego stronę...

Cofnął się o kilka kroków i dał ognia w powietrze.

Wagdysi nie znali najwidoczniej ani sposobów obchodzenia się z bronią palną, ani skutków jej działania. Detonacja wywołała trudną do opisu panikę. Gdyby piorun uderzył w środek placu podczas dzisiejszych uroczystości, na pewno nie przejąłby uczestników większą grozą. Dwunastu wojowników rozproszyło się na wszystkie strony: jedni popędzili w kierunku wsi, inni, z małą zwinnością zbiegli na łeb, na szyję ze schodów. W jednej chwili droga była wolna.

— Schodzimy! — zawołał Chamis.

Lo-Mai i malec ruszyli przodem, reszta za nimi. Cort, Huber, Chamis i Llanga ześlizgiwali się niemal po pochylni, nie napotykając nigdzie przeszkód. Przeszli pod wsią, skierowali się w stronę rzeki i po paru minutach dotarli do brzegu. Odczepili jedną z łodzi i weszli do niej razem z Li-Mai i jego ojcem.

Wtedy jednak to tu, to tam zamigotały pochodnie i ze wszystkich stron zaczęły się zbiegać gromady Wagdysów, którzy po ukończonym święcie wałęsali się w pobliżu wsi. Buchnęły okrzyki wściekłości, posypały się groźby, w powietrzu zawisła chmura strzał.

— Niestety! — powiedział John Cort. — Trzeba znowu użyć broni.

Obaj z Huberem ujęli karabiny, gdy tymczasem Chamis i Llanga starali się odepchnąć łódź od brzegu.

Zagrzmiała podwójna salwa i wyjąca tłuszcza rozproszyła się natychmiast.

W tej chwili prąd pochwycił łódkę, która znikła w dole rzeki pod nawisłymi gałęziami olbrzymich drzew.

Nie ma już chyba potrzeby opisywać szczegółowo, jak odbywała się żegluga ku południowo-zachodniej granicy puszczy. Jeśli istniały tam inne jeszcze napowietrzne wioski, wędrowcy minęli je, nie dowiedziawszy się o nich niczego. Ponieważ nie brakło im amunicji, a różne gatunki antylop zamieszkiwały licznie tereny sąsiadujące z dorzeczem Ubangi, upolowana zwierzyna zapewniała im dostateczną ilość żywności.

W pierwszym dniu wędrowki John Cort i Maks Huber starali się wszelkimi sposobami okazać swoją wdzięczność Lo-Mai, który budził w nich taką sympatię, jakby był równym im i bliskim człowiekiem. Co do Llangi, to zawarł prawdziwie braterską przyjaźń z dzieckiem



Wagdysów. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że jakieś różnice antropologiczne mogą go stawiać wyżej J od małej istotki.

Młodzi myśliwi mieli nadzieję, że Lo-Mai zgodzi się; towarzyszyć im aż do Libreville. Powrót powinien się teraz odbywać bez przeszkód, z biegiem tej rzeki, która również musiała wpadać do Ubangi. Jak się zdawało, nie groziło już żeglarzom spotkanie z wodospadami czy wirami przecinającymi szlak wodny.

Wieczorem, szesnastego kwietnia, łódź zatrzymała się po wielogodzinnej żegludze. Chamis obliczał, że musieli przebyć od wczoraj od czterdziestu do pięćdziesięciu kilometrów.

Postanowili spędzić noc w tym miejscu. Gdy rozłożyli obóz i skończyli posiłek, Lo-Mai stanął na straży, reszta podróżnych zapadła w głęboki, niczym nie zamącony sen, który przywrócił im siły, nadwątlone w ostatnich przygodach.

Po przebudzeniu Chamis przygotował wszystko do dalszej drogi; pozostawało tylko puścić łódź z prądem rzeki.

W tej chwili Lo-Mai, ująwszy synka za rękę, zatrzymał się na brzegu. John Cort i Maks Huber podeszli do Wagdysa i zaczęli go namawiać, by wszedł wraz z nimi do łodzi. Ale on potrząsnął przecząco głową, wskazując jedną ręką na rzekę, a drugą wyciągając w stronę mrocznych ostępów puszczy.

Dwaj przyjaciele nie dawali za wygraną — ich wymowne gesty na pewno musiały zostać zrozumiane. Chcieli zabrać Lo-Mai i Li-Mai do Libreville...

Jednocześnie Llanga zasypywał malca pieścotami, całował go, tulił do siebie, usiłował pociągnąć do łodzi.

Wreszcie Li-Mai wymówił jedno tylko słowo:

— Ngora!

Tak... Jego matka została w napowietrznej wiosce... I on, i ojciec pragnęli do niej wrócić. Nic nie mogło rozdzielić tej kochającej się rodziny!

Pożegnano się więc ostatecznie i obdarzono Wagdysów żywnością na drogę powrotną do Ngali.

John Cort i Maks Huber nie ukrywali wzruszenia na myśl, że nigdy już nie zobaczą tych dwu istot tak dobrych i serdecznych, chociaż niższych rozwojem od człowieka. Co do Llangi, to nie mógł wstrzymać się od płaczu, a w oczach Lo-Mai i jego synka również błyszczały łzy.

— No i co? — zapytał Cort przyjaciela. — Czy uwierzyłeś wreszcie, że istnieją więzy łączące nas z tymi dziwnymi istotami?

— Tak, Johnie. Bo te istoty, podobnie jak ludzie, umieją śmiać się i płakać.

Łódka popłynęła z prądem, a na zakręcie rzeki wędrowcy mogli przesłać jeszcze ostatnie pożegnalne znaki Lo-Mai i jego synkowi.

Od siedemnastego do dwudziestego szóstego kwietnia czółno spływało rzeką aż do miejsca, w którym jej wody wpadały do Ubangi. Nurt był tutaj tak bystry, że droga przebyta od napowietrznej wioski musiała wynosić co najmniej trzysta kilometrów.

Chamis i jego towarzysze znaleźli się na wysokości wodospadów Zongo, mniej więcej na początku łuku, który zakreśla Ubangi skręcając na południe. Wędrowcy w żaden sposób nie mogliby przebyć łodzią wodospadów, żeby zaś podjąć żeglugę w dole rzeki, należało przenieść tam czółno lądem. Co prawda ich marszruta dopuszczała również możliwość wędrowki na piechotę wzdłuż brzegów Ubangi, przez tereny graniczne, leżące pomiędzy Kongiem Francuskim a Kongiem Niepodległym. O ileż jednak dogodniejsza od takiej mozolnej pielgrzymki byłaby żegluga drogą wodną! Ile zaoszczędziłaby czasu i trudów!

Na szczęście Chamis doszedł do wniosku, że nie muszą w tym celu obarczać się ciężką pracą związaną z przenoszeniem łodzi.

Poniżej wodospadów rzeka Ubangi staje się spławna, aż do miejsca gdzie łączy się z wodami Konga. Dość często krążą tu statki obsługujące okolice, w których nie brak ani wsi, ani większych osiedli misyjnych. John Cort, Maks Huber, Chamis i Llanga przebyli więc

pięćset kilometrów dalszej drogi na pokładzie jednej z takich obszernych kryp, którym coraz częściej przychodzą z pomocą parowe holowniki.

Wylądowali w małym miasteczku na prawym brzegu rzeki. Odpoczęli sobie doskonale, zdrowie im dopisywało, od Libreville zaś dzieliło ich już tylko dziewięćset kilometrów. Dzielnym przewodnikiem natychmiast zorganizował karawanę, która ruszyła prosto na zachód i w ciągu dwudziestu czterech dni przebyła rozległe równiny Konga.

Podróżnicy wkroczyli wreszcie do leżącej pod miastem faktorii, gdzie przyjaciele powitali ich z otwartymi ramionami. Wszyscy niepokoiли się bardzo tak długą nieobecnością młodych myśliwych, od których przez blisko pół roku nie nadchodziły żadne wiadomości.

Chamis i mały Murzynek zamieszkali razem z Johnem Cortem i Maksem Huberem, aby nigdy się już z nimi nie rozstać. Llanga był przecież ich przybranym synem, a przewodnik okazał im tyle oddania w czasie tej pełnej przygód podróży!

A doktor Johansen? A napowietrzna wioska zagubiona w nieprzebytych ostępach puszczy?

Otóż nie dziś, to jutro jakaś ekspedycja naukowa nawiąże z pewnością, w interesie współczesnej antropologii, bliższy kontakt z tajemniczymi Wagdysami.

Co się zaś tyczy nieszczęsnego doktora, to może uda się go sprowadzić do Malinby i przywrócić mu zdrowie. Kto wie jednak, czy nie będzie wtedy żałował czasów, gdy pod imieniem Mselo–Tala–Tala panował nad prymitywnym plemieniem? Kto wie również, czy dzięki niemu cesarstwo niemieckie nie sięgnie kiedyś po protektorat nad przedziwną napowietrzną wioską?

Chociaż, z drugiej strony, Anglia nie ma zwyczaju zasypiać gruszek w popiele...